

Nie ma nocy bez gwiazd

Andre Norton



calibre 0.9.27

Andre Norton

Nie Ma Nocy Bez Gwiazd

No Nights Without Stars

Przekład: Konrad Brzozowski

Smuga ciemnego, tłustego dymu leniwie unosząca się nad załosem była wystarczającym ostrzeżeniem. Sander zesliznął się z grzbietu Rhina i zaczął skradac się powoli w górę stromego zbocza. Wierzchowiec równie ostrożnie podał za jeźdźcem. Już od wielu dni nie napotkali żadnego obozowiska. Torba na prowiant, którą dzwigał Rhin, była pusta, a głód coraz bardziej dokuczliwy. Od dwudziestu czterech godzin Sanderowi nie udało się nic upolować, a ledwie dojrzałe ziarna, które zebrał po drodze, były raczej marnym posiłkiem. Pieć dni temu opuścił ziemie, do których jeszcze czasami docierali członkowie Klanu Jaka. Gdy po tym, jak go potraktowano, wyjechał z wioski, ruszył prosto na wschód, w kierunku legendarnego morza. Wydawało mu się, że osiągnie cel... że zglebi tajemnice starożytnych miast i udoskonali swój kunszt obróbki metalu, żeby jego ludzie nie musieli nabywać metalowych przedmiotów od Kupców. Miał nadzieję, że po powrocie pokaze Ibbetsowi i pozostałym, czego się nauczył, i przekona ich, że nie jest już uczniem o niewielkich umiejętnościach, lecz prawdziwym kowalem, który poznał tajniki Pradawnej Wiedzy. Długa i męcząca wędrowka po dzikich pustkowiach ostudziła nieco jego zapał i nauczyła ostrożności, nie zgasła jednak samego źródła gniewu - uwłaczającej decyzji, jaką podjął Ibbets.

Wcisnął się teraz między skały i naciągnął głęboko maskujący kaptur. Nie był myśliwym, ale każdego członka Klanu już od dziecka uczono, jak zachować się w obliczu niebezpieczeństwa. Sander wiedział, że powinien pozostać niezauważony do chwili, gdy przekona się, że nic mu nie grozi.

W dole rozciągała się dolina rzeki, która dalej zmieniała się w ogromne rozlewisko. Widac było tylko jeden brzeg, ten, na którym zbiornik łączył się z rzeką. W tym właśnie miejscu Sander dostrzegł jakieś zabudowania. Nie przypominały one w niczym prowizorycznych namiotów, w jakich mieszkali ludzie Klanu. Były to normalne domy. Zbudowano je z grubych drewnianych bali, które teraz spowijał gęsty dym. Wioska wyglądała na zniszczoną.

Nawet z tej odległości było widac poskrecane i nieruchome ciała mieszkańców. Musieli paść ofiarą najazdu. Być może rzeź była dziełem okrutnych Morskich Rekinów z południa. Jeśli tak, to wśród ruin nie należało się spodziewać nikogo żywego.

Ogień powoli trawił kolejne budynki. Atak najwyraźniej nastąpił od strony morza, od strony ładu widac było bowiem kilka nietkniętych domostw. Sander nie miał jednak wątpliwości, że dokładnie je splądrowano, choć najjeźdźcy zapewne zostawili sporo wartościowych rzeczy. Wiedział, że dla mieszkańców wioski był to okres zniw. Gdy wyjeżdżał, jego ludzie (za

takich przynajmniej uważał ich jeszcze do niedawna; skrzywił się z przykrością na te myśli) właśnie polowali i robili zapasy suszonego mięsa.

Choć koczowniczy lud Klanu był cały czas w drodze, Sander pamiętał o istnieniu innych plemion, które osiadły tu i owdzie na stałe. Opowiadali o nich Kupcy. Mówili o klanach, które zajmowały własne tereny i uprawiały ziemię. Mieszkańcy ze splądrowanej wioski również musieli zajmować się rybołówstwem. Sander poczuł nagły skurcz żołądka. Uważnie przyglądał się wiosce. Chciał mieć pewność, że gdy podejdziesz bliżej, nie wpakuje się prosto w zasadzkę.

Rhin zaskamlał cicho i tracił Sandera pyskiem. Brązowozłote futro zwierzęcia już zgestniało przed nadchodzącą zimą. Poteżne szczęki rozchyliły się lekko i wyrzwał z nich długi, spiczasty jeżor. Zwierzę wpatrywało się w płonące zgliszcza, a w oczach odbijało mu się światło tanczących płomieni. Sander nie dostrzegł jednak w jego zachowaniu żadnych oznak niepokoju, a tylko zwykłą ostrożność, jaką Rhin zawsze zachowywał w zetknięciu z czymś nowym lub nieznanym. Nie mrugał nerwowo oczami ani nie machał w napięciu ogonem. Usiadł spokojnie na skraju urwiska, zupełnie nie dbając o to, że jego głowa odcinała się teraz wyraźnie na tle nieba i ktoś w wiosce mógłby go wypatrzeć. Obserwując jego zachowanie, Sander wiedział, że przynajmniej na razie nic im nie grozi. Inteligentne zwierzę potrafiło wyczuć to, czego żaden człowiek nie byłby w stanie odkryć swymi przytłumionymi zmysłami.

Kowal odważył się wstąpić, nie dosiadł jednak Rhina, lecz ruszył powoli w dół zbocza, wykorzystując każdą możliwą kryjówkę. Wierzchołek, niczym rudobrazowy duch, podążał krok w krok za nim. Na wszelki wypadek Sander trzymał w ręku gotowy do użycia miotacz na strzałki. Poluzował też zapiecie pochwy, w której tkwił długi myśliwski noż.

Im bliżej splądrowanej wioski się znajdowali, tym silniej było czuć zapach spalenizny. Nie był to jedynie ślad palącego się drewna. Rhin warknął cicho, weszac. Jemu również nie podobał się zapach, który teraz dało się wyczuć już całkiem wyraźnie. W końcu jednak, sądząc z jego reakcji, zwierzę nie odkryło nic niebezpiecznego.

Sander okrążył miejsce, w którym leżały zakrwawione zwłoki i ominiął spaloną część wioski, kierując się w stronę mniej zniszczonych domów. Czuli teraz inny zapach, świeży i nieznajomy. Wiatr przynosił go wraz z hukiem fal rozbijających się o wybrzeże. Czy naprawdę dotarli do morza, czy było to tylko większe jezioro?

Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej do nienaruszonych chat, kowal zawahał się. Nie był pewien, czy powinien się tam zapuszczać. Głód pchał go jednak dalej i po chwili razem z Rhinem znaleźli się w uliczce między domami. Była tak wąska, że idąc obok siebie, z trudem się w niej mieścili.

Z bliska okazało się, jak masywne były ściany wykonane z bali. Okna umieszczono w nich bardzo wysoko, tuż pod samym dachem. Po chwili dotarli do końca alejki, skreśliли w prawo i

staneli przed najbliższymi drzwiami.

Zbite z szerokich i ciężkich desek, wisiały teraz bezwładnie na jednym zawiasie. Nietrudno było zgadnąć, że ktoś wylał je z ogromną siłą. Rhin warknął i wyszczerzył kły, między którymi nerwowo drgał długi jeż. Tuż za progiem leżał martwy człowiek. Jego plecy były jedną wielką plamą zaschniętej krwi. Wiesniak leżał twarzą do ziemi, ale Sander wcale nie miał ochoty przyglądać mu się bliżej.

Ubranie nieznanego w niczym nie przypominało skórzanej odzieży, jaką nosili ludzie Klanu. Miał na sobie brązową tunikę z grubo plecioną tkaniną, luźne spodnie z tego samego materiału i sznurowane buty. Sander nie bez wahania ominął mężczyznę i wszedł do środka. Wnętrze domu nosiło wyraźne ślady pośpiesznego przeszukiwania. Dokola wałowały się porzucane i zniszczone sprzęty.

W rogu pod ścianą leżały poskrecane zwłoki. Sander przyjrzał się im przez krótką chwilę, po czym odwrócił wzrok. Choć najeźdźcy poniszczyli i splądrowali urządzenie chaty, od razu zorientował się, że mieszkańcy wioski musieli być o wiele bogatsi od ludzi Klanu. Biorąc pod uwagę osiadły tryb życia rybaków, było to całkiem zrozumiałe. Podając za stadami, jego ludzie nie mogli taszczyć ze sobą stołów i krzeseł. Sander zatrzymał się i podniósł z ziemi rozłupaną misę.

Zaintrygował go ozdobny wzór. Z pozoru przypominał ciemne kreski odcinające się wyraźnie na tle jasnobrązowej gliny, linie szybko jednak ułożyły się w obraz lecących ptaków.

Odwrócił się. Chciał jak najszybciej przeszukać kosze na żywność i wydostać się z tego domu umarłych. Z zewnątrz dobiegło warknięcie Rhina. Zwierze było niespokojne. Niepokój udzielił się również Sanderowi, kowal jednak zmusił się do spenetrowania domu.

Znalazł makę zmieszana z pokruszonymi orzechami. Używając rozbitego naczynia napełnił torbę. Udało mu się jeszcze odkryć dwie suszone ryby. Reszta zapasów, prawdopodobnie celowo zniszczona, nie nadawała się do jedzenia. Ten obraz nieuzasadnionego okrucieństwa i nienawiści spowodował, że Sander prawie uciekł z chaty. Na zewnątrz odetchnął z ulgą.

Zdecydował się przeszukać kolejny budynek. To jednak, co zobaczył w środku, tak go przeraziło, że szybko się wycofał. Nie mógł znieść widoku kolejnych zmasakrowanych ciał. Wyglądało na to, że najeźdźcy, kimkolwiek byli, nie tylko w okrutny sposób wymordowali mieszkańców wioski, ale pastwili się nad ich ciałami. Sander odetchnął głęboko, z trudem powstrzymując mdłości, i szybko wycofał się wąską uliczką poza zabudowania.

Wiedział, że bez względu na to, co tam spotka, musi poszukać jeszcze jednego miejsca. Każda wioska miała swojego kowala. Odruchowo dotknął reka torby, w której przechowywał narzędzia - wszystko, co pozostało mu po ojcu. Ibbet z pewnością chciałby

zagarnac i to, podobnie jak odebrał Sanderowi kuznie, ale tutaj chroniły młodego kowala stare obyczaje.

Największe młoty i dłuta pochowano oczywiście wraz z ciałem Dullana, jego ojca. Wierzono, że miały moc właściciela, który używał ich za życia, i że powinny spocząć w ziemi wraz z nieboszczykiem. Wszystkie pozostałe narzędzia dziedziczył syn i tego prawa nie mogła mu odebrać żadna siła. Sander wiedział jednak, że to, co posiada, nie wystarczy, jeśli uda mu się spełnić największe marzenie - jeśli dotrze do miejsca, o którym opowiadali Kupcy, do miejsca, gdzie znajdowano starożytny metal. Bardzo chciał tam dotrzeć i zgłębić sekret starej sztuki, dziś nieosiągalnej nawet dla najlepszych kowali.

Zacisnął więc zęby i skoncentrował się na odnalezieniu kuzni. Staral się nie zważać na smród i okrutnie zmasakrowane zwłoki. Rhin niechętnie podał mu śladem, piszcząc i powarkując. Kowal wiedział, że zwierzęciu absolutnie nie podobało się to miejsce i że instynkt nakazywał mu natychmiastowy odwrót. Wiedział też jednak, że Rhin jest do niego bardzo przywiązany i za nic nie zostawiłby go teraz samego.

Od wielu pokoleń ludzie Klanu i zwierzęta pomagali sobie wzajemnie. Współpraca zaczęła się już w Mrocznych Czasach. Jak wynikało z legend i opowieści, które powtarzali Zapamiętywacze, zwierzęta takie jak Rhin były w przeszłości znacznie mniejsze. Nazywano je w dawnej mowie Kojotami.

Na świecie żyło wtedy wiele różnych zwierząt i tylu ludzi, że nie sposób było policzyć ich wszystkich. Potem jednak Ziemia zawirowała, zwiastując nadejście Mrocznych Czasów. Przez skorupę planety przebiegły góry ognia, plując płomieniami, dymem i lawą. Wody wystąpiły z brzegów i zalały ląd ogromnymi falami. W innych miejscach woda ustąpiła i dno oceanu zamieniło się w pustynię. Po tych kataklizmach przyszedł mroz, a za nim nadciągnęły chmury trujących gazów.

Tu i owdzie ktoś przeżył, jednak większość ludzi i zwierząt wyginęła. Kiedy w końcu niebo przejasniło się nieco, wszędzie nastąpiły ogromne zmiany. Niektóre zwierzęta z pokolenia na pokolenie stawały się coraz większe, podobnie zresztą jak ludzie, o których krążyły opowieści, że swymi rozmiarami przewyższali niegdyś dwukrotnie mieszkańców Klanu. Historie takie przywozili ze sobą Kupcy. Wiadomo było jednak, że rozprowadzają oni różne plotki, aby zniechęcić innych do podróży, które mogłyby zagrozić ich interesom. Byli zdolni wymyślić każdą historię, byle tylko słuchacze nie zapragnęli wyjechać do miejsc, z których sami Kupcy brali swoje towary.

Sander przystanął, wyciągnął wlocznie i zaczął rozgrzebywać zgliszcza spalonego domu. Nie było mowy o pomyłce. Znalazł kowadło, duże i solidne, ale niestety zbyt ciężkie, by dało się je zabrać. Była to jednak wyraźna wskazówka, że kiedyś w tym miejscu musiała się znajdować kuznia.

Po krótkich, ale dokładnych poszukiwaniach odnalazł jeszcze duży kamienny obuch. Choc

trzonek młota był prawie całkowicie spalony, jego najcenniejsza część pozostała nietknięta. Chwile później dostrzegł między zgłiszcami jeszcze jeden obuch, tym razem trochę mniejszy. To było wszystko.

Kowal unosił dłoń i wypowiedział tajemne słowa. Nawet jeśli właściciel tych przedmiotów spoczywał gdzieś pod zgłiszcami i nadal wiązała go z narzędziami magiczna moc, bo odszedł z tego świata w nagły i nieoczekiwany sposób, teraz będzie wiedział, że dostały się one w odpowiednie ręce. Dzięki zakleciu nie będzie zły, wiedząc, że jego narzędzi ktoś używa i że czerpie z tego korzyści inni ludzie.

Sander dołączył oba obuchy do reszty swojego ekwipunku i zrezygnował z dalszych poszukiwań. Pozwolił martwemu kowalowi zachować resztę przedmiotów. Zabrał tylko młoty, bo wiedział, jak bardzo jeszcze mu się przydadzą.

Nie było sensu dłużej pozostawać w wiosce opanowanej przez śmierć i dusze umarłych. Rhin wyczuł zamiar pana i przyjął jego decyzję cichym, radosnym skowytem. Sander miał zamiar wędrować dalej wzdłuż brzegu morza, jeśli to w ogóle było morze.

Tak szybko, jak to możliwe, minął zniszczone zabudowania. Staral się nie patrzeć na leżące wokół ciała. Zmierzal w stronę grzaskiej plaży. Aby się ostatecznie przekonać, czy dotarł do jednego z celów, które sobie wyznaczył, podszedł do wody, umoczył palec i polizal go. Slona! Tak, z pewnością znajdował się nad morzem.

Jednak to nie ono było najważniejszym celem jego wędrowki. Szukał raczej odpowiedzi na pytania o znaczenie starych legend, które wywodziły się gdzieś z tych okolic. To właśnie tutaj, nad brzegiem morza, kwitło kiedyś wiele wspaniałych miast. Ich ruiny kryły w sobie tajemnice, o których wspominał ojciec Sander.

Z jego opowieści wynikało, że ludzie, którzy zamieszkiwali ziemię przed nadejściem Mrocznych Czasów, mieli ogromną moc i wiedzę. Rządzili światem, mając pod sobą całą armię niewidocznych sług i maszyn, które ułatwiały im życie. Jednak cała ta wiedza utracono wraz z nadejściem kataklizmów. Sander nie miał pojęcia, jak wiele lat dzieliło go od zamierzonych czasów, ale z tego, co mówił ojciec, pojawiło się i zniknęło w tym czasie wiele pokoleń.

Kiedy ojciec zmarł na chorobę wywołującą kaszel, Ibbets, młodszy brat ojca, odmówił Sanderowi prawa do przejęcia kuzni. Twierdził, że chłopak nie ma doświadczenia i odpowiednich umiejętności. Młody kowal wiedział, że musi udowodnić swoją wartość nie tylko tym, których uważał za bliskich, ale przede wszystkim sobie samemu. Musiał zdobyć wiedzę, która pozwoliłaby innym zapomnieć o jego niedoświadczeniu i młodym wieku. Tymczasem Ibbets zaządał, by bratanek kontynuował szkolenie. Sander sprzeciwił się i zaządał pozwolenia na odejście, którego Klan nie mógł mu odmówić.

W ten sposób, na własne życzenie, został wygnancem bez domu i rodziny. Czuł palaca

potrzebe udowodnienia, ze jest albo chociaz ma szanse zostac lepszym kowalem, niz twierdzil Ibbets. Aby to jednak osiagnac, musial posiadac odpowiednia wiedze. Byl pewien, ze zrodla tej wiedzy znajduja sie gdzies w poblizu miejsc, z ktorych Kupcy przywozili starodawny metal.

Czesc z dostarczanego przez nich metalu dawalo sie obrobic tylko przy uzyciu mlotow. Inne rodzaje surowca trzeba bylo topic, wlewac do form i w nich nadawac metalowi zadany ksztalt. Czasem jednak trafialy sie kawalki odporne na wszelkie dzialanie i to wlasnie ich tajemnica intrygowala Sander a juz od wczesnego dzieciinstwa.

Teraz, gdy dotarl do morza, mogl isc albo na polnoc, albo na poludnie. Wiedzial, ze przyjdzie mu wedrowac przez rozne krainy. Ruiny miast mogly byc zalane woda lub zniszczone przez dzialanie ziemi i uplyw lat. A jednak Kupcy musieli skads przywozic metal. I wlasnie tego miejsca szukal Sander.

Zapadal zmierzch, a mlody kowal nie chcial spedzac nocy w poblizu zniszczonej wioski. Ruszyl na polnoc. Gdzies w gorze ochryply ostry krzyk ptakow morskich mieszal sie z monotonnym szumem fal.

Rhin obejrzal sie parokrotnie za siebie i warknal. Niepokoj zwierzecia udzielil sie Sanderowi. Choc wydawalo sie, ze w wiosce nikt nie przezytl, kowal nie przeszukal jej dokladnie i mozliwe, ze w ruinach czail sie ktorys z jej mieszkancow i oszalaly z przerazenia obserwowal przybycie i odjazd Sander a, aby potem ruszyc jego sladem.

Kowal wspial sie na wierzcholek wydmy porosnietej sztywne morska trawa i jeszcze raz uwaznie przyjrzel sie dymiacym zgliszczom. Poza ptakami nie zauwazyl zadnego ruchu. Nie mial jednak zamiaru lekcewazyc ostrzezenia, jakie przeslal mu kojot. Wiedzial, ze na instynkcie zwierzecia i na jego czujnych zmyslach mozna bylo w pelni polegac.

Latwiej bylo teraz dosiadc Rhina, ale grzaski i podmokly grunt stwarzal zbyt duze ryzyko wypadku. Oddalili sie od brzegu, wzdluz ktorego morze porozrzucalo pnie masywnych drzew. Tu i owdzie natrafiali na zakopane w piasku muszle. Sander z podziwem przygladal sie fantastycznym ksztaltom i deseniom, ktore ozdabialy te morskie klejnoty. Zebral kilka z nich i schowal do kieszeni przy pasku. Fascynowaly go, podobnie jak jasne ptasie piora czy wygladzone przez wode kamienie. Oczami wyobrazni widzial te muszle wtopione w bransolety z miedzi, ktora tak latwo dawala sie przekszaltcac w piekne ozdoby.

Piasek powoli ustepowal miejsca sztywnej trawie. Plaza przechodzila w lajce. Sander nie czul sie zbyt pewnie na tym otwartym terenie. W dali, na horyzoncie, zamajaczyla ciemna plama lasu. Choc jego ludzie podrozowali glownie po zachodnich rowninach, nie unikali kniei. Sander wiedzial, ze mozna tam znalezc schronienie.

Szybko jednak zorientowal sie, ze nie ma szans dotrzec do lasu przed zapadnieciem zmroku. Musial teraz poszukac jakiegos miejsca na nocleg, miejsca, gdzie moglby stawic

czolo niebezpieczenstwu. Wierzyl bowiem w instynkt kojota i spodziewal sie, ze w nocy moze spotkac ich jakas niemila przygoda.

Nie odwazyl sie rozpalic ognia, ktory dzialalby jak sygnal swietlly wskazujacy droge komus, kto przemierza te opustoszała kraine.

W koncu zdecydowal sie rozbic oboz na skalnym wzniesieniu. Glazy tulily sie tutaj do siebie, jakby szukaly wzajemnego wsparcia.

Z pedow gestej trawy umoscil sobie poslanie, po czym, dzielac sie rybami z Rhinem, zjadł skromny posilek. W innych okolicznosciach kojot sam zatroszczylby sie o jakies pozywienie, teraz jednak wolal zostac z Sanderem.

Mlody wedrowiec pilnie obserwowal gestniejacy mrok. Chlodny wiatr niosl znad morza dziwne zapachy wodnego swiata. Sander czul, jak narasta w nim napiecie. Choc nasluchiwal uwaznie, do jego uszu docieral tylko gluchy huk fal rozbijajacych sie o brzeg i z rzadka okrzyki morskich ptakow. Rhin rowniez czuwal. Postawil sztywno dlugie uszy i wsluchiwal sie w odglosy nadchodzacej nocy. W jego zachowaniu nie bylo widac zadnych oznak zblizajacego sie niebezpieczenstwa.

Choc zmeczenie po calodziennej podrozy dawalo sie we znaki, Sander nie mogl zasnac. Nad jego glowa migotaly gwiazdy. Zapamietywacze twierdzili, ze byly to takze slonca, wokol ktorych, byc moze, wirowaly swiaty takie jak ten. Dla Sandera jednak gwiazdy na zawsze pozostana oczami dziwnych i obojetnych stworzen, ktore beznamietnie przygladaja sie krotkiej ludzkiej egzystencji. Staral sie myslec tylko o tych gwiazdnych slepiach, ale caly czas stawal przed nim obraz spladrowanej wioski. Przeszyl go dreszcz. Jakie to uczucie, pomyslal, znalezc sie nagle twarza w twarz z ludzmi, ktorych jedynym celem jest mord i gwalt, i ktorzy pragna twojej krwi?

O ile dobrze pamietal, Klan tylko raz znalazl sie w podobnej sytuacji. Najechalo na nich plemie ludzi o niezwykle bladej skorze i jasnych oczach. Bliscy Sandera zmagali sie dotad glownie z zimnem, glodem i chorobami, ktore dotykaly ich samych albo zwierzat, i walczyli z nieprzyjazna natura, a nie z innymi ludzmi. Kowale wykuwali bron i narzedzia, jednak nie z mysla o zabijaniu innych.

Sander slyszal opowiesci o morskich zabojcach. Czasem wydawalo mu sie, ze i oni byli tylko postaciami wymyslonymi przez Kupcow, zamieszkujacymi kraine, do ktorych Kupcy strzegli dostepu. Jesli bowiem chodzi o interesy, Kupcy byli wyjatkowo skapi. Jednak po tym, co zobaczyl dzisiaj, nie mial juz zadnych watpliwosci, ze czlowiek moze byc o wiele bardziej bezwzgledny od najsurowszej zimy. Znow przeszyl go dreszcz. I to nie lodowaty wiatr byl jego przyczyna, lecz wyobraznia, ktora podsuwala coraz to nowe obrazy niebezpieczenstw czyhajacych w tej nieznanej kraine.

Wyciagnal reke i kojacym gestem poglaskal Rhina. W tej samej chwili kojot poderwal sie i

warknal ostrzegawczo. Zwierze nie patrzyło w stronę morza, lecz w głąb ładu. Nie uległo wątpliwości, że Rhin wyczuł jakies niebezpieczeństwo zbliżające się właśnie stamtąd.

Noc była tak ciemna, że miotacz strzałek nie mógł się na nic przydać. Sander wyciągnął długi myśliwski noż o kształcie i wielkości krótkiego miecza. Przykleknał, oparł się plecami o skalną ścianę i nasłuchiwał. Przed sobą usłyszał jakies szuranie, a Rhin znów warknął ostrzegawczo. Teraz i Sander wyczuł mocny, pismowaty zapach. Zdawało mu się, że dostrzegł w ciemnościach jakiś kształt; cień jednak poruszał się tak szybko, że pozostało po nim zaledwie dziwne wzrokowe złudzenie.

Swiszczący dźwięk, który dobiegł z ciemności, stopniowo przeszedł w warkot. Rhin postąpił krok do przodu, był spięty i gotów do natychmiastowego ataku. Sander załował teraz, że nie rozpalil ognia. Nieznane niebezpieczeństwo ukryte w ciemnościach zawsze wzbudzało w przedstawicielach jego rasy uzasadniony strach.

A jednak, ku zdziwieniu Sander, istota czająca się w ciemności nie zdecydowała się na atak. Słyszał jej wyzywający syk, a i po Rhinie było widać, że mają przed sobą naprawdę groźnego przeciwnika. Jednak nieznane stworzenie wciąż kryło się w mroku, tam, gdzie Sander nie mógł nawet dostrzec jego kształtu. Nagle cisze nocy przerwał ostry gwizd. Chwilę później kowal oslepił nagły błysk, tak że nie zdążył nawet zaslonić oczu. W ostrym świetle zobaczył sunące w jego kierunku stworzenie. Wyglądem przypominało bardziej weza niż jakiegokolwiek zwierze pokryte futrem. Tuż przed kowalem uniosło się na czterech łapach, a jego pysk znalazł się na wysokości głowy Sander. Za pierwszym pojawiło się drugie stworzenie - trochę mniejsza i ciemniejsza kopia pierwszego. Jednak to nie one przyniosły ze sobą światło.

-Stój! - usłyszał kowal. Zabrzmiało to jak rozkaz, po którym nastąpił kolejny: - Rzuc noż!

Sander czuł, że w każdej chwili może zginąć. Wiedział, że obie bestie nie zagryzły go tylko dlatego, że były posłuszne woli mowiacego. Mimo to potrzaskał głową.

-Nie słucham poleceń nieznajomych, którzy skradają się po nocy - odparł. - Nie jestem myśliwym. Nie zabijam też ludzi.

-Przelana krew żąda krwi, przybyszu - padła ostra odpowiedź. - Wylano mnóstwo krwi... krwi moich bliskich. I tylko do mnie należy zapłata, skoro tylko ja ocalałam z całego Padford...

-Trafiłem do tego miasta już po wszystkim - zaczął Sander. - Jeśli szukasz zemsty, szukaj jej gdzie indziej. Gdy dotarłem tu z południa, znalazłem już tylko spalone domy i ciała zabitych.

Światło cały czas padało prosto na niego. Zapadło milczenie. Sander miał nadzieję, że skoro nieznajomy zaczął od rozmowy, to nie ma zamiaru go atakować.

-Nie wygladasz na Morskiego Rekina - wycedzil przybysz.

Choc Sander rozumial slowa, nie uszedl jego uwagi dziwny akcent, inny niz u ludzi Klanu czy Kupcow.

-Cos ty za jeden? - rzucil szybko i gwałtownie nieznajomy.

-Jestem Sander, kowal z Klanu Jaka.

-Ach tak? - Słowa wypowiedziane zostały wolno i jakby z niedowierzaniem. - Gdzie zatem twój Klan rozbił dzisiaj oboz, kowalu?

-Na zachod stad.

-A jednak ty podasz na wschod. Kowale nie wedruja ot, tak sobie, przybyszu. A moze i ty masz kogos do pomszczenia?

-Moj ojciec, kowal, zmarl, a ludzie z mego Klanu uznali, ze nie jestem godzien, by zajac jego miejsce. Zazadalem pozwolenia na odejscie... - Zaczynalo go irytowac to posluszne udzielanie odpowiedzi na pytania zadawane nie wiadomo skad i przez kogo. Zebral sie wiec w sobie i zapytal wprost:

-A tys co za jeden?

-Ktos, z kim nie warto zadzierac, przybyszu! - warknal pytany. - Ale wydajesz sie mowic prawde i dlatego zostawimy cie dzisiaj w spokoju.

Nagle swiatlo zgaslo. Sander uslyszal w ciemnosciach jakis ruch. Rhin sapnal z ulga. Choc kojot byl w walce bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem, towarzystwo obu bestii i obcego, ktory je kontrolowal, wyraznie mu nie odpowiadalo.

Sander czul, jak opada z niego napiecie. Glos zniknal gdzies w ciemnosciach, porywajac za soba oba stworzenia. Kowal opadl na ziemie, oparl sie o skale i po chwili spal juz gleboko.

W snach widzial martwych mieszkancow wioski, ktorzy stali przed nim, trzymajac w rekach polamany orez. Raz po raz budzil sie, zlany potem. Nie wiedzial juz, co bylo jawa, a co snem. Od czasu do czasu slyszal glebokie, miekkie mruczenie, ktore wydobywalo sie z gardla Rhina, jednak swiatlo i glos nie powrocily juz ani razu.

Zanim zaczelo switac, byl gotow do dalszej drogi. Caly czas wydawalo mu sie, ze te kraine nawiedzaja dusze umarlych. Byc moze to widok zmasakrowanych zwlok podzialal na niego tak deprymujaco.

Wiedzial, ze im szybciej sie stad wyniesie, tym lepiej. Przed odjazdem obejrzal jednak

miejsce, gdzie w nocy ujrzał czajaca sie bestie.

Zobaczyl slady lap i pazuwow gleboko odcisniete w ziemi. Wiec to nie byl sen. Troche wyzej natknal sie na inny slad, drobny i wyraznie odcisniety w podlozu, z pewnoscia ludzki. Rhin obwachal tropy i warknal. Widac bylo, ze nie podoba mu sie to, co wyczul. A to stanowilo kolejny powod, dla ktorego powinni jak najszybciej ruszyc w dalsza droge.

Sander nie zjadal nawet sniadania. Szybko dosiadl kojota i znalezi sie wkrótce na porosnietej gesta trawa rowninie, ktora ciagnela sie wzdluz nadbrzeza. Po drodze sploszyli kilka ptakow. Sander szybko wyjal proce, zaladowal kamien i ustrzelil dwa z nich. Gdyby gdzies dalej udalo mu sie spokojnie rozpalic ogien, czekal ich goracy posilek.

Zmierzali prosto do lasu. Na lace kowal czul sie zbyt widoczny. Doswiadczal tego wrazenia - mimo iz wychowal sie przeciez na rowninach - po raz pierwszy w zyciu. Po drodze probowal szukac na ziemi sladow nocnego goscia, ale oprócz tych, ktore widzial nieopodal obozowiska, nie udalo mu sie odnalezc innych. Nie zauwazyl tez nic, co wskazywaloby, ze nie sa na tym odludziu sami.

Swiadomie powstrzymywal sie od zerkania za siebie, w strone oddalajacej sie wioski. Moze tajemniczy przybysz wrocil do spalonej osady. Z jego slow jasno wynikalo, ze zalezy mu na odnalezieniu sprawcow rzezi. Jak nieznajomy nazwal miasteczko? Padford? Sander powtorzyl te nazwe na glos. Brzmiala rownie dziwnie i obco jak akcent, z jakim mowil przybysz.

Sander wiedzial bardzo niewiele o ziemiach, ktore rozciagaly sie poza zasiegiem Klanu. O istnieniu wioski takich jak ta dowiadywal sie od Kupcow. Pasterze z rownin nie utrzymywali z ich mieszkancami zadnych kontaktow. Zalowal teraz, ze nie przyjrzel sie zabitym troche lepiej. Teraz, gdy probowal przypomniec sobie, jak wygladali, wydawalo mu sie, ze mieli bardzo ciemna skore, ciemniejsza nawet niz on, a wlosy bardzo czarne. U ludzi Klanu, ktorzy tez mieli dosc ciemna karnacje, spotkac mozna bylo zarowno rude, jak i ciemnobrazowe wlosy.

Zapamietywacze wspominali, ze przed Mrocznymi Czasami nie wszyscy ludzie wygladali podobnie. Ich opowiesci byly czesto calkiem nieprawdopodobne... mowili, ze dawniej ludzie latali jak ptaki i podrozowali w specjalnych lodziach pod powierzchnia wody. Nie mozna bylo zatem dawac wiary wszystkiemu, co mowili.

Rhin zatrzymal sie nagle, wrywajac Sandera z zamyslenia. Jednoczesnie potrzasnal lbem, dajac tym samym znak, ze zbliza sie niebezpieczenstwo i ze Sander powinien natychmiast zsiasc. Kowal zsunal sie z grzbietu zwierzecia, ktore zwrocilo sie tylem do kierunku marszu i wyszczerzylo kly. Niepokojace mruczenie przeszlo w ostry warkot.

Sander wetknal proce za pas, chwycil miotacz strzalek i upewnil sie, ze bron jest naladowana. Zlapano ich na otwartej przestrzeni. Nie bylo tu zadnego miejsca, gdzie

mogliby sie ukryc.

W ich strone pedzily teraz dwa podskakujace ksztalty, tak szybko, ze Rhin moglby dotrzymac im kroku jedynie na krotki dystans. Z tylu Sander dostrzegl postac, ktora rowniez biegla w ich kierunku, tyle ze na dwoch nogach. Wygladala jak myśliwy polujacy z psami, tylko ze te dwie bestie w niczym nie przypominaly malych psow myśliwskich, ktorych uzywali lowcy z Klanu. Sander przykucnal i wymierzyl. Serce walilo mu jak mlotem. Atakujace zwierzeta, czymkolwiek byly, poruszaly sie wyjatkowo sprytnie, co chwila skrecajac i zmieniajac nieznacznie kierunek, wciaz jednak mknac do przodu. Kowal wiedzial, ze bardzo trudno bedzie je trafic.

-Aeeeeheeee!

Krzyk byl ostry i gwaltowny, zupełnie jak ten, ktory wydawaly morskie ptaki. Postac biegnaca za zwierzetami uniosla w gore ramiona, jakby popedzajac bestie. Sander zdecydowal, ze najpierw nalezy unieszkodliwic nieznajomego.

-Aeeeeheeee!

Pierwsza z bestii zatrzymala sie i przysiadla na tylnych lapach, bacznie wpatrujac sie w kowala. Po chwili dolaczyla do niej druga. Jednak Sander ani przez chwile nie zdjal palca ze spustu. Oba stworzenia wciaz byly zbyt daleko, by oddac naprawde celny strzal. Rhin nie przestawal warczec. Przyjal juz postawe obronna i gotow byl na atak. Najwyrazniej uznal zwierzeta za godnych przeciwnikow.

Czlowiek, ktory im przewodzil, zrownal sie teraz ze zwierzetami i cala trojka, juz normalnym krokiem, ruszyla w strone Sandera. Kowal wstal, caly czas trzymajac jednak bron w pogotowiu.

Przypatrywal sie nadchodzacej postaci z nieskrywanym zdumieniem. Tak, z cala pewnoscia to byla kobieta. Zdradzalo to jej skape ubranie. Na szyi miala gruby lancuch z miękkiego, recznie obrobionego zlota, na ktorym wisial medalion. Wtopione w metal kamienie ukladaly sie w pogmatwany wzor. Jej ciemne wlosy, niczym czarna aureola, sztywno sterczaly dookolą glowy. Na czole nieznajomej Sander dostrzegl wytatuowany wzor, podobny do tego, ktory nosil sam. Tyle ze jego tatuaz w ksztalcie młota byl dumnym godlem kowala, a jej stanowil platanine dziwnych znakow, ktorych Sander nie potrafil odczytac.

Na nogach kobieta miala wysokie buty, ktore siegaly jej prawie do kolan i, jak zauwazyl, musialy byc wyjatkowo niewygodne w porownaniu ze skorzanym obuwiem, w ktorych chodzili ludzie Klanu. Poza tym nosila pas wykonany ze splecionych zlolych i srebrnych drutow, z ktorego zwisal rzad mniejszych i wiekszych kolorowych kieszzonek. Z rekami opartymi na lbach obu bestii kobieta zmierzala teraz w strone kowala dumnym krokiem, jak ktos, komu trzeba okazac nalezne wzgledy.

Zwierzeta byly tej samej rasy, jednak roznily sie znacznie wielkoscia i barwa. Wieksze mialo kremowoplowa siersc, mniejsze - ciemnobrazowy grzbiet, czarne lapy i ogon. Cala trojka zblizala sie powoli. Zwierzeta nerwowo machaly ogonami i Sander odgadl bez trudu, ze nie sa przekonane o jego nieszkodliwosci w przeciwienstwie do swojej pani, ktora tylko sila wlasnej woli powstrzymywala je przed natychmiastowym atakiem.

Kobieta zatrzymala sie pare krokow przed Sanderem i zmierzyla go lodowatym spojrzeniem. Zwierzeta przysiadly na tylnych lapach po jej obu stronach. Leb jasnieszego znalazl sie teraz wyzej niz glowa dziewczyny.

-Dokad to, kowalu? - spytala rozkazujaco. Po glosie zorientowal sie, ze to ona wlasnie zlozyla mu nocna wizyte.

-A po co ci to wiedziec? - Oburzyl go ton jej glosu. Jakie miala prawo, by zwracac sie do niego w ten sposob?

-Wizja, ktora mialam, pokazala mi, ze nasze drogi znow sie zbiegna. - Oczy kobiety pojasnialy, kiedy pochwycila jego spojrzenie. Nie podobalo mu sie, ze traktuje go jak dzikusa, ktoremu mozna rozkazywac.

-Nie wiem nic o twoich wizjach. - Czul, ze musi przerwac te walke spojrzen. - Moja sprawa, czego szukam.

Zmarszczyla brwi, jakby zdziwiona, ze moze oprzec sie sile jej woli latwiej niz obie bestie. Utwierdzilo go to w przekonaniu, ze probowala zawladnac w jakis sposob jego umyslem.

-Szukasz - odparla ostrym tonem - rozwiazania tajemnej sztuki Praludzi. I ja mam podobny cel. Pomoze mi to pomscic moich bliskich. Nazywam sie Fanyi, ta, ktora rozmawia z duchami. A to Kai i Kayi. Sa przy mnie zawsze, gdy ich potrzebuje. Otaczalam Padford ochrona, ale ostatnio musialam odejsc i spotkac sie z Wielkim Ksiezycem. A kiedy mnie nie bylo... - wykonala wymowny gest - moi ludzie zostali wymordowani. Zawiodlam ich wiare. Nie powinno sie tak stac! - Podobnie jak Rhin wyszczerzyla zeby. - Do mnie nalezy zemsta, ale zeby jej dopelnic, musze odnalezc ruiny miast zbudowanych przez Praludzi. Pytam cie zatem, kowalu, czy wiesz, gdzie znajduje sie to, czego szukasz?

Pragnal bardzo odpowiedziec "tak", ale w jej spojrzeniu, choc nie chcial sie temu poddac, bylo cos, co zmuszalo go do mowienia prawdy.

-Nazywam sie Sander. Szukam jednego z Dawnych Miast. Byc moze lezy ono gdzies na polnocy, wzdluz wybrzeza...

-Pewnie slyszales o tym od Kupcow? - Rozesmiala sie. Byl w jej smiechu szyderczy ton, ktory go rozniewal. - Nie trzeba polegac na ich opowiesciach, kowalu. Oni zawsze opowiadaja bajki i nigdy nie ujawniaja miejsc, w ktorych zdobywaja swoje towary. W tym wypadku jednak masz czesciowo racje. Na polnoc... potem na wschod... tam lezy jedno z

ogromnych miast. Jestem jedna z Szamanek... do nas należy część tajemnej wiedzy. To miejsce...

-Na północnym wschodzie - przerwał jej Sander - jest tylko morze. A więc twoje miasto musi być zalane wodą.

Pokreśliła przecząco głową.

-Nie wydaje mi się. Morze miejscami głęboko wbija się tam w ląd. Gdzie indziej jednak cofnęło się, odsłaniając ogromne połacie ziemi. Ale - tu wzruszyła ramionami - będziemy pewni dopiero wtedy, gdy tam dotrzemy. Oboje czegoś szukamy. Oboje chcemy zdobyć wiedzę, prawdę?

-No cóż. Tak.

-Wspaniale. Mam pewną Moc, kowalu. Być może nawet potężniejsza niż twoja broń. - Przyjrzała się miotaczowi, który trzymał w dłoni. - Wędrować po puszczy samemu to głupota. Jeśli oboje zmierzamy w tym samym kierunku, dlaczego nie połączyć sił? Podziel się z tobą tym, co wiem o położeniu Dawnych Miast.

Sander zawahał się. Nie wiedział czemu, ale chciał jej wierzyć. Co jednak oznaczała taka propozycja? Być może dziewczyna czytała w jego myślach, bo odezwała się znowu.

-Przecież powiedziałam ci, że miałam widzenie. Niewiele wiem o twoim Klanie, kowalu, ale czy wy nie macie między sobą ludzi, którzy potrafią przepowiadać to, co jeszcze się nie wydarzyło?

-Mamy Zapamiętywaczy, ale oni mówią tylko o przeszłości. A przyszłość... Kupcy wspominali coś o ludziach, którzy nie patrzą wstecz, lecz potrafią czytać w przyszłości.

-Czytanie w przeszłości? - Fani sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Co oni tam widzą, ci wasi Szamani?

-Dawne Rzeczy. Niezbyt wiele - przyznał Sander. - Przybyliśmy na te ziemie już po Mrocznych Czasach. To, o czym najczęściej mówią, przykrywa dziś morze. Pamiętają głównie wydarzenia z naszej przeszłości, z przeszłości Klanu.

-Szkoda. Pomyśl, co można by zrobić, gdyby wasi Szamani mogli odkrywać tajemnice z czasów Praludzi. Jednak podobnie rzecz się ma z nami, którzy patrzymy w przyszłość. Potrafimy odkryć tylko niewielki jej skrawek. Stąd też wiem, że dane jest nam podróżować razem, nic więcej.

Mówiła tak przekonująco, że Sander nie mógł się sprzeciwić, choć jej pewność siebie wzbudzała w nim podejrzenia. Widział to wyraźnie. Dziewczyna myślała, że taka propozycja będzie dla niego zaszczytem. A jednak... w tym, co powiedziała, było sporo racji.

Podrozowal przeciez na slepo. Byl przekonany, ze jesli naprawde wiedziala cos o polozeniu starozytnych miast, odrzucenie jej propozycji i dalsza podroz po omacku bylyby nierozsadna.

-Zgoda. - Sander spojrzal na zwierzeta. - Ale co z nimi? Nie sa chyba zbyt zadowolone z takiego obrotu sprawy.

Po raz pierwszy usmiechnela sie do niego.

-Moi przyjaciele sa ich przyjaciolmi. A co z twoim wlochatem towarzyszem, kowalu? - Pokazala na Rhina.

Sander spojrzal na kojota. Nie mial nad nim takiej kontroli, jak dziewczyna nad swoimi towarzyszami. Istniala miedzy nimi pewna wiez porozumienia, ale nie byla az tak silna. Sander nie mial pojecia, do jakiego stopnia moze wplynac na wole Rhina. Kojot podazal za nim dobrowolnie i zawsze ostrzegal go przed niebezpieczenstwem. Czy jednak zechce przez wiele dni podrozowac w towarzystwie tych dwoch bestii, tego Sander nie umial przewidziec.

Tymczasem Fanyi zwrocila sie w strone jednego ze swoich podopiecznych. Skrzyzowali spojrzenia, a po chwili zwierzze wstalo i kilkoma susami zniknelo w gestej, wysokiej trawie. Druga bestia pozostala na miejscu, a Fanyi wystapila krok do przodu i spojrzala w oczy kojota. Sander poruszył sie niespokojnie. Jej zachowanie znow go rozdraznilo. Jakie miala prawo narzucac swa wole Rhinowi? A Sander nie mial watpliwosci, ze taki wlasnie byl jej zamiar.

Chyba znow wyczytala bunt w jego myslach, bo odezwala sie szybko.

-Ja ich nie kontroluje, kowalu. Wystarczy, ze rozumieja, w jaki sposob mozemy zyc razem, bez narzucania sobie nawzajem woli. Moje kuny wiedza, ze jesli przesylam im jakies polecenie, to w dobrej wierze. Czasem to ja ulegam ich zachciankom rownie latwo, jak one moim. Nie sa moimi niewolnikami. Jesteśmy raczej na stopie przyjacielskiej. Tak powinny wspoldzialac ze soba wszystkie istoty. Tego wlasnie uczy Moc nas, ktorzy mamy jej sluzyc. Twój kojot pojdzie z nami, bo teraz juz wie, ze nie chcemy nikogo skrzywdzic.

Kuna, ktora oddalila sie przed chwila, teraz pedzila z powrotem w ich strone. W pysku trzymala sznur, na ktorego koncu zwisal jakis pakunek i obijal sie o ziemie. Zwierzze zlozylo paczke u stop dziewczyny. Fanyi rozwiazala wor i wyciagnela z niego spory kawalek materialu.

Przelozyla glowe przez otwor posrodku, a zwisajace luzno faldy obwiazala plecionym sznurem, kryjac w ten sposob pod szara tunika swoj szkarlatny stroj i polyskujace ozdoby.

Caly jej bagaz zdawal sie miescic w dwoch zwiazanych ze soba torbach. Chciala zarzucic je na plecy, ale Sander podszedl, zabral pakunki i przelozyl je przez grzbiet Rhina. I tak

przecież nie mogłoby jechać na koczcie, gdy ona szła pieszo, a razem wazyli tyle, że Rhin nie poniosłby ich zbyt długo.

Dziewczyna gwizdnęła i obie kuny pomknęły przodem, badając drogę. Sander mógł wreszcie trochę się rozluźnić. Jeśli Fanyi rzeczywiście mogła na nich polegać, to zwierzęta te były z pewnością znakomitą ochroną.

-Daleko się udajemy? - spytał. Dziewczyna poruszała się lekko i zwinnie.

-Nie wiem tego dokładnie. Moi ludzie nie podróżują... nie podróżowali - poprawiła się - zbyt daleko. Zajmowali się głównie łowieniem ryb i uprawa pól wzdłuż wybrzeża. Czasem odwiedzali nas Kupcy z północy, a ostatnio również z południa... Z południa - powtórzyła to głucho. - Tak, teraz już rozumiem. To oni. Zanim najechali na wioskę, przybyli do Padford, żeby sprawdzić, czy napotkają silny opór. I gdybym wtedy była w osadzie...

-To co mogłabys na to poradzić? - Sander nie spodziewał się żadnej sensownej odpowiedzi na swoje pytanie. Zupełnie jakby dziewczyna wierzyła, że jej obecność czy wyjazd z wioski miały wpływ na przeznaczenie i los osady.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaskoczona.

-Posiadam Moc. Potrafię przewidzieć niebezpieczeństwo. Gdybym razem z Kai i Kayi była w wiosce, nic nie mogłoby zaskoczyć jej mieszkańców bez naszej wiedzy. Nawet gdy nie było mnie w osadzie i otworzyłam swoje serce i umysł przed Wielkim Księciem, czułam wyraźnie, kiedy okrutny los spotkał ludzi, którzy we mnie wierzyli. Mam na rekach ich krew i zmyje ją tylko zemsta. To na mnie spoczywa piętno umarłych.

-A jak masz zamiar się zemścić? Znasz tych, którzy najechali wioskę?

-We właściwym czasie rozrzuce kamienie. - Jej reka powędrowała do zawiniątka, które trzymała pod tuniką. - Wtedy poznam ich imiona. Najpierw jednak muszę dotrzeć do Dawnych Miast i odnaleźć broni, która sprawi, że mordercy przeklną dzień, w którym przyszli na świat.

Okrutny i zawzięty wyraz jej twarzy wywołał u Sanderą chłodny dreszcz.

Sam nigdy nie czuł takiego gniewu, nawet w stosunku do Ibbetsa. Nigdy nie życzył nikomu śmierci. Gdy na jego Klan najechali Albinosi, Sander miał zaledwie parę lat i wojna z nimi niespecjalnie go dotknęła, choć to właśnie wtedy zginęła jego matka. W życiu przejmował się jedynie sztuką kowalską. Bronia była dla niego tylko wyrobem z metalu; rzadko myślał o jej późniejszych właścicielach i o tym, do czego im służyła.

To, co zobaczył w wiosce, poruszyło go, ale w końcu nie dotyczyło jego bezpośrednio. Nie znalazł nikogo z pomordowanych rybaków. Gdyby nawet spotkał wśród ruin któregoś z napastników, walczyłby, ale nie z chęcią zemsty, lecz w samoobronie. Dlatego nie mógł

zrozumiec gniewu i checi odwetu, jaka palala Fanyi. Chociaz gdyby taki los spotkal jego bliskich, z pewnoscia czulby i myslal teraz zupełnie inaczej.

-Jaka bron mozemy znalezc w Dawnych Miastach?

-Tego nie wie nikt. Slysalam wiele roznych opowiesci. Podobno kiedys ludzie do zabijania uzywali ognia i piorunow, a nie stali lub strzal. Byc moze to tylko legendy. Wiedza jest juz sama w sobie poteznym orezem, ja zas urodzilam sie po to, by uzywac wlasnie takiej broni.

Brzmialo to dosc przekonujaco. Sander nieswiadomie przyspieszyl kroku, zupełnie jakby perspektywa odnalezienia tak poteznego arsenu popchnela go do szybszego marszu. Z drugiej strony... nie mozna bylo bezgranicznie polegac na starych opowiesciach. Trzesienia ziemi w Mrocznych Czasach calkowicie zmienily oblicze planety, wiec niewykluczone, ze wszelkie pozostalosci po dawnych cywilizacjach przegraly walke z czasem i silami natury.

Zdradzil dziewczynie swoje obawy. Zgodzila sie z nim.

-To prawda. A jednak Kupcy wciaz przywoza nowe rzeczy, cos zatem musialo ocalec. Sama mam... - Dotknela ukrytego pod tunika medalionu. - Wywodze sie z rodu Szamanek. Moje przodkinie przekazywaly sobie tajemna wiedze z pokolenia na pokolenie, z matki na corke. Niektore sekrety mozna zglebic tylko wtedy, gdy dotrze sie we wlasciwe miejsce lub spotka z wlasciwa osoba. Na przyklad ten medalion... Tylko ja potrafie z niego czytac, gdy trzymam go w dloniach. Nie bedzie sluzyl nikomu innemu. Z jego pomoca chce odnalezc pewien mur...

-Mur, ktory znajduje sie gdzies na polnocnym wschodzie...

-Wlasnie. Dluho czekalam na okazje, by rozpoczac poszukiwania. Ale nie wolno mi bylo zostawic wioski. Opiekowalam sie ludzmi, leczylam ich ciala i dusze. Teraz ten sam obowiazek wobec nich nakazuje mi odnalezc pewne miejsce... zebym mogla ich pomscic.

Miala bardzo tajemnicza mine i Sander nie chcial pytac o nic wiecej. Podrozowali teraz w milczeniu. Kuny biegly nieco z przodu, Rhin dreptal tuz za Sanderem.

W poludnie zatrzymali sie na odpoczynek. Sander rozpalil niewielkie ognisko, a dziewczyna zmieszala z woda z buklaka troche jedzenia zabranego z wioski. Uformowala z tej papki cienkie ciasto i rozlozyla je na malej metalowej patelni, ktora wyjela z torby. Ustawila patelnie nad ogniem i po chwili zgrabnym ruchem zdjela z niej chlebowy placek. Sander upiekl ptaki, ktore udalo mu sie ustrzelic po drodze. Rhin, uwolniony od bagazu, sam ruszyl na polowanie, a jak zapewnila Fanyi, jej kuny zrobily to samo.

Ten posilek smakowal o wiele lepiej niz suszone ryby, ktore Sander jadal poprzedniej nocy. Fanyi potrzasnala energicznie buklakiem.

-Woda skonczy sie przed zapadniecie zmroku - powiedziala. Sander usmiechnal sie.

-Rhin znajdzie wodę. Kojoty robią to bezbłędnie. Widziałem, jak trafiały na wodę w miejscach, w których człowiek nigdy nie próbowałby nawet szukać. Żyją przecież na terenach pustynnych...

-Tam, gdzie twoi ludzie? Sander pokręcił przecząco głową.

-Nie. Dawniej mój Klan zajmował takie tereny. Zapamiętywałeś twierdza, że przybyliśmy z południa i zachodu. Gdy morze wylało, musieliśmy uciekać w góry, choć ich szczyty pląły wtedy ogniem. Tylko część naszego Klanu przeżyła. Potem pojawiły się kojoty. Mówi się, że z początku były dość małe, jednak jak było naprawdę... tyle jest różnych opowieści o Dawnych Czasach.

-Może gdzieś istnieją jakieś zapiski. - Fani oblizła palce po tłustym posiłku. - Znaki, takie jak ten... - zerwała zdziobło trawę i zaczęła rysować coś na piasku.

Sander przyjrzał się wzorom. Zdawało mu się, że Kupcy kreslili na wyblakłej skorze podobne znaki, gdy przyjmowali od jego ojca zlecenia na różne rodzaje metali, których potrzebował do pracy.

-To... to moje imię. - Wskazała na wzór. - F-A-N-Y-I... Tylko tyle potrafię sama napisać. No i jeszcze parę innych słów. Chociaż - dodała szczerze - nie znam znaczenia ich wszystkich. Musiałam się ich nauczyć, bo posiadam Moc.

Sander przytaknął. Jako kowal również znalazł specjalne zaklęcia. Bez ich wypowiedzenia metal nie gwał się, nie twardniał i nie dał się urabiać. O tym wiedzieli wszyscy. Dlatego kowale w czasie pracy pozwalali pomagać sobie tylko uczniom. Osoby niepowołane nie powinny nigdy poznać tych zaklęć.

-Jeśli nawet znajdziesz takie znaki - spytał - co ci po nich, skoro nie umiesz ich odczytać?

Zmarszczyła brwi.

-To tajemnica, którą trzeba zgłębić, tak samo jak sztuki leczenia czy tajniki oddziaływania księżycy na ludzi i zwierzęta. Wszystko to, tak samo jak przywoływanie lawic i porozumiewanie się ze zwierzętami, należy do sztuki Szamanek.

Sander wstał, by przywołać Rhina gwizdaniem. Sprawy Szamanek nie interesowały go za bardzo. Nie chciał mu się też wierzyć, że tajniki kowalstwa zostaną kiedyś zapisane i zredukowane do takich znaczków. Do lasu wciąż jeszcze pozostawał szmat drogi, a perspektywa noclegu na otwartej przestrzeni nie była zbyt zachęcająca.

Zdeptał dopalające się ognisko i, jak każdy człowiek z równin, dokładnie przysypał je piaskiem. Niebezpieczeństwo pożaru na tej łące było teraz bardziej realne niż jakkolwiek napisać. Widział już kiedyś skutki takiego pożaru i nawet dziś, na wspomnienie dwóch zwęglonych ciał, uwieczonych w ogniu członków Klanu, przechodził go dreszcz.

Mozolnie parli przed siebie. Kuny zupełnie zniknęły im z oczu. Tylko Rhin powrócił posłusznie na wezwanie Sander, który znowu zarzucił mu na grzbiet cały bagaż. Fanyi nie wydawała się zbyt przejęta nieobecnością swoich towarzyszy. Może zawsze podróżowali w ten sposób.

Zmierzchało już, gdy przed wędrowcami zamajaczyły pierwsze drzewa. Sander przystanął, po raz pierwszy zastanawiając się, czy postąpił słusznie. Drzewa nosiły już pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Panował wśród nich nieprzyjemny mrok. Może rozsądniej byłoby przeczekać noc na skraju lasu, niż blakac się między drzewami w całkowitych ciemnościach.

-Gdzie twoje zwierzęta? - spytał.

Fanyi przysiadła na ziemi i spojrzała na niego.

-Powiedziałam ci już, że nie mam nad nimi władzy. Robią, co chcą, i chodzą, gdzie chcą. Chętnie przebywają w lesie. Nie lubią otwartych przestrzeni, ale między drzewami czują się znakomicie.

No coż, jeśli nawet, to co go to obchodziło? A jednak im bardziej wpatrywał się w ciemność lasu, tym mniejsza miał ochotę wchodzić tam po zmroku.

-Zostaniemy tu na noc - zdecydował i w tej samej chwili zastanowiło go, czy dziewczyna sprzeciwi się jego woli.

-Jak sobie życzysz. - Nie powiedziała nic więcej. Zaraz też wstała i zaczęła zdejmować swoje bagaże z grzbietu Rhina.

Sander sciągnął z Rhina siodło i bagaże. Po chwili kojot zniknął w ciemnościach, aby poszukać sobie pożywienia. Żadna z kun się nie pojawiła i kowal zaczął się zastanawiać, czy Fanyi rzeczywiście panowała nad ich wola tak, jak twierdziła. Dziewczyna jednak nadal nie wyglądała na zaniepokojoną. Zdjęła grubą tunikę, a jej ozdobny pas i gruby łańcuch na szyi migotały w świetle ogniska.

Znowu przygotowała chlebowy placek i upiekła go na patelni, a Sander starannie przeliczył strzałki do miotacza. Nie miał zamiaru zapuszczać się w las bez gotowej do strzału broni. Zebrał też zapas drewna, który, jak sądził, powinien im wystarczyć na całą noc.

Pilnując placka, Fanyi nucila coś pod nosem. Jej słowa brzmiały jakos dziwnie. Sander rozumiał tylko niektóre. Wyglądało na to, że dziewczyna śpiewała piosenkę w sobie tylko znanym języku.

-Czy twoi ludzie zawsze mieszkali nad rzeką? - spytał nagle, przerywając dziwnie senny nastrój, w jaki wpuściła go swoim mruczeniem.

-Nie zawsze... nie ma chyba zadnego rodu, który mieszkalby przez cały czas w tym samym miejscu - odpowiedziała. - Nami także los rzucił tu i owdzie. W Mrocznych Czasach musieliśmy stać wędrować. Nasza historia zaczęła się na statku, na którym wody wylewającego morza rzuciły nas w głąb zalanego ładu. Wielu zmarło na pokładzie, innych fale zmyły za burtę, ale garstka przeżyła te podróże. Gdy morze ustąpiło, statek osiadł na lądzie. To było za czasów Margee, matki Nany, która urodziła Flore, matkę Sanny. - Powoli wymieniała coraz to nowe imiona, aż Sander zupełnie się pogubił. W końcu jednak powiedziała: - A ja jestem rodzona córka Margee czwartej. Ludzie ze statku spotkali innych wędrowców i tak, za czasów matki mojej babki, powstało Padford. Wcześniej moi ludzie żyli nad brzegiem morza, na południu. Musieli jednak wynieść się na północ, bo jedna z gór przebudziła się, plując ogniem i rozrzucając dookoła twarde odłamki skał. Zupełnie jak w Mrocznych Czasach. Nasi ludzie mieli zatem do wyboru: ucieczkę albo śmierć. A jaka jest historia twojego Klanu, kowalu?

-Jak już wiesz, przybyliśmy z południa i z zachodu. Zapamiętywacze wiedza... ale nikomu o tym nie mówią. Ja jestem tylko kowalem. - Wyciągnął dłoń w stronę światła, mocno napinając palce. - Ja mam swoje tajemnice, a oni swoje.

-To prawda. Każdy nosi w sobie jakiś sekret - przytaknęła, jednocześnie zdejmując placki z patelni. Podawała mu jeden. - Mówi się, że pierwsza Margee miała leczniczą moc i przekazała ją swym bezpośrednim potomkom. Oprócz tego jednak mamy i inne zdolności. - Ugryzła świeżo upieczony placek. Jej klejnoty polyskiwały przy każdym ruchu. - Powiedz mi - zapytała, gdy przełknęła kęs - dlaczego porzuciłeś swój Klan i zostawiłeś najbliższych dla celu, którego być może nigdy nie uda ci się osiągnąć? Czy straciłeś ich szacunek, gdy nie wybrano ci kolejnym kowalem?

W jakiś nieokreślony sposób zawsze potrafiła wydobyć z niego prawdę.

-Byłem dobrze przygotowany i ojciec mianowałby mnie swym następcą, gdyby nie jego gwałtowna śmierć. Ale Ibbets, jego brat, czekał na to zajęcie od lat. I jest naprawdę dobry. - Z trudem przeszło mu to przez gardło, ale wiedział, że nie było w tym przesady. - Tylko że on nigdy nie szuka nowych rozwiązań. Trzyma się kurczowo starych sposobów. Ja chciałbym wiedzieć więcej... Na przykład, dlaczego Kupcy przywożą metal, którego nie możemy obrabiać, choć Praludzie potrafili? Jakimi znali techniki, o których my nie mamy dzisiaj pojęcia? Mój ojciec już od dawna wiedział, czym się interesuje, ale zawsze powtarzał mi, że miejsce kowala jest w kuzni. Nie wolno mu porzucić Klanu i gonić za czymś, co być może w ogóle nie istnieje. Po śmierci ojca Ibbets zwołał naradę, przedstawił mnie jako nieodpowiedzialnego młodzika z głową wypełnioną marzeniami i stwierdził, że nie nadaje się na kowala. Potem - tu Sander mocno zagryzł wargi - wspaniałomyślnie zgodził się przyjąć mnie jako ucznia. Ucznia! Mnie, którego szkolili prawdziwi artyści, jakim Ibbets nigdy nie zostanie! Zawsze zazdrościł mojemu ojcu, a mnie chciał wykorzystać do podniesienia własnych umiejętności. Dlatego zdecydowałem się odejść z Klanu. Jeśli uda mi się odkryć sekrety Praludzi, wróce tam i pokaże mu, jaki ze mnie uczeń!

-I tego pragniesz w zyciu najbardziej... upokorzyc czlowieka, ktory upokorzyl ciebie? - zapytala, strzepujac z dloni okruchy.

-Nie tylko... Chce poznac sekrety pradawnych kowali. - Odezwała sie w nim teraz dawna tesknota. - Chce wiedziec, jak pracowali i w jaki sposob udawalo im sie osiagnac duzo wiecej niz nam teraz. Czy byli tak inteligentni, ze to, co od nas wymaga wiele pracy i wysilku, im przychodzilo bez trudu, bo wiedzieli instynktownie, w jaki sposob obchodzic sie z metalem? Niektorzy ignoranci, tak mawial o nich moj ojciec, twierdza, ze ci ludzie posiadli ogromna wiedze, a przez to stali sie zli i niebezpieczni. Wielka Moc usunela ich tak, jak usuwa sie sztaby metalu, by mozna bylo na ich miejscu umiescic nastepne. Byc moze tak wlasnie bylo. Ja jednak chce nauczyc sie tyle, ile zdołam...

-A wasi Zapamietywacze nie mogli ci pomoc?

Sander pokrecil przeczaco glowa.

-To nie nasi przodkowie zamieszkiwali wielkie miasta. Wlasciwie od zawsze bylismy pasterzami i pedzilismy nasze stada. Zapamietywacze mowia o wielkim trzesieniu ziemi i ucieczce. Niewiele ludzi i zwierzat wtedy ocalalo. Jednak o wczesniejszych czasach wiem tylko to, co opowiadano w mojej rodzinie. Zawsze bylismy kowalami, ale nie od poczatku podrozowalismy z Klanem. Podobno moj pierwszy znany przodek pochodził z odleglej kniei i przylaczył sie do grupy podroznikow, ktorzy wtedy przemierzali rowniny juz mniej wiecej od pokolenia. Musieli zaczac wszystko od poczatku. To, co zachowala moja rodzina, to nie pamiec o Klanie, lecz sztuka wykuwania metalu.

Siedziala na wprost niego ze skrzyzowanymi nogami i bawila sie kieszonkami przy pasie. Teraz skinela glowa.

-Wiedza, ktora pozwala przezyc, to cos, czego ludzie trzymaja sie najbardziej. Jednak poza nia niewiele sie pamietalo. Chcialabym porozmawiac z twoimi Zapamietywaczami. Czasem mozna sporo sie nauczyc z niezrozumialych slow, ktore maja jednak jakies znaczenie. Slyszalam o wielu takich slowach... Nie wiemy, co moga oznaczac... Nazwy przedmiotow, czynnosci... - Pokrecila lekko glowa. - Tak wiele stracilismy, zapomnielismy. Nawet od Morskich Rekinow mozna by z pewnoscia dowiedziec sie czegos ciekawego. - Spochmurniala i wpatrywala sie niewidzacy m wzrokiem gdzies w mrok. - W Padford zylo sie dobrze - mowila jakby sama do siebie, upewniajac sie co do przeszlosci. - Nasze pola z roku na rok stawaly sie bardziej rozlegle. Nie musielismy juz polegac tylko na morzu, ktore czasami, szczegolnie gdy tylko przybylismy na te ziemie, zawodzilo nas. Kupcy przybyli w srodku lata. Matka targowala sie z nimi o ksiazki, ktore przywiezli, ksiazki napisane jeszcze przez Praludzi. Potem przeczytala czesc z nich. A to, czego sie nauczyla, przekazala mnie. Moglybysmy wiedziec jeszcze wiecej, gdyby tylko dano nam czas. - Fanyi zacisnela dlon na medalionie. - Dostala to od mojego ojca. Przybyl do wioski wraz z Kupcami, jednak nie byl jednym z nich. Podrozowal z daleka i szukal zaginionej wiedzy. Sam tez pisal ksiazke. Zapisywal w niej wszystko, czego sie dowiedzial. Jego klan tworzyli ludzie mdrzejsi od

wszystkich, których do tej pory spotkałam. Zostawił mojej matce ten naszyjnik z medalionem, by jej dziecko odnalazło z jego pomocą źródło tej wiedzy. Zdradził jej sekret tego urządzenia... - Dziewczyna umilkła, ale Sander nie mógł się powstrzymać i zapytał: - Co się stało z twoim ojcem?

- Umarł - powiedziała beznamiętnie - na jakąś bolesną chorobę. Wiedział, co to było, i wiedział też, która część ciała jest chora. Trzeba było ją usunąć, ale matka nie potrafiła tego zrobić, więc umarł. Wtedy też przysięgła na Wielki Ksiezyc, że jej dziecko posiadać dawną wiedzę, dzięki której będzie pomagać ludziom z wioski. Jednak ani jej, ani mnie nie wolno było opuścić wioski i ruszyć w podróż. Mialyśmy obowiązki wynikające z naszego pochodzenia. Musialyśmy zaklinać wodę, gdy rybacy wypływali na połow, błogosławić ziemię i ziarno, by dało jak najlepszy plon. Tego wymagała od nas tradycja. Teraz jednak... mam zamiar dowiedzieć się, co jest za drzwiami, które otwiera ten klucz. - Cały czas trzymała w ręku medalion. - Ale, na Wielki Ksiezyc, dlaczego zwrócono mi swobodę w tak okrutny sposób?

Zbliżała się noc i tylko ogień dawał jeszcze odpor nadciągającym ciemnościom. Sander wstał i gwizdnął ostro. Właśnie zdał sobie sprawę, że Rhin nie wrócił do obozowiska. Często tak robił, ale w tym zupełnie obcym miejscu Sander wolął go mieć cały czas przy sobie.

- Nie ma go nigdzie w pobliżu - powiedziała cicho dziewczyna. - I one mają swoje własne sprawy i tajemnice. Nie możemy zadać od nich więcej, niż same chcą nam dać.

- Nie podoba mi się to - wyszeptał Sander, choć wiedział, że dziewczyna ma rację. Obaj, Kowal i Rhin, dobrowolnie przystali na własne towarzystwo. Jeśli Sander spróbuje zmusić kojota do czegoś, zwierze odejdzie. Chcac nie chcac, musiał pogodzić się z losem. Usiadł na ziemi przy ognisku i już po chwili spał lekkim snem, budząc się co jakiś czas i dorzucając do ognia.

Dziewczyna nie położyła się od razu. Wyjęła z zawiniątka cztery niewielkie kostki z narysowanymi kropkami. Wygładziła pole przygotowanego na posłanie płaszcza i rzuciła kostki, które rozsypały się po materiale, każda inna stroną do góry. Fanyi pochyliła się i przyjrzała uważnie punktom na zewnętrznych ścianach kostek. Zmarszczyła brwi. Pozbierała szescianiki i rzuciła jeszcze raz. I tym razem nie wyglądała na zadowolona. Nie podjęła jednak trzeciej próby. Chowając kostki z powrotem do torby, zdradzała wyraźne oznaki niepokoju. Usiadła przy ogniu i wpatrywała się w płomienie. Sander słyszał, jak mamrotała coś sama do siebie, może w dziwnym języku, który miał jakiś związek z jej Moca.

Po chwili westchnęła cicho i owinięta w tunikę ułożyła się do snu. Sander miał cały czas wrażenie, jakby dziewczyna robiła to wszystko wbrew sobie. Czuł jej niepokoju. W końcu wydawało mu się, że usnęła. Jeśli powodem jej niepokoju był fakt, że kuny nie powróciły na noc, nie dała tego po sobie poznać. Tymczasem kowala coraz bardziej zastanawiała

nieobecność Rhina.

Gdy nad ranem przeciągnął się i sięgnął po bukłak, kojota wciąż jeszcze nie było w obozowisku. A pojemnik na wodę był już prawie pusty. Sander wiedział, że Rhin potrafi szybko odnaleźć źródło lub strumień, tyle że teraz nie było go w pobliżu. Kowal wiedział oczywiście, że zwierze nie zgubi się i później łatwo trafi na ich ślad, ale właśnie w tej chwili potrzebowali jego pomocy. Jeszcze raz gwizdnął przyzywająco. Nie usłyszał znajomego skowytu, a tylko świergot ptaka ukrytego gdzieś wśród drzew.

Fanyi usiadła na posłaniu. Z jednej z kieszonek wyjęła wysuszony, czerwony owoc i skrupulatnie podzieliła go na dwie części.

-Nie ma go nigdzie w pobliżu - powiedziała.

-A co z twoimi? - zapytał ostro.

-To samo. Myślę, że polują gdzieś tam - wskazała w głąb puszczy. - Mówiłam ci już, że w lesie czują się bardzo dobrze.

-Potrafią znaleźć wodę? - Potrząsnął prawie pustym bukłakiem.

-Jeśli zechcą. - Spokój w jej głosie irytował go. - Ale to nie jedyny sposób. Sama znam parę innych. Wygląda na to, że teraz będziemy musieli sami nieść bagaże - dodała patrząc na toboły, które dotąd dzwigał Rhin. - Coż, dla mnie to nie pierwszozna. - Rozłożyła na ziemi tunikę, poukładała na niej wszystkie swoje torby i zwinęła je w jeden toboł.

Sander szybko przełknął owoc, który mu dała. Miał ostry smak i raczej nie mógł zaspokoić głodu. Kowal miał nadzieję, że w lesie natknie się na jakąś większą zwierzyne. Obfity mięsny posiłek zdecydowanie poprawiłby mu nastrój.

Ze swoich bagaży zrobił coś w rodzaju plecaka. Użył w tym celu siodła. Najcieńsze okazały się oczywiście narzędzia kowalskie, i Sander załował w duchu, że nie ma z nimi teraz kojota. Rhin sprawdzał się nie tylko w walce. Był również nieocenioną pomocą, jeśli trzeba było przenieść coś ciężkiego lub niewygodnego. Sander miał złe przeczucia. Nie wiedział, na co mogą natknąć się w tej nieznannej krainie. No a jeśli Rhin wpadłby w jakies tarapaty, kowal nie miał pojęcia, jak go odnaleźć.

Plecak ciążył mu okropnie, ale Sander ani myślał skarżyć się głośno. Dodatkowym wyzwaniem było dla niego zachowanie dziewczyny. Fanyi maszerowała śmiało w stronę lasu, ruszył więc za nią. W reku trzymał gotowy do strzału miotacz.

Drzewa były ogromne, o grubych i rozłożystych konarach. Niektóre liście przybrały już kolory jesieni, inne powoli opadały na ziemię. Szli teraz po miękkim dywanie z listowia, który formował się tu od wieków.

Po raz pierwszy Sander zdal sobie sprawę z czegoś, czego wcześniej nie przewidział. Na otwartej przestrzeni można było wybrać jeden punkt i zmierzać w jego kierunku bez zbaczania z obranego kursu. Tutaj, gdzie wszystkie drzewa wyglądały podobnie, trudno było zorientować się co do kierunku. Niewykluczone, że cały czas zataczali koła.

Zatrzymał się. Może rozważniej byłoby trzymać się brzegu morza, gdzie trudno pomylić drogę. Fanyi również stanęła i spojrzała na niego przez ramię.

-Co się stało?

Choć wstydził się swojej bezradności, musiał powiedzieć prawdę.

-Wszystko dookoła jest takie samo... Nie wiadomo, czego się trzymać.

-Niezupełnie. Byłam tu już wcześniej. Niedaleko stąd jest droga... na północ.

Droga? Powiedziała to z takim przekonaniem, że nie śmiał wątpić. Ale droga, tutaj?...

Fanyi ponagliła go, więc z wahaniem ruszył za nią. Wszędzie dookoła widział tylko drzewa. Nie wiedział już, w którym miejscu weszli w ten labirynt konarów i pnaczy. Jednak dziewczyna pewnie podążała naprzód.

Po jakimś czasie rzeczywiście dotarli do mniej zarosniętego zakątka. Było tu mniej zgnitych liści, ale za to pełno zdradliwie wyglądających dziur i wgłębień. Widac było wyraźnie, że choć zniszczona przez atakujące z obu stron korzenie i pędy, ziemia była w tym miejscu wyjątkowo równa.

Droga biegła prosto przez las, a drzewa, które ją otaczały, były niewysokie, docierało tu więc sporo światła. Fanyi znowu ponagliła go ruchem ręki.

-A nie mówiłam? Te drogi zbudowali jeszcze Praludzie. Choć przez wieki bardzo się zniszczyła, wciąż jednak widac, któredyś biegły. O, tutaj skręca. - Pokazała na zachód. - Ale gdzie się zaczyna, nie wiem.

Sander wyraźnie widział zakręt. Dlaczego drogę zbudowano w środku puszczy? Czy nie prościej było pociągnąć ją przez otwartą przestrzeń? Zastanowiło go to. Droga była wezszana, a nie te, o których wiedzieli ludzie Zgromadzenia - Mattly natknął się kiedyś na podobny trakt. Tamte były tak szerokie, że nawet Zapamiętywacze nie potrafili powiedzieć, jak ogromne armie nimi wędrowały.

Nawierzchnia była tak zniszczona, że poruszali się ostrożnie i powoli. W każdej chwili można było źle stąpnąć i wpascić nogą w zakryty pnaczami wykrot. Droga doprowadziła ich do wody.

Sander usłyszał szum strumienia, zanim jeszcze dotarli nad jego brzeg. Strumień przecinał

w tym miejscu droge, jednak po moście zostało tylko jedno bardzo zniszczone przesło. Dokola roilo sie od malych muszek, ktore tancyly w przebijajacych przez listowie promieniach slonca. W powietrzu krazyly tez wieksze owady, ktore caly czas pozeraly mniejsze muszki. Strumien byl bystry, a woda tak czysta, ze bez trudu mozna bylo dostrzec brazowe kamienie na dnie. Sander zostawil bagaze Fanyi, wzial buklak i zszedl nad wode, by go napelnic.

Stapajac po pokrytych mchem i wygladzonych przez strumien blokach, jedynej pozostalosci po moście, przedostali sie na druga strone. Teraz, gdy mieli juz wode, nalezalo rozejrzec sie za czymś do jedzenia.

Wokol latalo mnostwo ptakow, ale wszystkie zbyt male i szybkie, by Sander mogl je upolowac. Poza nimi kowal nie zauwazyl w lesie innych zwierzat. Rowniez w strumieniu nie widzial ryb, choc woda byla tak przejrzysta, ze nie moglby ich przeoczyc.

Fanyi zlapala go za ramie i o malo nie wrzucila do wody. Odwrocil sie wsciekly, ale wyraz jej twarzy szybko ostudzil jego gniew. Wyraznie czegos nasluchiwała.

Rhin! Sander poczul sie, jakby ktos zdjal mu z plecow ogromny ciezar. Chcial gwizdnac na kojota, ale dziewczyna blyskawicznym ruchem zaslonila mu usta.

I on wsluchal sie teraz uwaznie w odglosy lasu. Wiedzial, ze to, co uslyszala, nie wrozylo nic dobrego.

Nie byl to wlasciwie dzwiek, ale jakby vibracja powietrza... dochodzaca z bardzo, bardzo daleka. Sander odsunal reke Fanyi ze swoich ust i wyszeptal:

-Co to?

Dziewczyna zmarszczyla brwi. Miala teraz zaniepokojona mine, tak samo jak w nocy, gdy rzucala kostkami.

-Nie wiem - odparla jeszcze ciszej niz on. - Ale ma Moc. Na pewno. O tych jej Mocach nie wiedzial prawie nic. Zgromadzenie mialo wprawdzie znachora, ale on potrafil tylko skladac kosci, opatrywac rany i leczyc niektore choroby przy uzyciu ziol. Ludzie Zgromadzenia wiedzieli wprawdzie cos niecos o istnieniu Potegi, z ktora nic nie moglo sie rownac. Dlaczego jednak mialaby sie nimi interesowac? Mowilo sie tez, ze Mroczne Czasy byly kara dla Praludzi za to, ze weszli w konflikt z Potega. I jesli bylo w tym choc troche prawdy, a taki panowal poglad miedzy czlonkami Zgromadzenia, to najrozsadniej bylo po prostu zostawic Ja w spokoju.

Jednak opowiesci Fanyi dotyczyly czegos innego. Rzeczy takie jak przewidywanie przyszlosci byly Sanderowi zupełnie obce. Mozliwe, ze gdzies na swiecie zyli teraz ludzie mniej przerazeni Potega, ktorzy zawarli z nia nawet jakis pakt. Wynikiem takiego paktu mogly byc Moce, o ktorych mowila dziewczyna. A skoro to byly jej rodzinne strony, musial

zdac sie na nia... Oczywiscie tylko do pewnego stopnia.

-Jaka Moc? - wyszeptal.

Chwycila medalion i wpatrywala sie w migoczące na jego powierzchni swiatelka, zupełnie jakby spodziewala sie tam znalezc odpowiedz.

Sander czekal, az dziewczyna sie odezwie. Zastanawial sie, czy migotanie medalionu wskazywalo, ze sa juz blizej tego legendarnego miejsca wiedzy, o którym mowila. Cokolwiek by to jednak znaczylo, Fanyi nie wygladala na zadowolona. Powoli pokrecila glowa.

-To nie to, czego szukamy. - Jej glos brzmial bardzo pewnie. - Przed nami jest cos mrocznego. Mamy jednak droge...

-...ktora mozemy wrocic - wtracil Sander. - Latwiej bedzie podrozowac wzdluz brzegu. Trzeba bylo od razu tak zrobic.

Knieja, ktora wczesniej stanowila obietnice kryjowki, teraz zmienila sie w pulapke. Nie podobalo mu sie to. Wolal podrozowac po otwartym terenie. Tam, choc odsloniety i na widoku, sam mogl tez wczesniej dostrzec czyhajace niebezpieczenstwo.

-No, chodzmy! - Zlapal ja za ramie, tak jak ona zrobila to pare chwil wczesniej.

Spojrzala jeszcze raz na medalion i z powrotem zawiesila go na piersiach.

-Zgoda.

Wlasciwie spodziewal sie jej sprzeciwu. To, ze od razu przystala na jego propozycje, bardzo go ucieszilo. Byc moze instynkt ostrzegl kojota przed tym miejscem i dlatego zwierzec nie dolaczilo do nich.

Po raz drugi przekroczyli strumien i ruszyli ta sama droga, ktora ich tutaj przywiodla. Szli najszybciej, jak mogli. Przez caly czas Sander bardziej czul, niz slyszal dziwne wibracje. Wydawalo mu sie, ze nawet jego serce bilo tym samym co one rytmem. Czul, jakby to dudnienie przenikalo mu cale cialo. Odglos nie zniknal nawet wtedy, gdy oddalili sie od miejsca, w którym uslyszeli go po raz pierwszy. Przeciwnie, zdawal sie wedrowac rowno z nimi, pozostajac przez caly czas w tej samej odleglosci.

Pulapka, w ktorej sie znalezi, zadzialala, gdy dotarli do zakretu. Atak kompletnie ich zaskoczyl. Przechodzili wlasnie pod konarami olbrzymiego drzewa, kiedy z gory spadla na nich siec. Zanim Sander zdazyl wykonac jakikolwiek gest, siatka ciasno go oplotla. Nie mial zadnych szans. Nie byla to zwyczajna siec, jakich widzial wiele. Sznur, z jakiego byla spleciona, oblepiala jakas kleista substancja, dzieki ktorej szczelnie oplatala ofiare, a kazdy ruch sprawial, ze zaciskala sie coraz mocniej.

Sander nie mógł nawet sięgnąć po noż. Co więcej, nie był w stanie odrzucić bezużytecznego w tej sytuacji miotacza, który przywarł mu do ręki. Po chwili poczuł szarpnięcie i coś przewróciło go twarzą do ziemi. Zgnile liście zatkaly mu usta i nos. Spróbował odwrócić głowę, by odetchnąć swobodnie, i wtedy zobaczył tych, którzy pojмали ich w tak dziecinnie łatwy sposób.

Belkoczając między sobą, zeskakiwali teraz z drzew, pomagając jeden drugiemu. Byli niewysocy i mocno owłosieni, ubrani w coś, co przypominało krótkie fartuchy utkane z pedów winorosli. Włosy porastały im zewnętrzna stronę ramion i nog, barki i wydatne brzuchy, które widac było wyraźnie spod fald fartucha. Ich twarze, całkiem gołe, pomarszczone, mocno czerwone, kontrastowały z oliwkowobrazową skórą ciała, dając się zauważyć mimo bujnego owłosienia.

Sander nie rozumiał ich skrzekliwego języka, a poza pałkami nie dostrzegł żadnej innej broni. Po chwili zobaczył, że jedna z istot zmierza prosto w jego kierunku. Cios był bardzo silny i kowal poczuł, jakby coś w jego głowie nagle eksplodowało. Nie stracił jednak przytomności.

Gdy go podniesiono, cały czas opleciony był siecią. Lesne stworzy cuchnęły tak bardzo, że aż go zemdliło. Pomrukiwały niewyraźnie i raz po raz głośno prychały. Być może wazył zbyt dużo i to im przeszkadzało.

Musieli zauważyć, że wciąż jest przytomny i mniej więcej wie, co się z nim dzieje, bo jeden z lesnych ludzi - jeśli w ogóle można było określić ich tym mianem - zbliżył szkarłatną głowę do jego twarzy, wyszczerzył zęby i znacząco potrząsnął pałką tuż nad głową kowala. Sander nie chciał znowu oberwać. Nie było sensu dąć się stłuc na miazgę. Leżał więc spokojnie i czekał, co będzie dalej.

Kowal, ciasno opleciony siecią, poczuł, że znajdują się wysoko nad ziemią. Widocznie lesne stworzy zazwyczaj poruszały się po drzewach. Głowa bolała go niemiłosiernie; cały czas miał wrażenie, że za chwilę runie w dół i roztrzaska się o ziemię. Uczucie to wzmagало się, gdy przekazywali go sobie z konara na konar. W końcu zamknął oczy i starał się zebrąć siły. Na pewno będzie ich potrzebował, gdy skończy się ta koszmarna podróż.

Nie miał wątpliwości, że Fanyi przechodziła teraz podobne meczarnie, jednak nie słyszał, by dała to po sobie poznać. Możliwe, że była nieprzytomna. Stało się jasne, że choć wiedziała sporo o tych lasach, atak człekokształtnych stworów zupełnie ją zaskoczył.

Nawet teraz, otepiały i półprzytomny, Sander widział, że istoty te nie miały z ludźmi zbyt wiele wspólnego. Różniły się też od zwierząt, z którymi członkowie Zgromadzenia utrzymywali pewne kontakty. Czerwona, warcząca gęba, która pojawiła się przed nim chwilę wcześniej, kryła w małych, ruchliwych oczkach tylko nienawiść i nieokiełzana dzikość. W dodatku lesne stworzy rozsiewały dookoła dławiaczy smród.

Sander czuł, że ciągną ich gdzieś w głąb kniei. Dudnienie nie ustalo i mieszało się teraz z łomotem serca, które waliło mu jak szalone. Nie przypominał sobie, by Kupcy wspominali o czymś takim w swoich opowieściach. Bum... bum...

Dudnienie nie wykrystalizowało się jednak w żaden konkretny dźwięk, choćby taki jak głosne pulsowanie krwi, które czuł teraz w skroniach. Zupełnie jakby całe ciało poddało się temu dudnieniu i pulsowało razem z nim. Pomruki lesnych stworzeń (Sander dalej nie potrafił myśleć o nich jak o ludziach) nasiliły się teraz.

Nagle kowal poczuł gwałtowny wstrząs, a chwilę później kolejne uderzenie. Ból rozszedł się po głowie niczym gorąca fala. Ocknął się już na ziemi. Słońce świeciło mu prosto w twarz, tak że musiał zamknąć oczy.

Gdy przekrecił lekko głowę i otworzył je z powrotem, zdążył jeszcze zobaczyć ostatniego ze stworów, który wskazywał na drzewo po przeciwnej stronie polanki.

Czyżby odeszli?... Może więc była jakaś szansa ucieczki? Uścisk sieci stawał się nie do wytrzymania. Sander mógł wprawdzie czułgac się powoli, ale żadne z pnaczy nie obluźniało się przez to ani trochę. Przeciwnie, miał wrażenie, że z każdą chwilą sieć zaciska się coraz mocniej. Zdolał się jednak obrócić na tyle, by wśród lin, które ją krepowały, dostrzec Fanyi.

Nigdzie nie zauważył lesnych stworów. Polanka, na której leżał, była usłana kamieniami. Uwagę kowala przykuło stworzenie, które przykucnęło na jednym z nich.

Postać wyglądała jak wyciosana z drewna, w dość zresztą prymitywny sposób. Miała z pewnością przedstawiać jednego z lesnych stworów, choć była przynajmniej trzy razy wyższa. Od razu też rzuciło się w oczy, że to samica. Jej ohydna twarz przypominała szkarłatną plamę. Przygarbione ramiona oplatał naszyjnik z wypolerowanych orzechów i nasion. Istota siedziała z rękami po bokach, a głowę miała wysuniętą do przodu w taki sposób, jakby przyglądała się więzniom.

I nagle...

Jedno z małych i, jak mu się wydawało, zrobionych z kwarcu lub kolorowego kamienia oczu mrugnęło nieznacznie. To coś... żyło!

Sander poczuł, że usta ma suche i spierzchnięte. Mógł pogodzić się z obecnością posadzki, ale fakt, że żyło... To było już ponad jego siły. Koszmar stał się rzeczywistością. Monstrum otworzyło paszczę i pokazało dwa rzędy ostro zakończonych kłów, z których jeden był wyraźnie krotszy i ulamany. Spomiędzy zębów, niczym obrzydliwy robak, wysunął się długi błady jezor.

Stworzenie uniosło głowę i zawyło. Był to przedziwny głos - przypominał okrzyki zerujących w nocy zwierząt. Wezwaniu odpowiedział chor cichszych głosów. Sander

zorientował się, że lesne istoty ukryte w koronach drzew odpowiedziały na sygnał dany przez monstrum.

Choc nie miał pojęcia, co znaczyły te niesamowite dźwięki, czuł narastający strach i napięcie. Miał wrażenie, jakby wkrecono go w imadło. Kompletnie nie mógł się poruszyć. Sieć oplatała go coraz mocniej. Czuł, jak bagaż wbija mu się w plecy.

-Aeeeeheeeee! - Jak przez mgłę przypomniał sobie, że słyszał już gdzieś taki okrzyk. To Fanyi. Jednak teraz brzmiał w nim ton biernej rozpacz, a nie wołanie o pomoc.

Monstrum ucichło. Spasione cielsko przesunęło się na skraj legowiska i wysunęło głowę do przodu. Małe oczka uważnie przyglądały się więzniom. Chwile później, prawie niedbalym gestem, stwor chwycił leżący obok kamień i cisnął nim w dziewczynę.

Kamień wylądował o parę centymetrów od jej głowy. Kowal pomyślał, że gdyby stworzenie chciało trafić, Fanyi leżałaby teraz na polance z roztrzaskaną czaszką. Ostrzeżenie było zupełnie jasne, ale dziewczyna nie zwróciła na nie najmniejszej uwagi.

-Aeeeeheeeee! - Po raz kolejny wysłała sygnał, który odbił się echem wśród leżących na polanie głazów.

Sander wreszcie sobie przypomniał. W ten sposób Fanyi przywołała Kai i Kayi, gdy byli jeszcze na równinie. Czyżby wyczuli gdzieś w pobliżu obecność swoich towarzyszy?

Ogromna samica chrzaknęła głośno i wyciągnęła grube ramie, szukając następnego kamienia. Po chwili z niemalym trudem podniosła się i wstała. Sander głośno wypuścił powietrze z płuc. Choc jej legowisko znajdowało się wyżej, niż leżeli więźniowie, wyraźnie było widać, że jest od kowala wyższa przynajmniej o głowę. Gorowała wzrostem nie tylko nad lesnymi stworami, ale i nad ludźmi, których znał.

Powoli zeszła z podwyższenia. Stapała niepewnie, jakby bojąc się, że kamienie obsuną się pod jej ciężarem. Gdy stanęła już na ziemi, pochylila się, by złapać Fanyi. Sander szarpnął się w beznadziejnej próbie uwolnienia z krepujących go więzów. Czuł, że za chwilę będzie świadkiem czegoś przerażającego.

Nagle w powietrzu przemknęło coś z sykiem. To Kai, niczym uskrzydłony, wylądował na karku samicy i wpil się zębami w jej masywną, grubą szyję.

Lesny potwór zawył i wyprezył się jak struna. Próbował strzasnąć z pleców kune, która wgryzała się głęboko w jego ciało. Kilka sekund później na polanie pojawiła się mniejsza kuna - Kayi. Nie skoczyła z góry na samice, lecz podbiegła i wbiła kły w jej mięsistą pierś.

Skowyt samicy wywołał poruszenie w koronach drzew. Sander spodziewał się, że za chwilę przybędą z odsieczą jej podwładni, ale widać zaden z nich nie odważył się zeskoczyć na ziemię. Lesne istoty pokrzykiwały tylko, obserwując zmagania samicy i kun. W końcu

stworowi udało się odtrącić Kayi. W szczękach kuny tkwił kawał krwawego mięsa. Gdy jednak samica usiłowała zrzucić z siebie Kai, mniejsza z kun zaatakowała ponownie, najwyraźniej niezrażona niepowodzeniem.

Nagle z gardła monstrum trysnęła fontanna krwi. Kayi musiała przegryźć tętnice. Lesna samica wydała rozpaczliwy krzyk i osunęła się na kolana. Kayi rzuciła się na nią, ze zdwojoną furia szarpiać jej ciało. Stworzenie próbowało jeszcze stracić Kai z ramion, ale w chwili później osłabło i runęło na ziemię. Jego okropna, przypominająca maskę śmierci głowa spoczęła na kamieniach, mokrych teraz od potoków cuchnącej krwi. Na polanie zaległa martwa cisza.

Kuny wycofały się, jakby nie mogły znieść zapachu i smaku ciała samicy. Sander zamarł. Czekal na odpowiedź stworów ukrytych w koronach drzew. Był pewien, że za chwilę wpadną na polanę i zatłuką na śmierć obie bestie, a także bezbronnych więźniów. Choć monstrum leżało pokonane, on i Fanyi byli w dalszym ciągu bezsilni.

Dudnienie ustalo. Kowal uswiadomił sobie, że już go nie czuje. Jednak w koronach drzew cały czas slychac bylo szmer i szelest lisci. Sander przygotowywal sie w duchu na ostateczny atak. To, że lesni ludzie nie rzucili się na nich, jeszcze bardziej go przerazało. Bał się, że nie zabija ich od razu, ale poddada jakimś wyszukany i okrutnym torturom.

Kuny przykucnęły przy Fanyi. Cały czas uważnie obserwowały pobliskie drzewa. Choć pokazały, że potrafią walczyć, Sander wiedział, że jeśli lesne stwory użyją sieci, kuny będą tak samo bezradne jak ich pani.

Sekundy mijaly bardzo powoli. Nastala zupelna cisza. Umilkly szmery w koronach drzew. Slonce prazylo niemilosierdzie. Na polanie unosil sie zapach smierci.

-Odeszli - przerwała Fanyi panująca cisze.

-Co? - Spróbował unieść głowę i przyrzec się lepiej otaczającym ich drzewom.

-Odeszli - powtórzyła dziewczyna.

Może tylko na chwilę? Nie uwolnili przecież jenców. Teraz, gdy nie groziło im już bezpośrednio niebezpieczeństwo, Sander zdał sobie sprawę, jak mocno sieć wpijała mu się w ciało; ból był nie do zniesienia.

-Nie ruszaj się - powiedziała Fanyi. - Słyszałam coś niecoś o tych pnączach. Można się z nimi uporać... Leż spokojnie, a ja postaram się wytłumaczyć Kayi, co ma robić.

I tak nie mógł nawet drgnąć. Leżał więc nieruchomo, gdy nagle ogarnęło go przerażenie. Jeśli nie uda mu się oswozić, a liny będą dalej zaciskać się na jego ciele, w końcu potną go na kawałki. Jego własny bagaż zgniecie go na miazgę. Przerażało go też, że był całkiem bezsilny. Mógł tylko leżeć jak kłoda i czekać na ratunek.

Słońce paliło mu twarz. Bol głowy wrócił; powodował nieznośną suchotę w ustach i pragnienie. Sander marzył choćby o kropli wody... i o tym, by wreszcie swobodnie rozprostować kości. Kai siadła przy Fanyi. Pyskiem dotykała prawie jej twarzy. Panowała całkowita cisza. Dziewczyna i kuna wymieniały długie spojrzenia.

Tymczasem Kai krążył po polanie. Zatrzymywał się pod każdym drzewem i spoglądał w górę, szukając lesnych stworów. Jego masywna sylwetka co chwila pojawiała się i znikła za skalnymi blokami. Raz czy dwa wspinał się na tylnych łapach, oparł o pień drzewa i weszyl. Zupełnie jakby chciał wyczuć coś, czego nie mógł zobaczyć.

Sander spojrzal z powrotem na Fanyi i Kai. Kuna odeszła od dziewczyny i umoczyła przednie łapy we krwi zabitej samicy. Po chwili wytarzała je w piasku, który zmieszał się z krwią i utworzył grubą, błotnistą skorupę.

Tak przygotowana, Kai wróciła do dziewczyny i zabrała się do rozrywania pnczy. Widac było, że używa do tego całej siły.

Musiła jeszcze parę razy umoczyć łapy we krwi, a potem w piasku, by nie kleiły się do lepkich pnczy. Sander zaczął powoli tracić przytomność. Raz po raz zapadał w letarg, to znowu trzeźwiał na moment. Potworny ból w głowie i ucisk sieci powodowały, że co chwila mdlał, tracąc przy tym poczucie upływającego czasu. Cały czas obawiał się, że lesni ludzie powroca, ale teraz było mu już wszystko jedno. W końcu osłabł i stracił przytomność.

Gdy się ocknął, poczuł jakiś płyn sciekający mu po policzku. Wciąż nie bardzo świadomy tego, co się dzieje, przelknął z trudem kilka kropeł. Mogł teraz swobodnie oddychać i nie czuł nieznośnego ucisku. Poruszył się i już wiedział, że jest wolny. Fanyi pochylała się nad nim, próbując wlać mu do ust trochę wody.

-My... - Jego głos brzmiał słabo i dochodził jakby z oddali.

-Mozesz się ruszać? - spytała dziewczyna. - Spróbuj! Mozesz usiąść... wstać?...

Jej ponaglący ton nie przedarł się przez zasłone otępienia. Jednak posłuszny poleceniom, kował najpierw spróbował ukleknąć, a potem, z pomocą Fanyi, chwiejnie wstał.

Promienie słońca nie paliły już tak mocno. Wciąż jednak znajdowali się na polanie, a ciało samicy... Sander szybko odwrócił wzrok.

-Chodź! - Dziewczyna pociągnęła go za sobą, więc w końcu ruszył naprzód. Po paru krokach zatrzymał się jednak i zawahał.

-Moje narzędzia! - Była to pierwsza trzeźwa myśl. Nie miał zamiaru porzucić rzeczy, z którymi wiązała się cała jego przeszłość.

-Kai je przyniesie! - rzuciła dziewczyna. - Chodź wreszcie! Kai szedł za nimi, taszcząc

bagaz kowala i co chwila zerkając na pakunek, który od czasu do czasu zaczął o jakis głos lub wystająca gałąź. Sander nie protestował. Wiedział, że jest zbyt słaby, aby dźwigać taki ciężar samemu.

Ruszył przed siebie chwiejnym krokiem. Czuł, jak krew na nowo zaczyna krążyć w odretwiących członkach. Świadomość, że powracają mu siły i znowu może trzeźwo myśleć, poprawiła mu nastrój.

-A co z lesnymi... - Próbował znaleźć słowa, które wyraziłyby najlepiej to, co chciał powiedzieć.

-Nie wrócili... Nie wiem, czemu - przyznała dziewczyna. - Może po śmierci samicy boją się Kai i Kayi i nie chcą im wchodzić w drogę. A może czają się gdzieś dalej. Tym razem jednak nie zaskoczą nas tak łatwo. Moje kuny nie pozwolą im podejść niepostrzeżenie.

-Dokąd idziemy?

-Niedaleko stąd jest ścieżka - odparła. - Biegnij na prawo... na wschód. Myślę, że bezpiecznie będzie podróżować wzdłuż morza, z daleka od lasu.

Całkowicie się z nią zgadzał. Fanyi podeszła bliżej i oddała mu miotacz strzałek.

-To twoja broń. Trzymaj ją w pogotowiu. Nie wiadomo, jaka zemsta mogą obmyślić te stwory.

Z radością wziął miotacz. Jeśli miała rację i kuny rzeczywiście mogły ostrzec ich przed następną zasadzką, taka broń mogła się przydać.

Tym bardziej że z tego, co zauważył, ich przeciwnicy uzbrojeni byli tylko w prymitywne maczugi.

Widząc, że kowal może już iść bez pomocy, Fanyi wysunęła się trochę do przodu. Niosła swój bagaż sama, a u jej boku kroczyła Kayi. Pochód zamykał Kai, który taszczył cały dobytek Sandera. Kowal złapał się na tym, że mimowolnie nasłuchuje.

Zdaje się, że dudnienie skończyło się na dobre. W lesie panowała niczym niezmacona cisza. Nawet ptaki umilkły i wyglądało na to, że są w tej głuszy jedynymi żywymi istotami. Chwilę później jednak Sander usłyszał jakiś stłumiony, odległy dźwięk, jakby warczenie. Rhin! Jeśli kojot szedł ich tropem, on także może wpasć w zasadzkę! A Sander nie miał żadnego sposobu, by go ostrzec. Chociaż...

Zatrzymał się, nabral powietrza i wydal głosny okrzyk. Nie był to gwizd, którym zwykle przywoływał kojota. Przypominał raczej ryk wielkich, gorskich kotów. Czy Rhin odbierze ten znak jako ostrzeżenie, tego Sander nie wiedział... Mogł tylko mieć nadzieję, że tak się stanie.

Obie kuny odwrocily sie, warczac glosno. Fanyi tez byla wyraznie zaskoczona jego zachowaniem, ale Sander powtorzył sygnał jeszcze dwa razy. Miał nadzieje, że desperacja, która popchnęła go do tego, nadała jego głosowi odpowiednią siłę i ton.

-To dla Rhina - wyjaśnił. - Nie chce, by i on wpadł w zasadzkę. To okrzyk wojenny dawnych wrogów. Mam nadzieje, że w jego uszach zabrzmiał jak ostrzeżenie.

Dziewczyna kiwnęła ze zrozumieniem głową i ruszyła dalej. Sander zorientował się, że to, co określiła jako ścieżkę, dawniej musiało być całkiem szeroka droga. Może nie tak szeroka jak ta, która szli poprzednio, ale z pewnością nie była to zwyczajna lesna ścieżka. A te głązy na polance... Teraz dotarło do niego, że ułożone były dziwnie równo i nienaturalnie. Całkiem prawdopodobne, że zostały tam ustawione przez człowieka, i to w jakimś konkretnym celu.

Z ulgą zauważył, że las stopniowo rzednie. Z radością też przyjął narastający szum, znak, że zbliżali się do morza. Wiedział, że na otwartej przestrzeni będą bezpieczniejsi, a w każdym razie wolni od niespodziewanego ataku z drzew.

Szli teraz coraz szybciej. Sander odzyskał już siły na tyle, by samemu dźwigać swój bagaż. Wśród rzędnych drzew pojawiły się pierwsze bloki skalne. Może kiedyś były to domostwa? Jednak nie to zaprzętało teraz kowala. Chciał jak najszybciej wydostać się na otwarty teren. Drzew było coraz mniej. Gęste krzewy, wysoka trawa i porozrzucane wszędzie głązy co chwila zagrażały im drogę. Wciąż musieli zbaczac ze szlaku i obchodzić je dookoła. Kuny bez trudu pokonywały wszelkie przeszkody, jednak Sander i dziewczyna poruszali się o wiele wolniej.

W końcu zobaczył czyste niebo i bezkresne morze, nad którym zawisło zachodzące słońce. Wspiał się na jeden z głązów. Chciał się upewnić, że to, co widzi, nie jest złudzeniem. Wzdłuż plaży, wzbijając w górę tumany piasku, biegł Rhin! Kojot ploszył morskie ptaki, które pokrzykując, latały nad plażą. Sander wyraźnie słyszał tęskne i głośne naszczekiwanie Rhina.

Przedzierali się teraz przez gęste krzewy, buty trzeszczały na piasku. Podmuchał świeżej, morskiej bryzy wywiał z ich głów niemile wspomnienie nawiedzonych lasów. Rhin podbiegł do nich i zaczął obwachiwać kowala. Musiał wyczuć zapach sieci lub nieprzyjemną wonię lasnych stworów, bo warknął cicho. Skierował rozumny wzrok w stronę kniei i wyszczerzył zęby.

-Nie trzeba! - uspokoił go Sander. - Jesteśmy wolni!

Aby jak najszybciej oddalić się od linii lasu, znów ruszyli na północ. Tym razem jednak trzymali się brzegu morza i szli wzdłuż plaży. Na wiele kilometrów przed i za sobą mogli teraz zauważyć niebezpieczeństwo, gdyby im groziło.

-Kto... co to było? - spytał Sander, gdy już rozbili oboz między wydrami. W ognisku piekły się kraby, które Rhin powyciągał z jam na plaży. - Słyszałaś coś o nich lub widziałaś ich

kiedys wcześniej?

-Lesnych ludzi? - Fanyi rozpakowała właśnie swój bagaż i przeglądała starannie cały dobytek. Widocznie bała się, że w czasie ostatniej przygody coś mogło ulec uszkodzeniu. - Nie wiem, kim oni są. Widocznie przybyli tu niedawno. Moi ludzie wędrowali po tych lasach każdej jesieni w poszukiwaniu orzechów i nigdy nie natknęli się na te istoty. Dlaczego zapytales, co to było? Nie uważasz ich za ludzi?

-No... nie wiem. Są bardziej podobni do zwierząt... Niewiele mniej niż Rhin czy twoje kuny. Jak myślisz, dlaczego służyli tej samicy?

-W Mrocznych Czasach zaszło w ludziach i zwierzętach wiele dziwnych zmian. Moj ojciec - reka Fanyi zacisnęła się na medalionie - sporo o tym wiedział. Opowiadał matce o zwierzętach, które coraz bardziej upodabniały się do ludzi. Możliwe, że było i na odwrot. Niektórzy ludzie mogli z czasem zbliżyć się do zwierząt. Te lesne stwory wyglądały na gorzej rozwinięte nawet od niewolników, a jednak było wyraźnie widac, jak mocno są ze sobą związane. - Sander spostrzegł, że oczy dziewczyny płoną teraz tym samym blaskiem, jak wtedy, gdy opowiadała mu o ludziach, którzy wymordowali rybaków z Padford. - Myślę, że chcieli złożyć nas w ofierze i w ten sposób przypochlebić się samicy.

Kowal poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach. Wolal nawet nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby zwierzęta nie przyszły im z odsieczą. Zauważył, że ani jego kojot, ani kuny nie oddaliły się tej nocy od obozowiska. Zwierzęta cały czas trzymały się blisko ognia. Może tak samo jak ludzi przeraziła je odmiennosc tego świata i czuły niebezpieczeństwo czające się w ciemnościach.

Zaproponował, by czuwali na zmianę i cały czas dokładali do ognia. Fanyi chętnie na to przystała. Nakłoniła go jednak, by położył się pierwszy. Twierdziła, że przez uciskający bagaż na plecach to on ciężiej zniosł niewolę w sieci. I choć protestował, w konfrontacji z jej troską i dobrą wolą jego meska duma wydała się dziecinna.

Obudził się późno w nocy. Rhin leżał z głową złożoną na przednich łapach. Sander wiedział, że czujny kojot obserwuje go spod przymkniętych powiek. Dorzucił więc do ognia i spojrzał na kuny, które skuliły się w pobliżu paleniska. Między nimi spała Fanyi.

Czyste niebo lśniło tysiącami gwiazd. Jednostajny szum fal działał usypiająco. Sander wstał. Kojot natychmiast unosił łeb, ale kowal gestem kazał mu zostać, a sam zszedł w dół plaży, zbierając drewno. Był zbyt niespokojny, by usiedzieć w miejscu. Wracając do obozowiska, spojrzał na czarną linię lasu. Czy lesne istoty podążały ich tropem? Czy odwaga się opuścić knieje i ruszyć w poscig za tymi, którzy zabili ich... No właśnie, czym była dla nich ta samica? Wodzem? Matką plemienia? A może istota o nadprzyrodzonej mocy, Szamanka? Pozostanie to już na zawsze tajemnica mrocznej puszczy. Sander wiedział tylko, że monstrum nie mogło mieć nic wspólnego z nim czy z Fanyi. Nawet ich zwierzęta wydały mu się bardziej ludzkie od olbrzymiej samicy.

Kowal zdal sobie sprawę, jak wiele niespodzianek może jeszcze kryć ten dziwny świat. Musieli teraz poruszać się o wiele ostrożniej i traktować wszystko, co napotkają na swej drodze, jak potencjalne zagrożenie.

Powoli wrócił do ogniska i dołożył drewna. Rhin uspokoił się i zamknął oczy dopiero wtedy, gdy Sander na nowo usadowił się przy ogniu. Fanyi spała, spokojnie oddychając. Jej twarz przybrała łagodny i niewinny wyraz. Dziewczyna wiele przeżyła. Sander miał świadomość, że ona i jej towarzysze uratowali mu życie. Myśl ta wcale nie poprawiła mu nastroju. Zachował się jak niedoswiadczony młodzik, który nie potrafi zapanować nad własnym stadem. Po dzisiejszej przygodzie niewiele miał powodów do dumy.

Zmarszczył brwi. Gniewnym ruchem chwycił torbę i wyciągnął z niej narzędzia. Przyglądał się im uważnie. Oba znalezione w Padford młoty trzeba było zaopatrzyć w solidne trzonki. Na plaży pełno było wysuszonego drewna i patyków. Niestety, nie nadawały się do takiego celu. Gdyby jednak miał trochę czasu, poszukałby odpowiedniego materiału, z którego później można by zrobić solidne trzonki. Popatrzył na młoty i już wiedział, że jeśli odpowiednio dobierze drewno, będą znakomicie wyważone.

Pomyślał teraz o ich poprzednim właścicielu. Ciekawiło go, jakim był kowalem? Przyszło mu nawet na myśl, by zapytać Fanyi, ale zrezygnował. Nie chciał znowu przypominać dziewczynie o tragedii jej bliskich.

Jego myśli pobiegły teraz innym torem. Zaczął się zastanawiać, jaka tak naprawdę bron miała znaleźć dziewczyna w ruinach zaginionego miasta, bron, która pozwoliłaby jej pokonać najeźdźców z południa. Czy naprawdę istniało jeszcze coś takiego? Szczerze w to wątpił. Choć z drugiej strony nie miał wątpliwości, że dziewczyna naprawdę coś wiedziała o położeniu Starożytnego Miasta.

Metal...

Myślał o miedzi, złocie, srebrze... O żelazie. Metale, które znalazł, łatwo poddawały się obróbce. Gdyby tylko udało mu się poznać tajemnice nieznanymi stopów, których właściwości nie znał dzisiaj już nikt! Nieswiadomie zacisnął dłoń na złamanym trzonku jednego z młotów. Poczul nagły, niespokojny impuls, żeby wstać i biec przed siebie... i jak najszybciej zgłębić tajemnice, których rozwiązanie obiecała mu dziewczyna.

Pohamował jednak rozpaloną wyobraźnię. Nie mógł do końca zrozumieć istoty tego, czego szukała Fanyi. Nie chciał zbyt liczyc na szczęśliwy los, przynajmniej do momentu, w którym nie zetknie się z nim twarzą w twarz. Powoli zapakował swój dobytek i związał torbę. I tak mieli dużo szczęścia, że udało im się dożyć wieczora.

Przez dwa dni wędrowali po wydmach. Kraina wydawała się całkiem opustoszała. Spotykali tylko morskie ptaki, skorupiaki i kraby, na które polowali. Daleko na zachodzie rozciągała się ciemna linia lasu. Między nimi a puszcza leżała rozległa równina, porośnięta

rzadka trawa i krzewami, które słony morski wiatr uformował w dziwne kształty.

Trzeciego dnia, nad ranem, znaleźli się na przedziwnym pustkowiu. Linia brzegu zakreślała tu wyraźnie na wschód. Teren przed nimi obniżał się, odsłaniając krainę, która dawniej zalewały wody oceanu. Masywne głazy były opasane pierścieniami z martwych skorupiaków, a między wygładzonymi przez wodę kamieniami, na wpol pogrzebane w wyschniętej ziemi, wycierały tu i owdzie szczątki morskich stworzeń.

Sander chciał iść bardziej na zachód i ominąć pustynię, Fanyi jednak wahała się. W skupieniu obserwowała medalion. Sander wiedział, jak bardzo polegała na tym starożytnym przedmiocie.

-To, czego szukamy, znajduje się tam! - Pokazała wprost przed siebie, na pustynię.

-Daleko stąd? - spytał, bo nie bardzo podobał mu się ten szlak.

-Nie wiem.

-Musimy wiedzieć więcej, jeśli chcemy wędrować przez to pustkowie... - pokręcił głową. - Zapasy są na wyczerpaniu, na pustyni nie znajdziemy nawet krabów i małży, a bukłak z wodą, choć napełniłem go dziś rano przy strumieniu na wydmach, też nie wystarczy na długo.

-Możemy iść na zachód, ale nigdy nie wiadomo, ile drogi trzeba będzie w ten sposób nadłożyć - odparła.

Sander spojrzał w tamtą stronę. Plaża, która wędrowali dotychczas, przechodziła dalej w skaliste urwisko. Na jego szczycie rosły drzewa. Kolejny las? Kowal nigdy się na to nie zdecydował po tym, co przeszli niedawno. Każda droga, byle nie lesne ścieżki. Z drugiej jednak strony wiedział, że pustynia może zaprowadzić ich donikąd, jeśli będą polegać jedynie na niejasnych wskazówkach Fanyi.

Co prawda widział na tej pustyni kilka krzewów i trochę trawy. Może kraina nie była zupełnie wymarła. Porozsiewane tu i owdzie skały mogły służyć za drogowskaz, więc chyba nie zablądza, gdy straca już z oczu brzeg morza.

-Będziemy szli przez cały dzień - zaproponował. - Jeśli nie trafimy na nic... zawrócimy.

Fanyi przytaknęła, ale zdawało mu się, że w ogóle go nie słuchała. Pusiła medalion i ruszyła przed siebie. Widac było, że jest zdecydowana stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu.

Rhin poczłapał za nią, ale kuny zostały w miejscu, wierząc się niespokojnie. Prychały przy tym i warczały, okazując niezadowolenie. Ruszyły dopiero wtedy, gdy Fanyi je przywołała. Nietrudno było zgadnąć, że nie czuły się najlepiej na tym pustkowiu.

Z początku dawne dno oceanu było piaszczyste i gładkie. Szło się po nim dość dobrze. Wkrótce jednak zaczęły się pojawiać niskie zwirowate nasypy, a gdzieś tam duże, wygładzone przez wodę kamienie. Ziemia obsuwała się lub zapadała pod stopami. Sander pomyślał, że równina, którą właśnie opuścili, musiała kiedyś, w Dawnych Czasach, stanowić jedno z ramion olbrzymiej zatoki.

Mijali właśnie szkielet jakiegoś ogromnego morskiego stworzenia. Słońce przebijało przez platanine kości. Niewykluczone zresztą, że był to wrak statku, oblepiony przez morskie skorupiaki, wyschłe teraz i zbielejące w słońcu. Sander nie potrafiłby powiedzieć, czym naprawdę jest ten monstrualny szkielet.

Teren nie był jednolicie płaski. Dookoła widzieli niewielkie wzniesienia i płytkie rozpadliny. W jednej z małych dolinek natknęli się na słone bajory, być może jedyna pozostałość po zalewających niegdyś te krainy wodach oceanu.

Szli i szli. Kowal odwrócił się, ale nie mógł już wypatrzeć skraju równiny, z której zeszli na to wymarłe, morskie dno. Czuli, że z każdym krokiem narastają w nich wątpliwości. Miał wrażenie, jakby to miejsce odrzucało wszelką formę życia, a sama ich tutaj obecność zakłócała odwieczną pustkę martwej okolicy.

Po jakimś czasie dotarli do głębokiej rozpadliny i stojąc na skraju jej poszarpanego urwiska, zajrzeli w głąb. W dole płynęła rzeka. W jaki sposób mieli ominąć taką przeszkodę? Kuny zaczęły ostrożnie schodzić w stronę wody. Sander wiedział, że on i dziewczyna dadzą sobie radę, ale Rhin był zbyt duży i ciężki. Będą musieli pójść dalej na zachód, wejść głębiej w pustynię i znaleźć miejsce, w którym przeprawią się na drugi brzeg.

Jednak obecność rzeki rozwiązywała inny problem, pomyślał Sander, obserwując kuny, które zanurzyły pyski w chłodnej, słodkiej wodzie i piły lapczywie.

Powoli przemieścili się bardziej na zachód. Okazało się, że kowal miał rację. Strome zbocze obniżало się tutaj, a koryto rzeki było szersze. Obeszli szczatki czegoś, co, jak sądził, było kiedyś częścią jakiegoś okrętu i natknęli się na rząd skalnych bloków. Na pierwszy rzut oka było widać, że to nie siły natury ustawiły je w ten sposób. Za skalnym murem odkryli kolejne kamienie, które kiedyś, bardzo dawno temu, mogły wyznaczać początek jakiejś drogi. Natrafili również na ogromne skalne twory przypominające przewrócone kolumny. Z pewnością były bardzo stare, bo pokrywała je gruba i twarda warstwa zaschniętych skorupiaków. Sander wpatrywał się w nie z podziwem, a Fanyi obejrzała z bliska powierzchnie.

-Stare... bardzo stare - powiedziała z zachwytem. - Może kiedyś nadciągnęły Mroczne Czasy, które zalały te tereny woda, a dopiero potem Dawne Czasy, które my znamy, przeganiając stąd ocean odsłoniły te ruiny. Gdybyśmy tylko wiedzieli... - W jej głosie wyczuł tęsknotę i smutek, jakie i sam odczuwał, patrząc na pozostałości dawnej cywilizacji.

Nie odwazyli sie spedzic wiecej czasu posrod kamiennych ruin. Rozsadnie bylo jak najszybciej dotrzec do rzeki, porzucili wiec stary brzeg morza.

Zmierzch zaskoczyl ich w miejscu, w ktorym rzeka wpadala do oceanu. Znowu obozowali przy wtorce uderzajacych o wybrzeze fal. Drewna bylo tu dosyc, by rozpalic niewielkie ognisko. Wkrotce znad rzeki powrocily kuny, kazda z duza ryba w pysku. Fanyi podziwiala zdobycz; te doskonale ryby rybacy z Padford znali bardzo dobrze, choc rzadko udawalo im sie je zlowic.

Ryby smazyly sie juz nad ogniem, a Sander oparl sie wygodnie o duzy, wyzlobiony przez wode kamien i spogladal na rzeka. Choc jej wody plynely dosc bystro, rozlewaly sie u ujscia w szeroka delte i kowal mial nadzieje, ze w ciagu dnia nie beda miec powazniejszych problemow z przeprawieniem sie na drugi brzeg. Pomyslal, ze gdy znajda sie po drugiej stronie, moga ruszyc na zachod, wzdluz koryta, i w ten sposob przez jakis czas nie zabraknie im wody. I choc rzeka zmusila ich nieco do zmiany kierunku, jaki wyznaczyla dziewczyna, nie nalezalo sie tym specjalnie przejmowac.

Fanyi ulozyla przed soba muszle.

-To wlasnie jeden z cudow morza, kowalu. Kazda z nich jest inna. Kszalt czy wzor moga byc podobne... ale zawsze znajdzie sie roznice, chocby najdrobniejsza. Za niektore moglbys dostac od Kupcow zwoj miedzianego drutu lub brylke zardzewialego zelaza. Ja...

Sander juz nigdy nie dowiedzial sie, co chciala powiedziec. Obserwowal zachowanie Rhina, a teraz blyskawicznym ruchem siegnal po miotacz. Kojot zjezyl siersc, przymruzyll slepia i wyszczerzyl dlugie, ostre kly.

Kowal nasluchiwal w napieciu. Fanyi przykucnela kolo ognia z rekami na lbach swoich zwierzat. Kayi i Kai gniewnie posykiwaly.

Uslyszeli glosny plusk... od strony morza czy rzeki? Sander nie byl pewien. Rhin znow warknal ostrzegawczo.

-Pochodnia! - szepnal Sander.

Dziewczyna chwycila gruby wysuszony badyl i wlozyla w plomienie. Gdy galaz sie zapalila, Fanyi zakrecila nia mlynka nad glowa, rozpraszajac ciemnosci. Zanim Sander zdazyl ja powstrzymac, skoczyla do przodu i wspielala sie na jeden z glazow, wymachujac przed soba prowizorycznym luczywem.

Wchwile pozniej byl juz przy niej. W reku trzymal gotowy do strzalu miotacz. W ciemnosciach rozlegl sie glosny rechot. Po chwili w swietle pochodni, tuz nad rzeka, dostrzegli jakas postac. Jej cialo polyskiwalo w blasku ognia, jakby istota dopiero co wyszla z wody.

Postać stała na dwóch nogach, jak człowiek, jednak z ludzmi musiała mieć jeszcze mniej wspólnego niż lesne stworzy. Na piersiach zwisały jej faldy luznej, bladej skóry, ręce i nogi sprawiały wrażenie całkiem płaskich. W miejscu ust zionęła przepastna dziura, z której dobywał się rechot. Oczy stworza były rybie i wylupiaсте, ale...

W miejscu talii tej dziwnej istoty Sander dostrzegł coś, co wyglądało na pas lusek, z którego wystawały dwa długie i ostro zakończone szpikulce, wykonane, jak pomyślał, z kości, bo z pewnością nie z metalu.

-Nie strzelaj! - krzyknęła Fanyi. - On się boi. Myślę, że zaraz odejdzie...

Nie zdążyła dokończyć, gdy dziwny stworz odbił się i błyskawicznie zanurkował. Światło nie sięgało dalej, więc od razu stracili go z oczu.

-Ogień... one boją się ognia - powiedziała to z takim przekonaniem, jakby w ciągu tych paru chwil udało jej się wnikać w umysł nocnego intruza.

Rhin minal ich i pobiegł na skraj rzeki. Warczał wściekle, wypatrując czegoś w ciemnościach. Sander zrozumiał, że należy obawiać się stworz zamieszkujących rzekę. Wiedział też, że jeśli mają przepłynąć na drugi brzeg, będą zmuszeni zanurzyć się w wodzie, która była żywiołem tych istot. I wcale nie podobala mu się ta perspektywa.

-Co to było? - spytał Fanyi.

Wiedziała więcej o tym kraju niż on. Teraz jednak i ona nie potrafiła dać mu zadowalającej odpowiedzi.

-Niewiele wiem. Takiego stworzenia, nie widziałam nigdy dotąd, choć między moimi ludźmi krążyła opowieść o dziwnej istocie, która wyszła z morza i pozrywała sieci, porywając przy tym nieostrożnych rybaków. Zdarzyło się to po wielkim sztormie. Morze przybrało wtedy czerwoną barwę. Woda potwornie śmierdziała i zdechło tyle ryb, że rybacy musieli je palić na ogromnych stosach. Zdarzyło się to w czasach matki mojej matki i nie powtórzyło nigdy więcej. Nikt też nie widział dokładnie tej morskiej istoty. Wierzono, że była inteligentna, bo sieci pocięto tak, by wyrządzić najwięcej szkód.

-To coś... - Sander zeszliźnął się z kamienia i usiadł na jej posłaniu. - To stworzenie w niczym nie przypominało człowieka.

-To prawda - przytaknęła - żyje przecież w wodzie. Posłuchaj!

Ponad huk fal i szum płynącej rzeki wzbil się inny dźwięk - głosny rechot. Czyżby nocny przybysz był tylko zwiadowcą jakiejś większej kompanii? Może powinni odejść dalej od brzegu. Jednak Sander nie bardzo miał ochotę błądzić teraz w ciemnościach.

W końcu zdecydowali, że zostaną tam, gdzie są. Mieli przecież ogień i trzech czujnych

wartownikow, Rhina i kuny. Musieli zebrac wiecej drewna. Sander robil wlasnie druga pochodnie, gdy dziewczyna wyjela z torby gruby pret, dlugi na kilkanascie centymetrow. Przekrecila jego dolna czesc i przycisnela cos palcem. Blysnelo to sam swiatlo, ktore oslepilo kowala przy ich pierwszym spotkaniu.

-Ta rzecz pochodzi jeszcze z Dawnych Czasow - stwierdzila z duma. - Nalezala do mojego ojca. Powiedzial, ze jej czas jest ograniczony i ze niedlugo zgasnie na zawsze. Teraz jednak mozemy jej uzyc.

Sander pokrecil glowa.

-Jesli ma zgasnac na zawsze, to lepiej zostawic ja na lepsza okazje. Skoro, jak twierdzisz, te wodne istoty boja sie ognia, uzyjemy ognia.

Pozbieral cale drewno, jakie udalo mu sie znalezc wokol obozowiska. Dziewczyna chodzila w slad za nim, oswietlajac droge pochodnia. Kowal zniosl znalezione drwa do ogniska. Mial nadzieje, ze wystarczy na cala noc. Nie zamierzali rozpalac wiekszego ognia, chyba zeby znow pojawily sie wodne stworzenia.

Tak jak poprzednio, zdecydowali sie czuwac na zmianie. Zwierzeta rowniez byly czujniejsze niz zwykle. Drzemaly kolo ogniska, co jakis czas wstajac i znikajac na chwile w ciemnoscach. Sander domyslil sie, ze okrazaly oboz.

On sam lezal, nasluchujac. Dokola panowala cisza, a daleki rechot zniknal bezpowrotnie. Jednak nawet gdy Fanyi objela warte, kowal nie zdolal usnac. Lezal na poslaniu, wpatrujac sie w plomienie, i pilnie nasluchiwal.

Nad ranem poszedl nad rzeka, by sprawdzic, czy moga sie przeprawic w tym miejscu. Fanyi twierdzila, ze cel jej poszukiwan lezy gdzies na drugim brzegu, dalej na polnocny zachod. Nawet gdyby wrocili na rownине, pokonujac te sama trase, ktora przebyli wczoraj, i tak musieliby przeprawic sie przez rzeka. A prawdopodobienstwo natkniecia sie na wodne potwory bylo tak samo duze tu, jak i tam.

Czy byl to jednak wystarczajacy powod, by ryzykowac przeprawe od razu?

Prad rzeki ostro wrzynal sie w tym miejscu w rozlegle wody oceanu. Sander wrzucil do wody kilka galezi. Silny nurt porwal je natychmiast i blyskawicznie poniosl dalej. Nie wrozylo to nic dobrego.

Uzywajac dlugiego kija, zbadal glebokosc wody przy brzegu. Siegala mu prawie do pasa. Dalej, jak przypuszczal, bylo glebiej; musieliby plynac, walczac przy tym z pradem, ktory znosilby ich w strone morza.

By wyplynac na drugim brzegu mniej wiecej na wysokosci miejsca, w ktorym znajdowali sie teraz, musieli wejsc do wody troche wyzej. Sander znal wiele rowninnych rzek, ale

zadna, wylaczajac oczywiscie okres wylewow, nie przedstawiala takiego problemu jak ta.

-Umiesz plywac? - spytal dziewczynne, ktora stanela obok. Sam nie czul sie w wodzie najlepiej. Wiedzial jednak, ze da sobie rade i doplynie na drugi brzeg. Pod warunkiem jednak, ze nocny gosc lub jego kompani nie utrudnia mu tego.

-Tak, a ty?

-Poradze sobie.

-Lepiej chyba - zdawala sie czytac w jego myslach - przeprowic sie tutaj. Na powrot zmarnujemy sporo czasu, a nie bedzie wcale prosciej.

Przygotowali sie wiec najlepiej, jak potrafili. Mocniej i wyzej niz zwykle przytwierdzili bagaze do grzbietu Rhina. Zdjeli tez czesc ubran, by ulatwic sobie przeprawe. W koncu, podpierajac sie kijem, Sander ostroznie wszedl do wody. Byla lodowata. Cialem kowala wstrzasnal nieprzyjemny dreszcz. Im glebiej sie zanurzal, tym silniejszy czul napor wody. Ostroznie stawial kazdy krok. Bal sie, ze dno urwie sie nagle, a wtedy nieszczescie gotowe. Obok niego szedl Rhin. Za soba slyszal plusk. Wiedzial, ze Fanyi i kuny podazaja jego sladem.

Przed wejsciem do rzeki przywiazal kawalkiem liny siebie i Fanyi do pakunkow na grzbiecie kojota.

Woda siegala mu teraz do ramion. Ze wszystkich sil probowal ustac na nogach. Nagle kij sie obsunal i kowal znalazl sie pod woda. Wynurzył sie, plujac i krztuszac, i z trudem zaczal plynac. W chwile pozniej nurt zniosl go w strone kojota, ktory rowniez walczył ze wzmagajacym sie pradem. Zaczelo ich znosic w dol rzeki.

Co bedzie, jesli nie starczy im sil? Przerazila go ta mysl. Przed wejsciem do wody kazal Fanyi przeciac laczaca ich line, jesli on i Rhin zostana porwani przez prad. Czul jednak, ze dziewczyna jeszcze sie na to nie zdecydowala.

Rhin mozolnie parl naprzod. Sander plynal tuz obok niego. Nie mial odwagi spojrzec, jak blisko morza ich znioslo. Z trudem posuwal sie do przodu. W wodzie czul sie tak samo osaczony, jak w lesie.

W koncu jednak kojot wyczul pod lapami dno i wydostal sie na brzeg. Sander chwycil laczaca ich line, ale potknal sie o lezacy na dnie kamien i znow znalazl sie pod woda.

Zdolal jednak wypelznac na brzeg, mocno trzymajac sie liny. Sznur napial sie i ciagnal go z powrotem w nurt. Odwrocil sie i z calych sil zaparl nogami.

W dole rzeki zobaczyl dziewczynne. Pojawila sie na chwile na powierzchni i za moment zniknela po woda. Znioslo ja troche dalej. Kowal klepnal Rhina, zachecajac go, by uzyl swej

sily rowniez do wyciagniecia Fanyi.

Udalo im sie przyciagnac dziewczynie blizej brzegu: na koniec znalazla sie w miejscu, w ktorym i oni wyszli z wody. Zanim kowal zdal sobie sprawe, w jakim byla niebezpieczenstwie, Fanyi, ociekajac woda i z posklejanymi wlosami, wyszla z trudem na brzeg.

W ich kierunku biegly kuny. Przeprowa przez nurt nie sprawila im wiekszych trudnosci. Stanely teraz przy Sanderze i dziewczynie, otrzepujac futra i chlapiac dokola woda. Rhin odwrocil sie w strone rzeki i wyszczerzyl kly.

Sander zauwazyl zmierzajaca w ich kierunku fale. Cos plynelo pod powierzchnia. Szarpnal line, ktora laczyła go z dziewczyna, i krzyknal:

-Ruszajmy!

Odwrocil sie i zaczal biec, ciagnac za soba Fanyi. Wiedzial, ze byli teraz zupełnie bezbronni. Rhin wysunal sie do przodu, a kuny trzymaly tylna straz, warczac i szczerzac kly.

Zatrzymali sie dopiero za zalomem skalnym, gdzie mogli sie na chwile ukryc. Kowal szybko wydobyl z torby miotacz, odwiazal line i oswobodzil kojota.

Wspial sie na grzbiet Rhina, a stamtad na szczyt najwyzszego glazu. Na gorze przypadl do skaly i uwaznie obserwowal droge. W dzien wszystko bylo widac bardzo dokladnie. Z wody wypelzlo kilka stworow podobnych do tego, ktory odwiedzil ich w nocy. Moglo ich byc nawet tuzin. Roznily sie od nocnego goscia. Kazdy z nich mial na sobie cos w rodzaju okraglego pancerza, wykonanego prawdopodobnie z duzej muszli. Glowe ochraniały im takie same helmy, a rece i nogi pokrywaly twarde plyty. Z pewnoscia byli gotowi do walki.

Trzymali dlugie wlocznie, zakonczone ostrymi, poszarpanymi szpikulcami. Sander zrozumial, ze zeby wokol ostrza mialy rozszarpywac rany. Napastnicy glosno rechotali, choc dzwiek tlumily helmy. Oddzial skokami poruszal sie naprzod.

Nawet jesli na co dzien zamieszkiwali rzeke, przemieszczanie sie na ladzie nie sprawialo im zadnych trudnosci. Sprawnie i szybko zblizali sie do Sandera. Kuny nie zaatakowaly ich od razu, tak jak i lesnych ludzi. Krazyly dookola, warczac i szczerzac kly, i powoli wycofywaly sie w glab ladu.

Sander wymierzyl dokladnie i strzelil. Choc strzal byl celny, lotka utkwila w pancerzu tuz nad ramieniem ofiary, ktora w ostatniej chwili zdazyla sie zaslonic. Kowal wiedzial, ze trucizna nie zadziala przez pancerz i ze rownie dobrze moglby spudlowac. Nalezalo celowac w nieosloniete miejsce miedzy helmem a twardym pancerzem na piersiach.

Atak wywarl jednak na obcych duze wrazenie. Zatrzymali sie i zbili w gromade. Trafiony stwor wyszarpnal sterczaca z pancerza strzalke i przyjrzel sie jej uwaznie. Rechot nasilil sie,

a napastnicy sprawiali wrażenie poruszonych. Mogły to jednak być tylko pozory.

Kowal zdążył już przeladować miotacz, ale przeciwnicy byli tak opancerzeni, że szkoda mu było marnować kolejne strzałki, jeśli nie miał pewności, że sięgną celu. Fanyi, już całkiem ubrana, wdrapała się na głaz i położyła obok Sander. Dotknęła reka miotacza i powiedziała.

-Przebierz się, a ja ich poobserwuję. Jeśli szybko czegoś nie włożysz, słońce boleśnie spali ci skóre.

Kowal prawie nie czuł palących promieni. Czy rozsądnie było zostawić Fanyi teraz na straży sama?...

-No, idź! - ponagliła go. - Używałam już kiedyś takiej broni. - W jej głosie słychać było irytację i złość. Widocznie zauważyła jego wahanie.

Wprawnym ruchem chwyciła broń i Sander przekonał się, że rzeczywiście nie trzymała jej w reku po raz pierwszy. Położył na kamieniu trzy dodatkowe strzałki i zsunął się w dół.

Ubrał się szybko i wrócił na posterunek. Od razu się zorientował, że kuny wycofały się pod skałę, na której leżeli. Wodne stworzenia otrzasnęły się już z szoku, jaki wywołał niespodziewany atak, i parły naprzód w ich stronę. Poruszały się drobnymi skokami, wcale jednak nie wolniej od normalnie idącego człowieka.

Zaledwie kowal zdążył się położyć, dziewczyna strzeliła. Przywódca dziwnego oddziału upuścił włócznię i głośno zarechotał. Ramie opadło mu bezwładnie. Sander zauważył, że stwor miał tylko cztery palce jednakowej długości. Strzałka utkwiała w łapie, przebijając ją na wylot. Sterczała teraz niczym piąty palec.

Stwory zgromadziły się, by obejrzyć rane towarzysza. Sander stwierdził, że to wyjątkowo prymitywna taktyka. Choć wiedziały, że znajdują się w zasięgu strzału, zachowywały się w taki sposób, jakby zupełnie traciły zainteresowanie czającym się wśród skał przeciwnikiem. Fakt, że ostentacyjnie lekcewały jakąkolwiek możliwość kontrataku ze strony ludzi uwieczonych wśród głazów, był naprawdę przedziwny. Możliwe zresztą, że istoty były tak tępe lub myślały w tak odmienny sposób, że nie łączyły strzałek z przeciwnikami, którzy schronili się na skałach.

Fanyi oddała kowalowi miotacz.

-Nie zabijaj ich, dopóki nie musisz - powiedziała. - Śmierć któregoś z nich może wywołać pragnienie zemsty.

-Skąd możesz to wiedzieć?

-Nie wiem... a może, raczej nie potrafię tego wyjaśnić. - Była zmieszana, tak jak wodne

stwory ogladajace strzalke. - Wiem po prostu, co mysla i czuja moje kuny. Te stworzenia boja sie... i sa niepewne. Mysle, ze jesli wyrzadzimy im jakas krzywde, nienawisc wezmie gore nad lekiem. Beda chcialy nas dopasc za kazda cene, niewazne, ile ich zginie w czasie walki. Wciaz sie wahaja. Nie sa pewne, czy oplaca sie na nas polowac, czy nie.

Sander nie bardzo mial ochote polegac na jej przypuszczeniach. Czul, ze dziewczyna czesc po prostu wymyslila lub zgadla. Mimo ze korcilo go bardzo, nie strzelil juz jednak ani razu. Postanowil poczekac, az dziwne istoty zakoncza pelna rechoczacych dzwiekow narade, i zobaczyc, co zrobia dalej.

Sander mial teraz chwile by przyrzec sie dokladnie ich schronieniu. Uderzylo go, ze skaly, na ktorych szczycie lezeli, ciagnely sie jedna za druga, tworzac jakby mur. To rowniez musialo byc dzieło jakies starej cywilizacji. Slonce prazylo teraz tak mocno, ze kowal wiercil sie niespokojnie. Wiedzial, ze jesli zostana tu dluzej, bedzie im grozic jeszcze inne niebezpieczenstwo.

Wodne stwory w koncu wznowily marsz. Tym razem jednak, pozostawivszy dwoch straznikow, caly oddzial zawrocil w strone rzeki.

Sander blyskawicznie zeskoczyl ze skaly. Przypuszczal, ze stwory ruszyly po posilki. Jesli mieli im umknac, to tylko teraz. Bez trudu mogli poradzić sobie z dwoma wartownikami, nawet jesli zdecyduja sie scigac ich w glab pustyni.

Fanyi zgodzila sie z nim bez slowa. Stala przed Sanderem, trzymajac w reku medalion. Zwrocila sie teraz na polnocny zachod i zerkala za siebie, na przeciwny brzeg, skad przyszli.

-Musimy trzymac sie z dala od rzeki - powiedzial. - Woda to ich zywiol i potrafia to dobrze wykorzystac. - Na szczescie Sander napelnil buklak, zanim roz poczeli przeprawe na drugi brzeg. Wiedzial jednak, ze nie byl to wystarczajacy zapas na droge przez spalone sloncem pustkowia. Niestety, mieli tylko ten jeden buklak.

Z drugiej jednak strony istniala szansa, ze pustynia i lejacy sie z nieba zar skutecznie zniecheca wodne stworzenia. Jesli jego przypuszczenia byly slusne i napastnikow rzeczywiscie laczylo pokrewienstwo z plazami, nie od razu zdecyduja sie na dluzsza wyprawe przez pustynne tereny.

Kowal przyrzal sie okolicy i stwierdzil, ze tak czy owak beda musieli poruszac sie teraz bardzo ostrocznie. Podobnie jak ludzie z jego Klanu, potrafil podrozowac noca, wyznaczajac droge na podstawie ukladu gwiazd. Poza tym w nocy chronil ich ogien i mogli wtedy wedrowac jak w dzien. Teraz jednak nalezalo szybko znalezc dogodne schronienie, w ktorym mogliby przeczekac do zmierzchu.

Powiedzial glosno, co, jego zdaniem, powinni zrobic. Dziewczyna wypuscila z reki medalion i wyraz zatroskania zniknal z jej twarzy. - Nasi zeglarze rowniez kierowali sie

gwiazdami - odparła. - Poza tym w dzień musi panować tutaj niesamowity upał. Masz racje.

Znow poczuł, jak bardzo irytowały go jej komentarze. Oczywiście, że miał racje! Nie podobało mu się, że wszystko, co mówił, było oceniane i dopiero potem Fanyi albo zgadzała się z nim, albo odrzucała jego propozycje. A zapewnienia, że rybacy z Padford zawdzięczali bezpieczeństwo jej Mocy, główną zaś przyczyną ich śmierci była nieobecność dziewczyny w wiosce, znow wydały mu się dziecinne i śmieszne. Może i była Szamanka, znała jakieś sztuczki i potrafiła przewidzieć przyszłość. Nie przemawiało to jednak do niego. Podobnie jak ludzie Klanu, i on wierzył głównie we własny rozsadek i w słusność decyzji, które podejmował.

Wznowili marsz. Kuni trzymały się nieco z tyłu. Rhin kroczył przodem, dzwigając na grzbiecie cały dobytek. Sander szedł z miotaczem gotowym do strzału. Do kieszeni przy pasie wrzucił z poł tuzina strzałek. Żałował bardzo, że nie ma ich więcej. Przy tak skromnym zapasie, dwa naboje wystrzelone nad rzeką stanowiły niemalą stratę. Rhin, choć mocno obciążony, raz po raz wypuszczał się do przodu i po chwili wracał. Zachowywał się tak, jak podczas polowania na równinach. Sander z kolei często przystawał, odwracał się i uważnie badał drogę z tyłu.

Nawet jeśli dwaj pozostawieni przez plazowatych strażnicy szli ich tropem, maskowali się tak dobrze, że nie było ich widać. Im bardziej jednak wędrowcy oddalali się od rzeki, tym Sander nabierał większej pewności, że wodne stworzenia zrezygnowały z pościgu przez słon i wypalona słońcem pustynię.

Cały czas jednak zachowywał wzmożoną czujność. Fanyi raz i drugi spojrzała na medalion, jakby całkowicie zdala się na jego przewodnictwo. Kowal pozostał przy bardziej tradycyjnej metodzie: wybierał na horyzoncie jakiś charakterystyczny punkt i starał się zmierzać w jego stronę. Gdy już dotarł do upatrzonego miejsca, wyznaczał następny cel. Tuman kurzu, które wzbijali w czasie wędrowki, potęgowały nieznosne uczucie pragnienia. A świadomość, że nie mogą w każdej chwili zatrzymać się nad rzeką, chyba że zmuszeni do tego przez okoliczności, nie była zbyt pocieszająca.

Upał nie był dla kowala pierwszym. Podróżował już kiedyś bez wystarczającego zapasu wody, ale wtedy znalazł doskonale teren, po którym się poruszał. Łatwiej mu było odnaleźć strumień lub wyschnięty potok, gdzie Rhin, wykorzystując swój instynkt, mógł bez trudu dokopać się do wody. Czy i w tej spalonej słońcem krainie było to możliwe? Ilekroć zatrzymywali się na krótki postój, kowal wspinał się na najwyższy położony punkt i obserwował horyzont za i przed nimi. Gdyby tylko udało im się zaszyć gdzieś przed słońcem i przeczekać do wieczora!

Przy piątym postoju zauważył coś dziwnego. Przywykli już do wraków, które często napotykali na swojej drodze, traktując je jak punkty orientacyjne, ale w tym wypadku było inaczej.

W pierwszej chwili dostrzegł błysk metalu. Szybko się zorientował, że to, na co natknęli się teraz, w niczym nie przypominało statków, które widzieli poprzednio. Wrak był dłuższy i wezszy. Leżał przechylony na bok, a jego górną, zakrzywioną część skierowaną była prosto na skałę, na której stał teraz kowal.

Poza tym wrak sprawiał wrażenie młodszego od szkieletów, które widzieli wcześniej. Jeden koniec statku tkwił w zeschniętym masywie rafy koralowej, poza tym jednak konstrukcja wydawała się prawie nienaruszona. Sander pomyślał, że być może wrak wyrzucił tutaj wody ustępującego oceanu i że to najlepsze schronienie, jakie do tej pory znaleźli.

Gdyby tylko udało im się dostać do środka, kadłub okrętu stanowiłby idealną kryjówkę. Fanyi przyjęła pomysł entuzjastycznie.

Gdy powoli podchodzili do porzuconego statku, kowal zorientował się, że pierwsze wrażenie było mylne. Okręt był o wiele większy, niż wydawało się na początku. Jego kształt wywarł również ogromne wrażenie na dziewczynie, bo głośno stwierdziła, że to najdziwniejszy statek, jaki w życiu widziała.

Kiedy stanęli u celu, rozmiary okrętu przytłoczyły ich. Jednocześnie odkryli, że metal, który wyglądał na całkiem skorodowany, w rzeczywistości pozostał nienaruszony. Sander zdrapał cienką warstwę rdzy i odsłonił połyskującą w słońcu blachę.

Wejście musiało znajdować się wyżej, na pokładzie. Kowal rozwinał linę, która podtrzymywała ich bagażę na grzbiecie Rhina, wyciągnął z torby największy młot i przywiązał do niego sznur. Następnie przykazał Fanyi, by czekała na niego w tym miejscu, a sam obszedł okręt dookoła i znalazł się po jego drugiej stronie.

Tam okrecił nad głową linę obciążoną młotem i cisnął ją w górę. Młot dwukrotnie zesliznął się po pokładzie, wzbijając przy tym tumany rdzawego pyłu, za trzecim jednak razem trzonek uwiązł tak mocno, że lina nie spadła nawet po energicznym szarpnięciu. Sander zaczął się wspinać i już po chwili stał na pokładzie. Przed sobą zobaczył kikut wieży. Wydawało się, jakby ktoś olbrzymią dłoń oderwał ją od całości. Poza tym nie dostrzegł żadnego innego wejścia.

Przeszedł na drugą stronę pochylego pokładu i spojrzał w dół, na dziewczynę. Pozbawiony bagażu Rhin właśnie się oddalał w sobie tylko znanym celu i choć Sander gwizdzał przyzywająco, kot nawet się nie obejrzał.

Widocznie był to jeden z tych momentów, w których należało pozostawić Rhina samego. Niewykluczone, że ruszył na poszukiwanie wody, chociaż... zmierzał teraz na zachód, w głąb pustyni, a nie na wschód, gdzie odnalezienie jakiegoś źródła było bardziej prawdopodobne. Tymczasem kuny, wyraźnie niespokojne, trzymały się cały czas w pobliżu, krząc wśród okolicznych głazów. Możliwe, że niezbyt pewnie czuły się w tej nieprzyjaznej i

spalonej sloncem okolicy, z dala od znanych im zielonych rownin.

Sander upewnil sie, ze lina jest dobrze zamocowana w ruinach wiezyczki i zrzucil Fanyi drugi koniec sznura. Dziewczyna szybko wspiera sie na gore, stanela obok Sandera i uwaznie ogladala poklad.

-Co to za okret? - spytala z podziwem. Sander odniosl wrazenie, ze skierowala te slowa raczej do siebie niz do niego. - Przedziwna konstrukcja.

Tymczasem kowal zblizil sie do zniszczonej nadbudowki. Miejsce pekniecia wiezyczki pokrywala rdza, a wewnatrz zionela czarna dziura, przez ktora mogli dostac sie do srodka. Zdecydowal, ze teraz przyda sie im Pradawna Lampa i poprosil dziewczynę, by ja wyjela. Gdy zablysko swiatlo, zauwazyl na jednej ze scian zniszczona drabine, ktora prowadzila w glab statku przez otwor w podlodze, pietro nizej. Fanyi stala na pokladzie i oswietlala mu droge, a on, ostroznie badajac kazdy szczebel, zaczal powoli schodzic w dol.

Znalazl sie w zamknietym pomieszczeniu. Wokol lezaly porozbijane i zniszczone przez wode przedmioty, ktorych nie potrafil nazwac. Drabina ciagnela sie dalej, zszedl wiec nizej i po chwili znalazl sie w wiekszym pomieszczeniu. Wzdłuż scian staly dziwnie wygladajace pudla i skrzynie. Wszystkie nosily slady uszkodzen i niszczonego dzialania wody. Poprosil Fanyi, by podala mu lampe i sama zesla na dol. Oswietlil jej droge i juz po chwili stanela obok, z ciekawoscia przygladajac sie rzedom skrzyn i pudel.

-Czym ci Praludzie napędzali swój statek? - spytala. - Nigdzie nie widzialam ani masztu, ani wiosel.

Sander z uwaga ogladal metalowe powierzchnie. Widac bylo wyraznie, jak ogromne spustoszenie poczynila woda, ktora dostala sie do wnetrza okretu przez rozdarcie w pokladzie. A jednak po zdrapaniu zewnetrznej warstwy osadu i rdzy metal lsnil w swietle, zdawal sie nietkniety i w doskonaly stan.

Na prawo, za sterta zniszczonych przedmiotow i urzadzen, o ktorych zastosowaniu nie mial pojecia, Sander spostrzegl owalne, szczelnie zamkniete drzwi. Przeszedl przez pomieszczenie i przygladal sie drzwiom, szukajac jakiej klamki. Znalazl masywne kolo. Byc moze nalezalo je przekrecic.

Probowal ze wszystkich sil, jednak kolo nie przesunelo sie nawet o milimetr. Wyciagnal wiec mlot i, choc pomieszczenie bylo tak zagrazone, ze trudno mu bylo wziac zamach, uderzal rytmicznie w pokryta szlamem obrecz.

Z poczatku nie dalo to zadnych efektow. Skruszyl tylko wierzchnia warstwe rdzy i piasku. Jednak po chwili kolo drgnelo i troche sie obrocilo. Zaczal walic mocniej i po jakim czasie ustapilo z glosnym skrzypieniem. Uderzal teraz coraz szybciej i z wiekszym wyczuciem. W drzwiach zauwazyl male naciecie. Wygladalo na to, ze aby otworzyc wejście, trzeba ustawic kolo w określonej pozycji. Wokol zarysu drzwi dostrzegl zaschniety mul, ktory je

blokował. Zabrał się za kruszenie tej twardej warstwy. W końcu włożył młot z powrotem za pas, położył obie ręce na kole i naparł na drzwi. Ustąpiły. Z ciemnego wnętrza wydobył się strumień stęchłego powietrza. Powietrze... pod wodą? Sander bez słowa zabrał dziewczynie lampę i oświetlił pomieszczenie. Pośrodku stał stół, który musiał być przysrubowany do podłogi, bo ani powódź, ani katastrofa, jaka przeszedł okret, nie przesunęły go nawet o centymetr. Dokoła stołu ciągnęły się długie ławy, a pod nimi, niżej...

Fanyi głośno westchnęła. Oboje już nieraz zetknęli się ze śmiercią, która nie była w ich świecie niczym wyjątkowym. Takiego obrazu jednak nie widzieli nigdy wcześniej. Pokurczone i wyschnięte ciała w niczym nie przypominały istot ludzkich.

-Zamknęli się tutaj - powiedziała cicho dziewczyna - a potem morze zagarnęło ich statek i odcięło im drogę ucieczki. To Praludzie... patrzymy na Praludzi!

Watte ciała, owinięte w podarte ubrania... Kowal nie bardzo wierzył, że niegdys byli to przedstawiciele dumnej rasy, która władała światem. Zapamiętywacze przedstawiali Praludzi jako silnych, wysokich i potężnych, a to, co Fanyi i Sander znaleźli na tym pustkowiu, zupełnie nie przystawało do tego opisu. To... to nie mogli być bohaterowie legend! Sander pokręcił głową.

-To... to tylko... zwykli ludzie. - Zdał sobie sprawę, że widział ich w wyobraźni jako silniejszych, lepszych i jakże różnych od ludzi Klanu.

-Ale pomyśl - dodała cicho dziewczyna - jacy to kiedyś musieli być ludzie! To ich marzenia stworzyły ten okret! Myślę, że jesteśmy na jednej z tych łodzi, które nie pływały po morzu, lecz pod powierzchnią wody. Słyszałam o nich wiele opowieści.

Sander nagle poczuł się bardzo nieswojo. Jacy byli ci ludzie, którzy zamknęli się w metalowej skorupie, by podróżować w głębinach oceanu? Ta myśl przytłoczyła go i osaczyła. Znowu poczuł się tak, jak podczas niedawnej przeprawy przez las. Z pewnością Praludzie należeli do trochę innego gatunku i mieli odwagę, której jemu, jak musiał sam przed sobą przyznać, jednak brakowało.

Cofnął się. Całkiem stracił ochotę na badanie wnętrza tego okretu. Mogli trochę uprzatnąć pomieszczenie na wyższym poziomie i schronić się tam do wieczora. Szczatki Praludzi należało pozostawić w spokoju i jak najszybciej opuścić komnatę, która stała się grobem dawnych właścicieli statku.

-To miejsce należy do nich - powiedział cicho, jakby nie chciał zbudzić umarłych - i niech tak zostanie.

-Dobrze - zgodziła się dziewczyna.

Wspólnymi siłami zamknęli drzwi, za którymi pogrzebano przeszłość, i wrócili na wyższe piętro. Podczas wymiatania śmieci na niższy poziom kowal natknął się na zwoje

poplatanego drutu i kawalki metalu, czyste, bez śladu rdzy. Rozpoznał w nich to, co Kupcy określali jako nierdzewna stal. Była to kolejna zagadka Praludzi, bo ten metal nie ulegał korozji. Niestety, dzisiejsi kowale nie potrafili go w żaden sposób wytopić. Wiedząc, że nie może zabrać wszystkiego, wybrał tylko najlepsze kawalki. Z niektórych można było zrobić ostrza strzałek, jeśli oczywiście dotra kiedys do miejsca, w którym będzie jakaś kuznia i odpowiednie narzędzia.

Tymczasem Fanyi szukała szczątków pokrytych dziwnymi znakami i liniami. Wyjaśniła mu, że to są pozostałości dawnego pisma. Te, które dało się przenieść najłatwiej, zapakowała do małej torby.

W końcu udało im się na tyle uprzatnąć pomieszczenie, że na środku wygospodarowali trochę miejsca. Choć było tam ciasno, mogli jakos przeczekać do wieczora. Kuny, mimo prośb Fanyi, nie chciały wejść na pokład i ułożyły się w cieniu pochylonego kadłuba. Rhin przepadł gdzieś bez śladu. Na szczęście nigdzie nie było widac plazowatych stworów. Widocznie zrezygnowały z poscigu.

Podzielili między siebie owoce i wypili trochę wody. Dali też pic kunom. Później zaszyli się wewnątrz statku, czekając na nadejście nocy.

Choć dzień był wyjątkowo upalny, w pomieszczeniu dało się jakos wytrzymać i nawet trochę się zdrzemneli. Sander obudził się pierwszy.

Usłyszał znajomy dźwięk. Minal mruczaca coś przez sen Fanyi, podpełzł do wyjścia i po drabinie wydostał się na pokład.

Rhin stał na tylnych łapach, przednie opierając o kadłub okrętu. Znowu cicho zaskowywał. Najwyraźniej próbował Sanderowi dać coś do zrozumienia. Nie brzmiało to jednak jak ostrzeżenie.

Kowal szybko zeszliźnał się po linie w dół. Rhin wymownie tracił go nosem. Pysk i przednie łapy miał mokre i oblepione błotem oraz słonym piaskiem z wyschniętego dna morskiego. Mogło to oznaczać tylko jedno... znalazł wodę!

-Co się stało? - spytała dziewczyna, wchodząc na pokład.

-Rhin znalazł wodę!

-Jeszcze jedna rzeka?

Sander dopiero teraz zdał sobie sprawę, czym to mogło grozić. Wiedział, że po przygodzie z plazowatymi stworzeniami powinni zachować najwyższą ostrożność. Jednak woda była niezbędna. Inaczej musieliby zawrócić na zachód.

Teraz po raz pierwszy Sander załował, że nie potrafi lepiej porozumieć się z kojotem, że

nie może zapytać go wprost o to, co zobaczył i odkrył na wschodzie. Jednego przecież był pewien: Rhin pamiętał o spotkaniu z plazowatymi i na pewno nie wprowadzi ich w zasadzkę. Powiedział to Fanyi, a dziewczyna się z nim zgodziła.

Słońce zachodziło i na pustyni zrobiło się chłodniej. Cały czas jednak krztusili się piaskiem, którego tumany wzbijali podczas marszu. Rhin, znów obciążony pakunkami, pewnie kroczył naprzód i choć Sander odniósł wrażenie, że oddalali się coraz bardziej od równin, wierzył w instynkt zwierzęcia i był pewien, że kojot wie, dokąd ich prowadzi.

Nim jeszcze wyrzwał księżyc, kuny nagle wyrwały do przodu w charakterystyczny dla siebie sposób i po chwili zniknęły wśród pietrzących się przed nimi skal, które kiedyś musiały wystawać nad powierzchnie wody. Skaly nie przypominały łagodnych pagórków czy wysepek. Miały poszarpane i ostre brzegi. Wspiąć się na nie byłoby bardzo trudno.

Trochę z boku natknęli się na niewielką rozpadlinę. Dookoła wznosiły się kamienne bloki. W świetle lampy - Fanyi oświetlała nierówne podłoże - odkryli ciemny krag. Wewnątrz była woda. W jej tafli, niczym w martwym lustrze, nie odbijał się żaden kształt.

Bajorko miało owalny kształt, zbyt regularny, by mogła go stworzyć natura. Z jednej strony brzeg obniżał się, pozwalając, by woda spływała tam cieniutką strugą, która na krancu wgłębienia zmieniała się w drobna sieć malenkich wodospadów. Co było dalej, nie wiedzieli. Krag światła kończył się w tym właśnie miejscu.

Sander zaczerpnął wody. Była świeża i miała słodki smak. Napił się i obmył zakurzoną twarz. Woda drobnymi struzkami płynęła mu po policzkach, zmywając brud pustyni. Kuny zanurzyły w bajorku pyski i piły łapczywie. Fanyi poszła za przykładem kowala wyraźnie zadowolona.

-Ciekawe, kto wykopał ten zbiornik - powiedziała i przykucnęła na brzegu.

Sander wyjął bukłak, opróżnił go, dokładnie oplukał i napełnił. Źródło świeżej, słodkiej wody na środku oceanu... czy czegoś, co było kiedyś oceanem! Jednak wcześniej był tutaj stały ląd. W wodach tego bajorka odbijał się obraz stuleci. Uplyw czasu mierzono od zakończenia ery Mrocznych Czasów, a Zapamiętywacze naliczyli prawie trzysta lat między zagładą starego świata a narodzinami obecnego.

Ile czasu minęło jednak od chwili, w której ludzie - lub inne inteligentne istoty - wzniesli tę kamienną konstrukcję? Ile wieków przetrwała, opierając się przemijaniu i gwałtownym atakom morza? Az zakreśliło mu się w głowie, gdy wyobraził sobie, ile lat upłynęło od tamtej pory. Nie można ich było liczyć pokoleniami, które przeminęły. Szły w tysiące par roku.

Stojąc nad tym reliktem przeszłości, nie czuł jednak żalu i smutku, jaki ogarnął go na porzuconym okręcie. Nie widział wiezi między tymi, którzy zbudowali staw, a swoim Klanem. Być może budowniczości źródła nie byli nawet ludźmi w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Żałował, że Kabor, najstarszy z Zapamiętywaczy, nie może zobaczyć prastarej

sadzawki. Choc i on zapewne nie potrafilby polaczyc jej z zadnym obrazem we wlasnej pamieci.

Napili sie do syta i opuscili zapomniany staw. Juz po raz drugi szcieszliwie odnalezli wode, ale Sander nie mial pewnosc, ze sztuka ta uda im sie po raz trzeci. Zdawalo mu sie, ze najrozsadniej bedzie skierowac sie teraz z powrotem na zachod. Tutaj brakowalo zwierzyny, a glod nie byl wcale mniej niebezpieczny od pragnienia. Im szybciej dotra na zyzniejsze tereny, tym lepiej, nawet gdyby nie mieli dotrzec do celu, ktory obrala sobie dziewczyna.

Przypuszczal, ze Fanyi sprzeciwi sie zmianie marszruty na zachod, ale ku jego zaskoczeniu nie protestowala. Wyjela tylko medalion i wpatrywala sie w niego przez dluzsza chwile. Przygladala sie tanczacemu swiatlu, jakby to z niego wlasnie mogla wyczytac dalsza droge.

Wedrowali teraz o wiele wolniej. Wokol pietrzyly sie pozostalosci po rafach i co chwila musieli omijac ich wysokie, sterczace wierzcholki. Piaszczysty kurz wciskal sie wszedzie. Mieli go na rekach, twarzach, na ubraniach i we wlosach. Zwierzeta rowniez byly cale oblepione pylem i blotem. Powoli zblizal sie swit i Sander zaczal rozgladac sie za miejscem, w ktorym mogliby przeczekac upal.

W swietle ksiezycy widac bylo teraz wiecej. Fanyi wylaczyla lampe. Do switu pozostala moze godzina, kiedy Sander poczul gwaltowny spadek temperatury. Byl spocony, wiec zimne i przemokniete ubranie nieprzyjemnie lepilo sie do ciala, wywolujac dreszcze. Zatrzymali sie, by Fanyi mogla przepakowac swoje rzeczy i wlozyc oponcze. Z kazdym oddechem z ich ust wydobywala sie biala para.

Temperatura zmienila sie tak nagle, ze Sander zaczal sie zastanawiac, czy nie zbliza sie burza. Jednak niebo przez caly czas bylo bezchmurne. Teraz mial juz pewnosc, ze powinni jak najszybciej znalezc jakies schronienie.

Szli powoli. Przed nimi wylonil sie ogromny ciemny ksztalt. Kowal wytezyl wzrok. Mozliwe, ze wnoszaca sie nad horyzontem gora, jaka widzieli, kiedys byla wyspa.

Fanyi wlaczyła lampe i w jej swietle obejrzała medalion.

-Tedy! - rzucila glosno, kierujac swiatlo w strone mrocznego ksztaltu. Powiedziala to z takim przekonaniem, ze Sander nie zamierzal protestowac.

Przed switem dotarli do podnoza klifu. Zbocza z wyzlobionych kamieni, na ktorych Sander dostrzegl rdzawe plamy, upewnily go, ze powyzej musialy sie znajdowac ruiny Dawnego Miasta. Dokola widzieli pozostalosci i szczatki dawnej potegi, ktore nie wrozily najlepiej. Gdyby nawet udalo im sie wspiac na urwisko i tak nie znajda posrod ruin nic wartosciowego.

Jesli to miasto bylo ta kopalnia wiadomosci, ktorej szukala dziewczyna, to teraz stalo sie jasne, ze jej poszukiwania nie skoncza sie pomyslnie. Sander rowniez czul sie rozczarowany, choc nigdy przeciez specjalnie nie wierzyl w opowiesci o miescie, ktore krylo w sobie tajemnice Praludzi.

Spojrzal na dziewczynie. W jej twarzy nie bylo widac gniewu czy rozczarowania. Wpatrywala sie w zwaly kamieni, jakby szukala drogi na szczyt urwiska. Byla zdecydowana i pewna siebie. Byc moze uwazala, ze szli wlasciwym tropem, a cel znajdowal sie gdzies blisko.

-To tu? - zapytal.

Znowu wziala do reki medalion. Powoli odwrocila sie od sciany i spojrzala na zachod.

-Nie - powiedziala cicho, ale z przekonaniem. - To tam. - Wskazala na majaczacy w oddali lad.

Sander byl pewny, ze miasto nad nimi wzniesiono na cyplu lub nawet na wyspie, a dawne wybrzeze znajdowalo sie dalej, na zachodzie.

Potrzebowali jednak wody i jedzenia, ktorzych, jak sadzil, nie mieli szansy znalezc posrod ruin. W tej sytuacji najrozsadniej bylo isc dnem wyschnietego morza, w strone wznoszacego sie na horyzoncie ladu.

Nie przewidzial jednak nadejscia burzy, ktora zapowiadal teraz wzmagajacy sie, porywisty wiatr. Na niebie w ciagu zaledwie paru chwil pojawily sie geste chmury, gnane podmuchami wichru.

Decyzje podjely za nich zwierzeta. Kuny, niczym dwa futrzane pociski, wyskoczyly do przodu i zaczely sie blyskawicznie wspinac pod gore, w strone ruin. Rhin natychmiast poszedl ich sladem. Ten pospiech byl dla Sandera wystarczajacym ostrzezeniem; rowniez podazyl za zwierzetami. Wiedzial, ze kojot mial lepiej niz on wyczulone zmysly. W przeszlosci niejednokrotnie wyostrzony wech i sluch Rhina ratowaly Sandera z opresji. Jesli wiec teraz kojot wybral te droge, to z pewnoscia nie bez powodu.

Wspinaczka szla im o wiele gorzej niz zwierzetom. Poruszali sie wolniej, trzesac sie z zimna przy kazdym silniejszym podmuchu wiatru, ktory co chwila stracal mniejsze kamienie. Inne obsuwaly sie pod ciezarem ich stop. Czesto zatrzymywali sie dla zlapania tchu, nie zawsze jednak znajdowali dogodne po temu miejsce.

W koncu dotarli do groznie wygladajacego wystepu. Tworzily go glazy nagromadzone pod szczytem urwiska. Wystawaly z nich pokryte rdza plyty. Wydawalo sie, ze sa tak kruche, iz rozsypia sie przy najlzejszym dotknieciu.

Wsrod kamieni bylo widac drobna roslinnosc - zmarznieta pedy winorosli, drobne kepki

ostrej trawy, gdzieś krzew lub małe drzewko, smagane teraz wiatrem.

Sander wiedział, że powinni trzymać się z dala od kamiennych kopców, które w każdej chwili mogły się zawalić. Szedł, patrząc co chwila w górę i badając drogę przed sobą. Bał się, że źle stąpnie i ziemia obsunie mu się pod nogami. Fanyi szła krok w krok za nim.

Między skalnymi blokami wiatr osłabł i choć panował nieprzyjemny chłód, nie nekaly ich teraz silne podmuchy.

Zaczęło padać. Deszcz zaczął ostro. Ubrania szybko przemiekły, a mokre włosy oblepiały czoło i twarz. Zdawało im się, jakby ich ciała pokrywała cieniutka warstwa lodu. Sander przeżył na równinach niejedną burzę, ale czegoś takiego doświadczał po raz pierwszy.

Wiatr wyl i zawodził nad ich głowami, wpadając w kamienne tunele pomiędzy skalnymi blokami. Co chwila słyszeli odgłos stracanych kamieni, a gdy wichura na moment się uspokoiła, Sander wylapał ciche szczeknięcie Rhina.

-Tedy... - zwrócił się do dziewczyny, ale jego słowa zagłuszył nowy atak burzy. Cofnął się więc i chwycił Fanyi za rękę.

Okrzykli skalisty kopiec i za złomem ujrzeli linie drzew. Szarpane wiatrem, gubiły chmury liści, które wirowały w powietrzu, by zaraz z deszczem opaść na ziemię.

Sander chwiejnym krokiem ominął skalisty nawis i zbliżył się do ściany drzew. Deszcz nie zaczął pod ich koronami tak wściekle jak na otwartym terenie. Rhin chodził w tę i z powrotem, kiwając łbem, jakby chciał im wskazać dalszą drogę. Najwyraźniej ich ponaglał. Po kunach nie było śladu.

Pod stopami czuli teraz miękki grunt. Ziemię wysyciał dywan z liści i gałęzi. Szli za kojotem. Dookoła nie było widać żadnych kamiennych kopców czy skalnych bloków, które mogłyby stanowić zagrożenie. Po paru minutach wyszli na niewielką polankę. Na jej skraju wzniesiono małą drewnianą szopę. Ściany z grubych bali podtrzymywały dach z gęsto splecionych gałęzi. Drzwi były otwarte, dookoła jednak żadnego śladu po mieszkańcach, choć niewątpliwie chatę zbudowano całkiem niedawno.

Sander wyciągnął miotacz i załadował strzałkę. Kazał dziewczynie iść za sobą. Ostrożnie zbliżali się do ukrytego w mroku wejścia.

Chwile później przez drzwi wyjrzał pysk Kai. Wiedzieli już, że nie ma się czego obawiać. Zaraz też cała trójka znalazła się w chacie i Sander naparł na drzwi, by zamknąć je jak najszybciej. Najwidoczniej od dawna były otwarte, bo żeby je ruszyć, kowal musiał odgarnąć spora ilość naniesionej ziemi.

W chacie panował półmrok. Światło wpadało tu tylko przez nieduże przeswity pod sufitem. Minęła dobra chwila, zanim Sander przyzwyczaił się do ciemności i mógł dokładniej obejrzeć

wnętrze.

Ku jego zaskoczeniu nie była to zwyczajna ciasna chata, choć z zewnątrz na taką wyglądała, ale przestronny dom. Podłogę wyłożono wygładzonymi kamieniami, które kiedyś mogły stanowić fragment drogi. Na przeciwległej ścianie znajdował się spory kominek wykonany z kamiennych bloków. Palenisko, osmalone i niegdys chyba często używane, było teraz puste. Z boku stało pudło wypełnione drewnem. Fanyi wyciągnęła lampę i oświetliła wnętrze. Na drewnianych ścianach wisiały polki. Nie było na nich nic poza kilkoma pudelkami. Pod polkami dostrzegli szkielety kilku prync. Wypełniały je, zgniłe teraz, liście i galezie.

W powietrzu czuć było delikatną won dymu i, jak wydawało się kowalowi, również jedzenia. Całe pomieszczenie zionęło jednak pustką, co świadczyło, że od dawna nikt tu nie mieszkał.

- To dom klanu - powiedziała Fanyi. - Zobacz... - uniosła lampę i w jej świetle Sander zobaczył metalowy hak wbity w ścianę. - Tu wieszali zasłone dzielacza dom. To nie był liczny klan.

- Twoi ludzie? - Sander wierzył, że Padford było jedyną osadą, o jakiej wiedzieli rybacy.

Fanyi pokręciła głową.

- Nie. Może Kupcy. Oni też żyją w klanach. Nigdy nie zabierają ze sobą kobiet i dzieci, ale czasem wspominają o nich w swoich opowieściach. A ruiny miast to idealne miejsce dla poszukiwaczy metalu. Możliwe, że wyczyszcili już tę część miasta i przenieśli się gdzie indziej... albo dowiedzieli się o lepszym miejscu. Myślę, że ten dom opuszczono dobrych parę miesięcy temu.

Mimo to budynek był w niezłym stanie. Sander zablokował drzwi metalową sztabą. Na zewnątrz wciąż szalała burza, w środku jednak już tak bardzo nie czuli jej działania. Kowal wyjął z pojemnika przy kominku suche drewno. Było dobrze wysuszone i bez trudu udało mu się rozpalić ogień. Po chwili płomień buchał wesole, ogrzewając i rozświetlając wnętrze izby. Kuny, lizac wilgotne futra, ułożyły się przy palenisku. Nawet Rhin trzymał się blisko kominka.

Schronienie i ogień... nadal jednak potrzebowali jedzenia. Fanyi przejrzała zawartość pudeł stojących na polkach. Wrocila niosąc dwa z nich, szczelnie zamknięte. W środku znaleźli jedzenie podobne do tego, jakie Sander znalazł w Padford, oraz dwa płaty jakiegoś zasuszonej substancji.

- Myślę, że jednak nie wynieśli się stąd zbyt dawno - powiedziała Fanyi. - Jedzenie nie zdążyło się zepsuć. Ta druga rzecz to suszone mięso.

Zdjęła oponczę i ułożyła ją przy ogniu, żeby wyschła jak najszybciej. Potem zmieszała

placki z kawalkami miesa, dajac wczesniej kunom i Rhinowi spora jego czesc.

Sander przechadzal sie po dlugim pomieszczeniu, przygladajac sie jego konstrukcji. W budowe domu wlozono niemalo pracy. Nie chcialo mu sie wierzyc, ze mial sluzyc tylko jako tymczasowe schronienie. Z pewnoscia nadawal sie do calorocznego zamieszkania, ale mozliwe, ze ludzie, ktorzy go wzniesli, przebywali tu tylko okresowo.

W odleglym rogu na podlodze znalazl metalowa klapę. Choc blacha byla zuzyta i podziurawiona, nie zniszczala zupełnie. W poprzek metalowych drzwi biegł zelazny pret. Kowal pomyslal, ze przy odrobinie sily mozna by podniesc klapę i sprawdzic, co jest pod nia. Mozliwe, ze jakis sklad, w którym znalezliby wiecej pozywienia, niz udalo sie to dziewczynie.

Wrocil do pudla z opalem i wybral spory drag, by podniesc metalowa klapę. Zajelo to chwile, ale w koncu udalo mu sie odsunac na bok zelazna pokrywe. Przykucnal i zajrzal do srodka. Panowala tam calkowita ciemnosc. Podziemia musialy lezec gleboko, bo w slabym swietle plomieni dostrzegl fragment metalowej drabiny, która prowadzila gdzies w dol.

Polozył sie na brzuchu i siegnal tak gleboko, jak tylko mogl. Stopnie drabinki wykonano z chropowatego metalu. Nie mogl to jednak byc sklad z zywnoscia. Przekonal go o tym wilgotny i nieprzyjemny zapach. Odchylil glowe, krztuszac sie od smrodu. Kai zblizył sie do otworu od drugiej strony i zaczal obwachiwac wejście. Po chwili syknal glosno, wyrazajac swoja dezaprobatę. Sander wstal i zamknal klapę. Nie mial ochoty badac tego mrocznego i nieprzyjemnego miejsca. Zamknal drzwi i zablokowal je grubym polanem. Mial nadzieje, ze takie zabezpieczenie wystarczy. Nie mial pojecia, co moglo czaic sie na dole, ale po przygodzie z lesnymi ludzmi i plazopodobnymi stworami wolal zachowac daleko idaca ostroznosc.

Domem co chwila wstrzasaly potezne podmuchy wiatru. Usiedli blizej ognia, suszac przemoczone ubrania.

Choc w pudle przy kominku lezal stosik drewna, Sander obawial sie, ze nie wystarczy go do konca burzy. Przyjrzel sie drewnianym polkom na scianach. Moze da sie je zerwac ze scian i podsycic nimi ogien. Na razie jednak nie musieli sie o to szczegolnie martwic. Mieli w miare bezpieczne schronienie, ktore wzniesli podobni do nich ludzie. Nie musieli blakac sie wsrod ruin, gdzie moglo sie czaic niejedno niebezpieczenstwo.

Glosne grzmoty brzmialy coraz blizej. Nawalnica przybierala na sile. Przez male okienka pod sufitem widac bylo swiatla blyskawic. Zwierzeta staly sie bardzo niespokojne i krazyly po calym pomieszczeniu.

Sander uwaznie obserwowal ich zachowanie. Niemozliwe, by sama burza tak bardzo wytracila je z rownowagi. Wyobraznia podpowiadala mu, ze do ich kryjowki zbliza sie jakies niebezpieczenstwo. Dwa razy wstawal, by sprawdzic blokade na drzwiach i klapie.

Wszystko zdawało się w porządku.

Gdy zjedli, Fanyi siadła bliżej paleniska, owinęła się oponczką i zdjęła resztę ubrania, by je wysuszyć. Włosy miała splątane i potargane, nie zwracała jednak na to uwagi. Wzięła do ręki medalion i zamknęła oczy. Sander wyczuł, że bliżej myślami daleko stąd. Była jakby nieobecna. Może usnęła? Cały czas jednak siedziała sztywno naprzeciw ognia. Raczej przeżywała coś w rodzaju blokady umysłowej, zupełnie jakby zatopiła się bez reszty we własnych myślach. Sander uznał, że to jedna z jej szamanskich zdolności.

Po chwili kuny ułożyły się obok swojej pani. Nie spały jednak; ilekroć Sander wykonał choćby najmniejszy ruch, widział dwie pary oczu, które uważnie go obserwowały.

Sam nie mógł zasnąć. Duchowa nieobecność dziewczyny sprawiła, że czuł się dziwnie odsunięty i odizolowany. Rhin w końcu uspokoił się trochę i położył między drzwiami a paleniskiem. Uszy miał jednak uniesione, jakby cały czas uważnie nasłuchiwał.

Napor burzy zelzał. W oknie rzadziej pojawiały się zygzaki błyskawic, grzmoty stopniowo cichły i oddalały się. Ciągle jednak padał ulewny deszcz. Po długim i wyczerpującym marszu kowal potrzebował snu. Co chwila głowa sama opadała mu na piersi. Nie chciał jednak położyć się na jednym z posłan. Wiedział, że musi być czujny. Wkrótce okazało się, że miał rację. Fanyi otworzyła oczy i uniosła głowę, jakby nasłuchując.

Sander spojrzał na zwierzęta. Nie widac było po nich żadnych oznak niepokoju.

-Co się stało? - spytał.

Dziewczyna oblizwała spierzchnięte wargi.

-Wyczułam czyjaś myśl... myśl szukająca czegoś... kogoś... - odparła. Mówiła jakby do siebie, nieobecna myślami. Może nie chciała się dekoncentrować.

-Tam jest ktoś... ktoś posiadający szamanską moc - ciągnęła dalej. - Ale to... - wypuściła medalion i złożyła ręce, jakby chciała złapać struzkę płynącą z sufitu wody - to jest bardzo silne! To nie tylko myśl... jest jeszcze coś...

-O czym ty mówisz? - przerwał gwałtownie, starając sięściągnąć jej bliździe umysł z powrotem. - Nie znam się na sztuce szamanów. Czy to znaczy, że ktoś się zbliża?

Przyjrzał się zwierzętom. Leżały spokojnie i obserwowały ich. Wiedział, że Rhin ostrzegłby go, gdyby tylko ktoś próbował zbliżyć się niepostrzeżenie.

Twarz dziewczyny nie wyrażała strachu, lecz podniecenie. Wyglądała jak kowal, przed którym leży kawałek metalu, a on właśnie przed chwilą rozwiązał zagadkę jego obróbki. Sander znalazł doskonale to uczucie.

-To nie wrog - zdawała się starannie dobierać słowa. - Ten ktoś nie wie o nas...

Przynajmniej nie wyczulam takiej świadomości. Ma moc przesyłania, ale nie taka wielka, jak ja. Nie potrafię określić problemu, który go zajmuje. Jestem jednak pewna, że ktoś wysyła wiadomość. O!... Sygnał zniknął! - Wyczul w jej głosie rozczarowanie. - Zniknął...

Sander nie miał wątpliwości, że ona absolutnie wierzy w to, co mówi, ale nie umiał pojąć i zaakceptować rzeczy, o których mówiła. Zapamiętywacz spędzał wiele lat na "zapamiętywaniu"... na słuchaniu wciąż na nowo tych samych historii i opowieści o przeszłości. W razie czego Klan mógł zwrócić się do niego o pomoc w rozwiązaniu jakiegoś problemu. Dzięki Zapamiętywaczom ludzie dobierali się w pary tak, żeby nie było między nimi zbyt bliskiego pokrewieństwa. Opieka nad stadami, tereny, po których je pedzono w ciągu wielu lat - wszystko to Zapamiętywacze gromadzili w pamięci, by w każdej chwili móc przywołać potrzebne informacje. Ale ta szukająca czegoś myśl?... Jak można było szukać czegoś lub kogoś bez użycia oczu, głosu, ciała?...

-Czy Kupcy mają takich poszukiwaczy? - spytał. Plemię wędrowców, którym udało się odszukać jego Klan, nie wydawało się różnie od jego ludzi. To prawda, pilnie strzegli swoich sekretów, ale były to szlaki i miejsca, w których zdobywali metal, cenny i potrzebny do wyrobu narzędzi i broni. Opowiadali straszne historie o tych miejscach, jednak ludzie Klanu wiedzieli, że to przede wszystkim po to, aby odstraszyć ewentualnych konkurentów. Kupcy byli niebezpieczni i jeśli obawiali się ujawnienia złoża jakichś cennych materiałów, mogli nawet zabić. Jednak nigdy nie wspominali o myślowych poszukiwaniach.

-Nigdy wcześniej nie spotkałam się z czymś takim - odpowiedziała dziewczyna. - Kupcy, którzy odwiedzali Padford, wyglądali właściwie jak zwykli wiesniacy. A jednak potem napotkaliśmy na swojej drodze dziwne istoty. Przypomnij sobie choćby lesnych ludzi albo mieszkanców rzeki. Ten świat pełen jest zdumiewających zjawisk, a ten, kto podróżuje, może się wiele nauczyć.

-Kupcy opowiadają straszne historie, ale tylko po to, by nas przestraszyć i zniechęcić. Boja się ujawnienia własnych tajemnic.

-Albo tylko się nam tak wydaje - odpowiedziała. - Niewykluczone, że w każdej z tych opowieści tkwi ziarenko prawdy.

Sander z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Gdy jednak zastanowił się nad tym, co powiedziała, musiał częściowo przyznać jej racje. Spotkanie z lesnymi stworami i z plazowatymi istotami wytraciło go z równowagi - nie wierzył już teraz tak bez reszty, że on i jemu podobne istoty opanowały cały ten świat. Choć ludzie Klanu nigdy nie napotkali na swojej drodze nikogo oprócz pasterzy i wędrownych Kupców, nikt nie mógł zagwarantować, że na planecie nie żyło wiele innych, czasem dziwnych lub strasznych istot. Mieszkancy Padford różnili się od członków Klanu kolorem skóry, wyglądem i trybem życia. Wiele razy słyszał też o Morskich Rekinach, które porwały ludzi daleko na południu. Nikt nie wiedział, po co to robiły. A jednak i one były na swój sposób ludźmi.

Zaczal teraz przypomnac sobie rozne historie opowiadane przez Kupcow. Moze dziewczyna miala racje? Moze naprawde istnialy ogromne bestie, ktore wloczyly sie po pustkowiach, zabijajac wszystko, co napotkaly na swojej drodze? Mozliwe tez, ze gdzies zyly skrzydlate stwory, polzwierzeta, polludzie, przerazajace i tajemnicze mieszance, ktore polowaly na ludzi. Latwiej jednak bylo uwierzyc, ze sa miejsca, w ktorych woda gotuje sie sama i wypuszcza gazy zdolne zabic kazda zywa istote, i ze istnieja grzaskie piaski, ktore wciagaja swoja ofiare tak, ze nie ma juz dla niej ratunku.

-Sam widzisz - usmiechnela sie Fanyi. - Przemyslales te zaslyszane opowiesci i nie mozesz zupełnie ich odrzucic. Tak samo ja musze wierzyc, ze gdzies zyje ktos, prawdziwy Szaman, przy ktorym moja wiedza jest wiedza malego dziecka. - Przylozyla rece do piersi, jakby przyciskajac do nich cos cennego. - To, co nas fascynuje i zadziwia, moze istniec naprawde. Potrzeba tylko odwagi, by tego poszukac. Jesli ktos potrafi szukac wlasnym umyslem, to i ja moge sie tego nauczyc! Czyz nie jestem cora tych, ktorzy taka wiedze wykorzystywali na co dzien? Choc w ich oczach moge byc niedoswiadczona i mloda, ale nie zaprzecza, ze jestem z nimi spokrewniona, a ja nie zawaham sie tego wykorzystac.

Sander z zaklopotaniem obserwowal poruszenie dziewczyny. Tak, potrafil zrozumiec jej chec poznania. Sam przeciez czul to samo. Jednak to, czego on pragnal, mialo swoj konkretny i praktyczny wymiar, daleki od swiata mglistych i niejasnych mysli. Chcial poznac tajemnice starej sztuki kowalskiej, by wykorzystywac je potem przy wlasnej pracy. To, czego pragnela Fanyi, musialo byc bardzo dziwne: uzywac mysli nie do realnego dzialania, tylko... jesli oczywiscie dobrze rozumial istote tego, o czym mowila dziewczyna. Sprobował sprowadzic ja z powrotem na ziemie.

-Myslalem, ze szukasz broni, ktora pozwoli ci sie zemscic na mordercach twoich bliskich.

-Nie rozumiesz - przerwala mu - ze mysl moze byc rownie skuteczna, jak twoj miotacz? Oczywiscie, ze musze pomscic krew bliskich. Nie zapomnialam o tym nawet na chwile. - Z podniecenia az poczerwieniala.

-Ogien...

Z dala od paleniska robilo sie coraz chlodniej. Fanyi usmiechnela sie.

-Nie martw sie. Kai wiele potrafi. - Polozyla reke na glowie kuny. - Bedzie pilnowal ognia. Robil to juz wczesniej.

Dziewczyna wybrala sobie poslanie przy blizszej scianie. Owinela sie w sucha oponcze. Sander poczekal, az sie ulozy i zrobil to samo. Ostatnia rzecz, ktora zapamietal, byl obraz kuny, ktora wyjela z pudla spora galaz, przeniosla jaw pysku do paleniska i z wprawa wrzucila do ognia. Rzeczywiscie, musiala robic to juz wczesniej.

Sander zasnal. Snilo mu sie, ze wedrowal dlugim, ciemnym tunelem i slyszal nieustajace walenie mlotow kowalskich uderzajacych o metal. Szukal kowali, od ktorych mial sie

nauczyc rzemiosla.

Korytarz zniknal, zanim Sander zdolal zobaczyc chocby jednego z dawnych kowali. Poczul za to na twarzy cos zimnego i wilgotnego. To Rhin pochylal sie nad nim, dotykajac go nosem. Po chwili kowal rozbudzil sie juz na tyle, by dostrzec przed soba pysk kojota. Usiadl na poslaniu.

Wiatr i deszcz ustaly. Bylo tak cicho, ze slyszal wlasny oddech i lekki trzask ognia, ale kuny nie lezaly juz obok paleniska. Staly przy zablokowanych drzwiach i wpatrywaly sie w wejście. A kiedy Rhin zobaczyl, ze Sander nie spi, spojrzal w tym samym kierunku.

Kowal siegnal po buty. Chociaz byly juz prawie suche, nie mogl wciagnac ich na nogi. Szarpiac sie z nimi, zaczal nasluchiwac.

Sam nie uslyszal nic podejrzanego, ale wierzył w instynkt zwierzat i wiedzial, ze wszczely alarm, poniewaz w okolicy odkryly kogos lub cos podejrzanego. Moze to Kupcy wrocili do swojej siedziby?

To jednak nie stanowiloby powaznego niebezpieczenstwa. Prawo goscinnosci, ktorego scisle przestrzegali wszyscy oprócz Morskich Rekinow, bylo wystarczajacym usprawiedliwieniem, by wtargnac do tego domu w srodku nawałnicy. Sander mial nadzieje, ze jego domysly byly sluszne.

Chwycil jednak miotacz, poluzowal noz w pochwie i najciszej jak potrafil ruszyl w strone drzwi.

Choc Sander nic nie uslyszal za drzwiami, nie znaczylo to, ze alarm byl falszywy. Schowal miotacz za pas i spojrzal na wieszace na scianie polki. Moglby wspiac sie po nich i wyjrzec przez okno.

Oproznil wiec kilka i sprawdzil, czy mocno trzymaja sie sciany: zawiesil sie na najnizszej. Drewno zaskrzypialo glosno, polka jednak ani drgnela. Wspial sie wiec ostroznie, stanal na waskiej desce i z trudem lapiac rownowage, zdolal chwycic sie framugi.

Zdziwil sie, gdy zauwazyl, ze okno zrobiono ze szkla, ktore w dzisiejszych czasach stanowilo rzadkosc. Moze wiec ten najdelikatniejszy ze skarbow Dawnych Czasow znajdowal sie gdzies w tych ruinach w takiej ilosci, ze dalo sie go wykorzystac do budowy normalnych okien.

Zblizyl twarz do szyby. Jej powierzchnia byla chropowata, a wewnatrz zauwazyl pecherzyki powietrza i rysy. Mimo to wyraznie bylo widac caly teren przed domem.

Niebo przejasnilo sie; sadzac po polozeniu slonca, musialo byc teraz pozne popoludnie. Jednak to nie pora dnia interesowala Sandera najbardziej. Chcial zobaczyc, co czailo sie na zewnatrz.

Przed wejściem rozciągało się szerokie podwórze. Pierwsze krzewy, które nieco dalej przechodziły w lesną gestwinę, zaczynały się dopiero kilkadziesiąt metrów od chaty. Ziemię przykrywała cienka warstwa śniegu, na której widniały czyjeś ślady.

Śnieg musiał spaść niedawno. Topił się już w promieniach słońca, szczególnie w miejscu, gdzie ciągnął się trop. I choć szyba zniekształcała widok i kowal nie mógł wypatrzeć żadnego wyraźnego odcisku, jedno było pewne: te ślady zostawiło zwierze większe od tych, które znalazł.

Z daleka wydawały się bezkształtne i trudno było odgadnąć ich pierwotny zarys. Niewykluczone zresztą, że zwierzę było więcej albo że jedno chodziło w tę i z powrotem, zdeptując własne ślady.

Przesunął się trochę w bok i przywarł do szyby. Wyraźnie widział miejsce w lesie, skąd wychodziły ślady, ale nie mógł zobaczyć, dokąd biegły. Czyżby coś buszowało teraz za domem?

Naraz w cisze popołudnia wdarł się donośny ryk, który o mało nie zrzucił go z polki. Z tyłu usłyszał warczenie Rhina i syk obu kun.

-Co to?! - zawołała Fanyi - Nie wiem. - Wychylił się bardziej do przodu, by zwiększyć pole widzenia. - Coś czai się na dworze. Nie mogę zobaczyć.

Ledwo zdążył to powiedzieć, gdy na polanie przed domem pojawił się olbrzymi stwór. Wyglądało na to, że właśnie po raz kolejny okrażał budynek.

Potwór zatrzymał się przed drzwiami. Głowa sięgała prawie do okna, przy którym stał Sander. Czy to na pewno było zwierzę?... Poruszało się przecież na dwóch nogach. Kowal uważnie przyjrzał się stworzeniu i spostrzegł, że to, co w pierwszej chwili wziął za wyblakłą i mocno przybrudzona skóra, było w rzeczywistości ubranie.

Ubranie?... A więc to był człowiek?

Sander głośno przełknął ślinę. Istota rozmiarami dorównywała lesnej przywódczyni. Osadzona na krótkim i masywnym karku głowa łączyła się z szerokimi ramionami. Porastały ją gęste, sztywne i sterczące włosy, które zachodziły aż na oczy. Stwór podniósł ogromną, zakończoną pazurami łapę i odgarnął włosy znad czoła.

Zdawał się jeszcze mniej niż lesni ludzie przypominać człowieka. Krótkie, grube nogi podtrzymywały masywny korpus. Ramiona istoty były tak długie, że stojąc, bestia dotykała czubkami palców ziemi.

Twarz przypominała zwierzęcy pysk i była porośnięta gęstą brodą. Stworzenie wyglądało jak żywcem wyjęte z dziecięcego koszmaru.

Potwor uniosl zacisnieta piesc i naporl na drzwi, ktore zaskrzypialy niebezpiecznie. Czy wytrzymaja napor?...

Sander blyskawicznie zeskoczyl na podloge. Stwor szturmowal teraz drzwi, walac w nie raz po raz. Trudno bylo przewidziec, jak dlugo wytrzymaja ten napor. Rhin i kuny miotaly sie w miejscu, wyjac i warczac. Wyraznie baly sie przeciwnika.

Sander krotko opowiedzial dziewczynie o tym, co zobaczyl.

-Slyszalas kiedys o czym takim? - zapytal w koncu.

-Tak, od jednego Kupca - odparla szybko. - Te stworzenia wedruja po krainach polnocy, polujac na ludzi. Sam teraz widzisz, ze nie wszystko, o czym opowiadaja Kupcy, jest tylko ich wymyslem.

Bestia ani na chwile nie przestala dobijac sie do drzwi. Drag, ktorym je zablokowali, powinien wytrzymac, ale czy nie puszcza sruby i zawiasy? Jesli potwor dopadnie ich tu, w srodku... Kowal nie zauwazyl, zeby bestia byla uzbrojona, ale potezne lapy z pewnoscia zastepowaly kazda bron.

Nic dziwnego, ze budynek zaopatrzono w podziemna kryjowke. Sander podbiegl do metalowej klapy, usunal blokujaca ja galaz i otworzyl przejście. Caly dom drzal teraz w posadach. Potwor nacieral ze zdwojona furia.

-Bierz jakas pochodnie! - krzyknal. Wiedzial, ze lampa Fanyi nie bedzie swiecic wiecznie. Nie mial zamiaru wedrowac w calkowitych ciemnosciach.

Dziewczyna podbiegla do paleniska, chwycila spora galaz i wsadzila jej koniec w plomienie. Kuny przemknely obok Sandera i zniknely w ciemnym wejściu. A Rhin... czy da rade? Kowal mial nadzieje, ze bez bagazu kojot przejdzie przez otwor w podlodze. Zwierze zblizylo sie do wejścia i uwaznie obwachalo ciemna czelusc.

Po chwili kojot odwrocil sie tyłem do podziemnego tunelu i powoli zaczal schodzic w dol. Uslyszeli trzeszczenie zewnetrznych drzwi. Rhin zniknal nagle w ciemnosciach, jakby przestraszyl sie tego dzwieku i spadl. Jednak w chwile pozniej zawarczal gdzies w dole. Wszystko wiec bylo w porzadku. Sander zrzucil torby, ktore podala mu Fanyi, i oswietlil jej droge na dol.

Kiedy zeszla juz kawalek, opuscil pokrywe, zostawiajac niewielka szpare, przez ktora mogli sie precisnac. Polozyl sie na brzuchu, wyciagnal reke i podal dziewczynie pochodnie. W chwile pozniej sam zaczal schodzic.

Stojac juz na stopniach drabiny, pociagnal niedomknieta klape. W gorze uslyszal trzask lamanego drewna. W swietle pochodni zobaczyl metalowy pret, ktorym mozna bylo zablokowac klape od wewnatrz. Ostatkiem sil domknal pokrywe i zablokowal.

Znalezi sie w duzym, okraglym tunelu. Po kunach nie bylo sladu, ale Rhin czekal na swojego pana. Skomlal cicho i weszyl dookola. Wyraznie nie podobalo mu sie to miejsce.

Korytarz obnizal sie. Jesli mieli isc dalej, kojot bedzie musial sie czolgac. Fanyi wetknela pochodnie w okragly pierscien wystajacy ze sciany i zaczela przepakowywac swoje rzeczy. Wiedziala, ze Rhin nie bedzie tutaj mogl niesc bagazu. Sander obawial sie, ze tunel wkrótce obnizy sie jeszcze bardziej i w koncu dotra do miejsca, przez ktore kojot juz nie da rady sie przecisnac.

-Spojrz! - powiedziala Fanyi, przewiazujac ostatnie pakunki. Pochodnia, ktora zabrali z pomieszczenia na gorze, dopalala sie juz, ale pod sciana lezaly prawdziwe luczywa z glowkami oplecionymi wloknem i umoczonymi, jak poznali po zapachu, w rybim tluszczu.

A zatem poprzedni mieszkancy tego domu zdawali sobie sprawe z czyhajacych niebezpieczenstw i byli przygotowani na uciezke podziemnymi tunelami. Czyzby porzucili swoje, nie najgorsze przeciez, domostwo wlasnie z powodu ogromnej, czlekokształtnej bestii?

Sander zapalil jedna z pochodni. Pozostale podzielil na dwie wiazki i jedna oddal dziewczynie. Pochylajac lekko glowe, ruszyl tunelem w dol. Tuz za soba slyszal pomrukiwanie Rhina, wyraznie niezadowolonego. Pochod zamykala Fanyi.

Trudno bylo stwierdzic, dokad prowadzi ten tunel i jak daleko sie ciagnie. Po drodze mineli miejsce, w ktorym musial sie kiedyś zawalic. Wyraznie bylo widac, ze zostal tu na nowo przekopany i umocniony. Po jakimś czasie dotarli do otworu w scianie, ktory laczyl sie z kolejnym korytarzem, tym razem na tyle przestronnym, ze Rhin mogl stanac swobodnie. Wzdłuż nowego tunelu ciagnely sie metalowe szyny. Wylanialy sie z ciemnosci po lewej stronie i znikaly w glebi po prawej. Uciekinierzy zatrzymali sie, nie bardzo wiedzac, w ktora strone teraz isc.

-Aaaeeee! - wezwala Fanyi kuny. Odpowiedz nadeszla niemal natychmiast. Z lewej strony.

-Tedy pojdziemy. - Dziewczyna miala do swoich zwierzat bezwzgledne zaufanie. - Wysforowaly sie do przodu i chyba znalazly droge do wyjścia...

Kowal mial nadzieje, ze to zaufanie bylo uzasadnione. Oswietlajac nierowna droge, ruszyli na lewo.

Tunele pod Dawnym Miastem zdawaly sie ciagnac bez konca. Caly czas nasluchiwali, czy nikt ich nie sciga, choc Sander nie wierzyl, by tej ogromnej istocie, nawet gdyby zerwala blokadę klapy, udalo sie przecisnac przez otwor w podlodze.

W swietle pochodni dostrzegl slady wilgoci, choc sciany tunelu sprawialy wrazenie nienaruszonych. Wygladaly solidnie i raczej nie grozily naglym zawaleniem. Po chwili jednak

natrafili na niespodziewana przeszkoda.

Gdy Sander zbliżył się do rumowiska, okazało się, że nie są to fragmenty zawałonego korytarza, tylko kawały żarzewiałego metalu, które wypełniały przejście aż po samo sklepienie, zostawiając wąskie drożki po obu stronach. Przeszkoda nie była problemem ani dla kun, ani dla Sandera i dziewczyny, ale Rhin nie miał szans przecisnąć się przez wąskie szpary.

Kowal oddał Fanyi pochodnie, rozwiązał swój pakunek i wyjął z niego torbę z narzędziami. Wybrał najcięższy młot i podszedł do rdzewiejącego rumowiska.

Metal kruszył się i rozpadał pod uderzeniami w rdzawy pył. Sander nie wiedział, czy w ten sposób uda mu się wyrabac przejście dla Rhina, nie rezygnował jednak. Szybko poczuł zmęczenie i musiał się rozebrać. Pot spływał mu po twarzy i plecach, a odwykle od codziennej pracy ręce bolały.

Nie zwalniał jednak tempa. Uderzał miarowo, stale z jednakową siłą. Szybko udało mu się poszerzyć przejście z lewej strony. Rhin wiercił się za plecami Fanyi, która wyciągnęła nową pochodnię na miejsce poprzedniej, wypalanej, gdy Sander torował przejście.

Metal był bardzo kruchy. Taka korozja musiała wywołać dużą wilgoc. Gdy kowal przestał na chwilę, by złapać oddech, przyjrzał się dokładnie rumowisku. Wyglądało na resztki pojazdu, który przenosił mieszkańców Dawnego Miasta z miejsca na miejsce pod powierzchnią ziemi. Rdzawy pył dostawał się wszędzie. Krztusili się. Dziewczyna oddała wąskie pasy materiału ze swojej tuniki, zmoczyła je wodą z bukłaka i obwiązała im usta.

Dopiero teraz Sander zdał sobie sprawę, że huk młota było słychać na wiele kilometrów wokół. Jeśli potwór podał za nimi, to nie będzie miał żadnych problemów, by ich odnaleźć.

W końcu udało się sforsować opór metalu i poszerzyć przejście. Kowal był głodny i spragniony, nic jednak nie można było teraz na to poradzić. Musieli jak najszybciej wydostać się z tunelu.

Pare chwil później dotarli do kolejnego rozstaju dróg. Fanyi znów wezwwała kuny, tym razem jednak nie dostała odpowiedzi. Choć w świetle pochodni uważnie przyglądali się podłozu, nigdzie nie mogli dostrzec ich śladów. W końcu Sander spojrzał na Rhina. Po raz pierwszy od momentu, gdy zeszli w dół, kojot wyglądał na pewnego siebie i spokojnego.

Spuścił lebę, by obwachać dokładnie szyny i ściany obu korytarzy. W końcu warknął cicho i ruszył jednym z tuneli. Na szczęście nie napotkali już na swojej drodze żadnej przeszkody. Tunel stopniowo się obniżał, a na ścianach pojawiła się woda, która niegdyś musiała zalewać cały korytarz.

Sander przyjrzał się ścianom. Niewykluczone, że wilgoc osłabiła konstrukcję tuneli; nawet

przy najlżejszym dotknięciu mogły się zawalić i przysypać uciekinierów. Musieli bardzo uważać. Starali się iść bez przerw i utrzymywać zwąbe tempo, kowal miał jednak cały czas wrażenie, że poruszają się zbyt wolno. Nieustannie też nasluchiwał, czy ściany nad nimi nie drżą i nie pękają.

Fanyi przywołała go. Przed nimi pietrzyło się kolejne rumowisko metalu, tym razem szczelnie blokując drogę. Ale w gorze, tuż nad wrakiem Sander zobaczył poszarpany otwór. Mogli dostać się do niego po niepewnej "drabinie", jaka stanowiło złomowisko.

W otworze zobaczyli wpatrujące się w nich ślepie Kai. Kuny bez wahania zdecydowały się obrócić tę niepewną drogę. Głowa Kai zniknęła, gdy tylko Rhin zaczął się wspinać się do góry.

Szedł bardzo ostrożnie. Dokładnie wybierał miejsca, gdzie stawiał łapy. Przy pierwszym kroku stracił małą lawinę kamyczków i rdzawych odłamków, zatrzymał się więc i zaczął dokładnie obwachiwać rumowisko, jakby w ten sposób chciał sprawdzić, czy wytrzyma jego ciężar.

Sander i Fanyi podeszli, gdy Rhin znalazł się trochę wyżej. Przy każdym kroku ciężko dyszał. Wywiesił jeździec, z pyska ciekła mu ślina. Bardzo uważnie stawiał każdy krok.

Do otworu w suficie pozostało mu zaledwie parę kroków. Sander wszedł kawalek pod górę i wyciągnął rękę, w której trzymał pochodnię. Chciał pomóc Rhinowi.

Kojot znowu stracił lawinę małych kamieni, metalowych odprysków i piasku, takiego samego jak na słonej pustyni. Głowa i przednie łapy zwierzęcia zniknęły w otworze. Mięśnie tylnych łap napięły się z całej siły, gdy próbował przecisnąć olbrzymie cielsko przez wąskie przejście.

Sander uskoczył w bok przed kamieniami, które leciały teraz gęściej. Po chwili głowa kojota ukazała się w otworze i Rhin szczeptał parę razy, zachęcając ich do wejścia.

Kowal zapalił jeszcze dwie pochodnie i wetknął je w niebezpieczne rumowisko, by jak najlepiej oświetlały drogę. Zdjął z pleców bagaż i wyciągnął z jednej z toreb długą linę.

-Idę pierwszy. Gdy już będę na gorze, zrzuć ci linę. Przywiąż do niej bagaż, żebyś mógł ją wciągnąć. Stań z boku, dopóki ich nie złapie. Potem spuść ci linę. Przewiąż się w pasie i wspinaj się bez pośpiechu.

Umocował linę przy pasku i spojrzał na rumowisko. Ostatnia mała lawina odsłoniła fragmenty skały, które powinny stanowić solidne oparcie. Oparł nogę na najbliższym z nich i ruszył pod górę.

Nie miał zbyt wiele miejsca, żeby pewnie oprzeć stopę, a ręce parokrotnie się zślizgiwały, zanim zdołał się mocno uchwycić solidnego skalnego występu. Przedzierając

sie przez rumowisko, dotarl poziom wyzej. Z otworu w suficie wyrzyl Rhin. Poszczekiwal coraz glosniej, wyraznie zachecajac Sandera do szybszej wspinaczki.

Ostatni fragment gruzowiska byl najgorszy. Lezaly tu pokruszone kawalki skal i metalu, ktore podczas swojej wspinaczki zrzucil kojot. By dostac sie do otworu, Sander musial pokonac ten odcinek po nierownym gruncie, ktory w kazdej chwili grozil obsuniecie lub zawaleniem. Zanim znow podjal wspinaczke, stal dlugo i przypatrywal sie niebezpiecznemu przejsci. Chcial zaczerpnac tchu i uspokoic sie przed dalsza wedrowka. Choc nigdy nie przyznalby sie do tej slabosci, nie cierpial wspinaczki, nawet na wzgorzach bardziej przystepnych od tego rumowiska. Wiedzial, ze nie wolno mu patrzec w dol. Koncentrowal sie tylko na tym, co widzial przed soba. Nie mogl jednak stac tak w nieskonczonosc. Nie pozostalo mu nic innego, jak zaufac szczesciu i wlasnej sile i pokonac ostatni odcinek drogi.

Badal nasyp przed soba, by znalezc dobre oparcie dla rak. Paznokcie zgrzytaly o metal i skale. W palcach czul tepy bol. W koncu znalazl fragment bloku skalnego, ktory nie osuwal sie nawet pod silniejszym naciskiem.

Zdawalo mu sie, ze pod jego ciezarem cala konstrukcja zaraz runie w dol. Szybko podciagnal sie do gory i udalo mu sie znalezc miejsce, gdzie oparl kolano. Byl juz kilkanascie centymetrow od zalomu, ale nie czul sie ani odrobine pewniej.

Kojot opuscil leb. Bez zadnego ostrzezenia chwycil Sandera za ubranie i zaczal wciagac do gory. Kowal krzyknal, bo kly Rhina zacisnely sie na skorze pod ubraniem.

Wreszcie kojot wyciagnal go na powierzchnie. Sander, zupełnie tym zaskoczony, chwial sie przez chwile niepewnie w blasku oswietlajacego spekana ziemie ksiezycy.

Wciagniecie bagazu nie stanowilo juz wielkiego problemu. Szybko znalazl skale, do ktorej przywiazal line, zrzucil sznur i wciagnal pakunki na gore. Dziewczyna, obwiazana lina, rowniez nie miala problemow ze wspinaczka. Sander pomagal jej z gory, jak mogl, i wlasciwie sam wyciagnal ja na powierzchnie.

Mieli teraz troche czasu, by rozejrzec sie dookola. Na zachodzie rozciagal sie pas stromych wybrzezy. Na wschodzie dostrzegli wzniesienie - prawdopodobnie dawna wyspe - a na nim mocno zniszczone miasto. Tunel, ktorym uciekli, z pewnoscia biegł kiedys pod dnem morza i laczył wyspe z kontynentem.

Tu, gdzie znajdowali sie teraz, nie wydawalo sie zbyt bezpiecznie. Teren byl plaski i odkryty. Potwor nie wszedl za nimi do tunelu, ale jesli on lub jego pobratymcy wloczyli sie posrod ruin, z latwoscia mogli teraz wypatrzyc uciekinierow.

Sander schylil sie i podniosl swoj pakunek. Czul dreszcze, byl zmeczony i glodny, a ostatnia przeprawa ostatecznie go wyczerpala. Wiedzial jednak, ze powinni jak najszybciej dotrzec do wybrzeza i znalezc tam jakiegokolwiek schronienie. Musial jeszcze troche wytrzymac. Na otwartej przestrzeni mogli znow objuczyc Rhina. Kowal dlugo rozplatyl

line, zanim przymocował nia bagaze na grzbiecie kojota. Wciaz mieli jeszcze spory zapas pochodni, rozsadniej jednak bylo nie zapalac ich teraz. Moglyby przyciagnac uwage wrogich istot, a tego w tej nieprzyjaznej krainie nalezalo sie wystrzegac. Na razie musialo im wystarczyc swiatlo ksiezyca.

Szli po obu stronach kojota. Sander raz po raz potykal sie i zataczal. Kuny znów gdzies zniknely w ciemnosciach. Kowal przypuszczal, ze pobiegly w strone plazy.

Szedl bardzo niepewnie. Rece trzesly mu sie ze zmeczenia, ale nie chcial, by dziewczyna to zauwazyła.

Na szczescie droga wiodła lagodnie w dol. Nie widzial nigdzie urwisk, na ktore musieliby sie znówu wspinac. Wreszcie dotarli do dawnego wybrzeza. Nogi zapadaly im sie w piachu. Wokol lezaly ogromne glazy, porosniete skapa trawa. Sander uniosl glowe i popatrzył na poludniowy kraniec wybrzeza. Szukal ciemnej linii lasu, ktory opuscili, jak sie teraz zdawalo, tak dawno temu.

Nigdzie jednak nie widzial drzew. Krajobraz byl tu plaski i otwarty, gdzieniegdzie tylko wznosily sie skalne wyrzusczenia podobne do tych, ktore widzieli na wyspie. Dawne miasto bylo ogromne i rozciagalo sie takze na stalym ladzie.

-Musimy szybko znalezc schronienie. - W glosie Fanyi wyczuwalo sie napiecie. - Opadam z sil. Nie wiem, ile jeszcze dam rade przejsc.

Byl jej bardzo wdzieczny, ze powiedziala to pierwsza. Sam rowniez nie wiedzial, na jak dlugo jeszcze wystarczy mu sil, a jednak duma nie pozwolila mu przyznac sie do tego.

W koncu oboje chwycili za liny, ktore podtrzymywaly niesiony przez Rhina bagaz. Kojot ciagnal ich za soba, az wreszcie chwiejnym krokiem wtoczyli sie na otwarta przestrzen. Dotarli do szerokiej niecki, ktora niegdys musiala porastac gesta roslinnosc.

Tu rowniez musial spasc snieg, ktory zalegal jeszcze gdzieniegdzie rozleglymi platami. Ich biel lsnila w swietle ksiezyca. Chloszczacy wiatr ucichl. Noc byla spokojna i cicha. Sander drzal z zimna. Skostnialymi palcami odwiazal line i caly bagaz zsunal sie z grzbietu kojota na piaszczysta ziemie. Za jednym ze wzgorz pojawily sie kuny. Kai niosl w pysku bezwladny ciezar, ktory rzucil u stop Fanyi. Byl to duzy zajac.

Rhin, wolny od ciezaru, warknal znaczaco, zaczal weszyc i po chwili ruszyl przed siebie. Sander wiedzial, ze kojot sam zadba o swoj posilek.

Obejrzał teraz uwaznie dolinke, w ktorej sie zatrzymali. Od plaskowyzu wysuszonej, morskiej pustyni odgradzaly ich co najmniej dwa wzniesienia. Wiedzial, ze nie przetrwaja tej nocy bez ognia i ciepłego posilku, przykucnal wiec i zaczal wyrywac poplatane krzewy. Wyszniete pnacza latwo sie kruszyly. Po chwili przy obozowisku plonal wesolo ogien, a Sander mogl poswiecic cala uwage zajacowi, ktorego trzeba bylo wypatroszyc i obedrzec

ze skory.

Obozowali tu przez dwa dni, nie widzac w tym czasie zadnego z zagrozen, na jakie byli narazeni wczesniej. Po potwornej istocie, ktora napadla ich w opuszczonym domu, rowniez nie bylo sladu. Sander polowal na duze zajace i miniaturowe jelenie, ktore swoimi rozmiarami nie dorownywaly nawet Kayi, a zachowywaly sie tak beztrosko i odwaznie, jakby nigdy wczesniej na nie nie polowano. Byl to kolejny dowod, ze nikt tedy nie podrozowal.

Dni stawaly sie coraz zimniejsze. Noce spedzali na przerywanej dreszczami drzemce w poblizu ognia. Znowu spadl snieg, niezbyt gesty, ale wystarczyl, by pokryc ziemie bialym puchem. Sander nie byl tym zachwycony - teraz ich slady wokol obozu widac bylo jak na dloni. Ze wszystkich sil staral sie je zacierac, nie dawalo to jednak wiekszych rezultatow.

Nie wiedzieli, jak skutecznie zabezpieczyc zajecze skory, ale czyscili je najdokladniej jak potrafili i wiazali w male zawiniatka. Kowal wiedzial, ze swoich ubraniach dlugo nie wytrzymaja w takim klimacie i ze wkrótce beda potrzebowali skor, nawet smierdzacych i niedokladnie zabezpieczonych, jako dodatkowej ochrony przed zimnem.

Fanyi przesiadywala z medalionem w reku, tak zajeta jego obserwowaniem, ze czesto nie miala pojecia, co dzieje sie dookola. Twierdzila, ze juz dwa razy udalo jej sie nawiazac kontakt z czyms, co nazwala "szukajaca mysla". W obu przypadkach nie byla jednak pewna, czy ten poszukujacy umysl zdawal sobie sprawe z jej obecności. Nie zdolala rowniez ustalac zrodla, z ktorego wyslano sygnal. Wydawala sie tym niepoczyszona, Sanderowi wcale to jednak nie przeszkadzalo. Nie mial zaufania do spraw, ktorych nie potrafil pojac.

Podczas polowan szukal rowniez metalu. Nawet jesli po ustapieniu Mrocznych Czasow znajdowaly sie tu jakies zloza tego surowca, juz dawno dokladnie je wyczyszczono. Prawdopodobnie zrobili to Kupcy. Natknal sie nawet na wykopaliska, z pewnoscia prowadzone po katastrofie, ktora tak bardzo odmienila swiat.

Rozleglosc ruin starego miasta przytlaczala Sandera. Ilu Praludzi musialo je zamieszkiwac? Z pewnoscia o wiele wiecej, niz liczyl sobie jakikolwiek klan. Sladami Rhina kowal dotarl do innej rzeki, ktorej koryto czesciowo blokowal ogromny glaz. Musiala zakrecac w kierunku odleglego teraz morza i obiegac dawna wyspe z drugiej strony. Obaj, czlowiek i zwierze, zdawali sobie sprawe, jak wazne bylo to odkrycie. Gdy Sander napelnial buklak, Rhin stanal na strazy, nie zauwazyli jednak ani sladu plazowatych stworow. W wodzie roilo sie za to od ryb i kowal zdolal nawet zlowic jedna za pomoca prowizorycznej wedki. Szybko jednak wypuscil jaz powrotem. Przypominala oslizlego weza i wiedzial, ze nie przelknie nawet kawalka jej lepkiego miesa.

Wlasnie nad rzeka natknal sie na te glowe. Nie byla to czaszka zadnego ze zwierzat, ktore tu zyly, tylko wykuta w kamieniu glowa, wielkoscí dwoch zlozonych razem piesci i bardzo

stara. Wzdłuż karku ciągnęło się głębokie pekniecie. Przedstawiała łeb jakiegoś ptaka o dzikim i dumnym wyglądzie. Zaciekawila kowala.

Przyniósł ją do obozu, by pokazać Fanyi. Dziewczyna dokładnie obejrzała znalezisko, obracając je w dłoniach.

-To - oznajmiła stanowczo - był symbol władzy lub dowództwa. Takie znalezisko to dobry znak.

Sander uśmiechnął się.

-Nie mam pojęcia o dobrych i złych znakach, Szamanko. Moi ludzie nie zajmują się takimi rzeczami. Jednak wykonano ją bardzo starannie. Musiała mieć duże znaczenie dla tego, kto ją wykuł. Włożył w nią tyle pracy i wysiłku...

Chyba w ogóle go nie słuchała. Jej oczy znów gdzieś błądziły.

-Był ogromny budynek... bardzo, bardzo duży. A ta głowa stanowiła część rzeźby ptaka z rozpostartymi skrzydłami, która ustawiono nad wejściem... i... - Fanyi upuściła kamienną głowę i przetarła oczy, jakby chciała z nich coś wymazać. - Miała swoje znaczenie - powtórzyła. - Była totemem wielkiego narodu, który zamieszkiwał tu ogromne obszary.

-Tu? - Sander rozejrzał się dookoła. - Jeśli jest, jak mówisz, to ten totem nie bardzo im pomógł.

Podniosła kamienną rzeźbę.

-Wszystkie totemy zawiodły w Mrocznych Czasach, kowalu. Ziemia, morze, wiatr i ogień sprzysięgły się przeciwko ludziom. Żaden totem nie powstrzyma ginącego świata przed zagładą.

Ustawiała rzeźbę na niewielkim glazie, podparła ją małymi kamyczkami i skłoniła przed nią głowę.

-Totemie umarłych - powiedziała cicho - znów oddajemy ci należny szacunek. Jeśli drzemie w tobie jeszcze jakaś moc, użyj nam jej. Jesteśmy potomkami potomków tych, którzy stworzyli cię, byś chronił ich potężne domostwa. - Wykonywała przy tym gesty, których znaczenia kowal nie rozumiał.

Ona mogła zajmować się niewidzialnymi mocami i totemami, on musiał martwić się o dzień dzisiejszy. Naszała go jednak ochota, by zrobić gliniany odlew rzeźby i potem wypełnić go łatwą do obróbki miedzią. W ten sposób mogłoby sporządzić replikę starego totemu. Rzeźba wazyła jednak zbyt dużo, a poza tym bardziej oplacało mu się zachować kawałki metalu, które znalazł na statku.

Zaczynał tracić cierpliwość. Spędzili tu już dość czasu, by odpocząć i zgromadzić potrzebne zapasy. Udało mu się nawet ususzyć nad ogniem część zajęczego mięsa. Nie było żadnego powodu, by przedłużyć postój.

-Ten przewodnik... rzecz, którą nosisz na szyi - zwrócił się do dziewczyny. - Co teraz pokazuje?

Wskazała, jak zwykle, na północny zachód. Wędrowka w tamtym kierunku oznaczała jednak błądzenie wśród ruin miasta. Czuli się o wiele swobodniej, gdyby ruszyli prosto na zachód, gdzie, jak miał nadzieję, mniej było pozostałości po budowlach Praludzi.

Choć zniecierpliwienie narastało w nich z każdą chwilą, pozostali w obozowisku jeszcze dwa dni, co pozwoliło im lepiej przygotować się do dalszej drogi. Dobra pogoda nadal się utrzymywała, ale z każdym dniem robiło się coraz chłodniej. Najważniejsze jednak, że burze i sztormy wyniosły się z tej okolicy na dobre. Wreszcie, po pięciu dniach spędzonych na starym wybrzeżu, ruszyli w dalszą drogę. Słońce świeciło jasno i było dość ciepło.

Jak zwykle, obie kuny wypuściły się do przodu i zniknęły im z oczu wśród pagórków i wzniesień. Tu i ówdzie natrafiali na ich ślady, mieli więc jakieś wyobrażenie, gdzie mniej więcej znajdowały się zwierzęta. Rhin za to nie opuścił Sanderę i dziewczyny ani na chwilę.

Fani przez cały czas trzymała w ręku medalion. Co chwila wskazywała drogę, a Sander, widząc jej pewność siebie, nie sprzeciwił się ani razu. Sam chciałby przyjrzeć się lepiej medalionowi i jego nieustannie migoczącym kamieniom. Nie miał wątpliwości, że Praludzie potrafili stworzyć przyrząd do wyznaczania kierunku. Watpił jednak, czy sam zdołałby zglebieć tajemnice jego działania. Mimo to zapytał w końcu:

-W jaki sposób ten przedmiot do Ciebie przemawia, pokazując ci, że mamy iść w prawo lub w lewo?

-Wiem bardzo niewiele o tym, jak należy go używać. Widzisz? - kiwnęła na niego. - Popatrz, ale nie dotykaj, bo nie wiem, jak inna osobowość może wpłynąć na działanie medalionu.

Przedmiot był owalny i gruby na jakieś dwa centymetry. Wykonano go z jasnego metalu, na którym czas nie wycisnął swego piętna. Możliwe, że zrobiono go z tajemniczego stopu, który już od dawna zaskakiwał swoimi właściwościami ludzi Klanu. Pośrodku medalion był wysadzany okrągłymi, wypolerowanymi kamieniami, które tworzyły koło. Kamieni było dwanaście, każdy miał inną barwę. Świeciły jasno, uwagę Sanderę przykuło jednak coś innego. Wewnątrz metalu poruszała się cienka struzka światła.

-Patrz uważnie - powiedziała dziewczyna, gwałtownie odwracając się w lewo. Promień światła na medalionie zatoczył i również się obrócił, cały czas jednak wskazywał ten sam kierunek, co wcześniej. Z tą różnicą, że teraz dotykał innego kamienia.

-Moj ojciec - odwrocila sie z powrotem i promien przesunal sie na dawne miejsce - wiedzial wiele rzeczy. Niektore z nich udalo mu sie przekazac mojej matce, a ona z kolei nauczyla mnie. Umarl, zanim przyszlam na swiat. To byl jego najwiekszy skarb. Przysiegal na magie Praludzi, ze tego, kto bedzie go uzywal, medalion zaprowadzi do miejsca, w ktorym go wykonano. Im blizej sie jest tego miejsca, tym jasnieszy staje sie promien. I to sie zgadza. Z kazdym dniem plonie mocniejszym blaskiem. Wiem, ze miejsce, ktorego szukamy, jest zrodlem olbrzymiej wiedzy. Mozliwe, ze Praludzie w jakis sposob przewidzieli nadchodzacy kataklizm i wybudowali taki magazyn, ktorego nie zniszczyla nawet katastrofa Mrocznych Czasow.

Swietlisty promien zrobil na Sanderze ogromne wrazenie. Naprawde reagowal na ruchy dziewczyny i mozna bylo uwierzyc, ze medalion pokazuje droge. Kim tak naprawde byl jej ojciec? Kupcem, ktory przetrzasnal ruiny i znalazl w nich rzeczy, o ktorych istnieniu Sander nie mial pojecia? A moze czlonkiem plemienia, w ktorym mieszkal Zapamietywacz o wiedzy przewyzszajacej wszystkich ludzi jego Klanu?

-Twoj ojciec... byl jednym z Kupcow?

-Nie, choc podrozowal w ich towarzystwie. Wlasnie z nimi przybyl do Padford. Byl poszukiwaczem, nie metalu jednak. Szukal ludzi, oczywiscie nie po to, by ich zniewolic, jak to robia Morskie Reki. Chcial sie od nich uczyc, chcial sie dowiedziec, jak wiele wiedzac Dawnych Czasach. Udalo mu sie zebrac mnostwo informacji, ale... - jej twarz spochmurniala - gdy zlozyli go juz do grobu, matka wlozyla tam rowniez ksiega, w ktorej zapisywal wszystko, co zdolal ustalac. Swoje notatki sporzadzal na wygladzonej korze lub wygarbowanej skorze. Matka wiedziala, ze to byl jego najwiekszy skarb i dlatego kazala pochowac go z ta ksiega. Dzieki temu w zaswiatach bedzie mogl uzywac jej tak, jak inni uzywaja narzedzi i broni, z ktorymi zostali pochowani. Ojciec mowil, ze zapisane slowa to najwieksze ze wszystkich narzedzi...

Sander z politowaniem pokrecil glowa. Brzmialo to bardzo glupio. W jaki sposob znaki, podobne do tych, ktore Fanyi niedawno nabazgrala na piasku, mogly byc bardziej przydatne od narzedzi, za pomoca ktorych mozna bylo zrobic cos konkretnego, lub od broni, ktora pozwalala uchronic sie od smierci i glodu?

-Tak uwazal moj ojciec! - Uniosla dumnie glowe, jakby czytajac w jego myslach. - Jego zapiski spoczywaja teraz wraz z nim, ale mnie pozostalo to. - Jej dlon mocno zacisnela sie na medalionie. - I mysle, ze gdzieś istnieje jeszcze wiecej takich cudownych urzadzen.

W ciagu dnia udalo mu sie jeszcze kilka razy zajrzec przez ramie dziewczyny, gdy czytala wiadomosci wysylane przez medalion. Parokrotnie musieli nadkladac drogi, czasem nawet cofac sie i omijac jakies ruiny. Za kazdym razem promien swiatla zmienial swoje polozenie, wciaz jednak wskazywal ten sam kierunek.

Sander pomalu zaczynal odnosic wrazenie, ze to miasto nie ma konca. Skad wzelo sie tu

tylę ludzi, jak długo gromadzili materiały i wznosili te budowle? Coraz bardziej go to zastanawiało.

W czasie wędrowek ludzie Klanu niekiedy natykali się na jakieś ruiny, omijali je jednak dla zasady. Panowało bowiem przekonanie, że wśród murów mogła się czoić zaraza, choroba, która zawsze kończyła się śmiercią. Młodzi raz lub dwa wyprawili się tam po metal, znaleźli jednak tylko porzewiałe szczątki, które do niczego się nie nadawały. Bardziej opłacało się polegać na Kupcach, którzy dla zysku zawsze skorzy byli zaryzykować i dostarczyć Klanowi zamówiony towar.

Jednak żadne ruiny, które kowal widział wcześniej, nie ciągnęły się w nieskończoność. Podejrzał też, że jeśli wśród zniszczonych budynków znajdował się nawet kiedyś dobrej jakości metal, z pewnością dawno go zabrano. W krzakach, które rosły dookoła bardziej stabilnych ścian, zagnieździły się ptaki. Wszędzie wokół widniały na murach białe plamy ptasich odchodów. Teraz jednak gniazda były puste. Widac je było przez odarte z liści galezie krzewów.

Sander dwukrotnie sięgał po proce i raz udało mu się ustrzelic dużego krolika. Upiekli go podczas postoju. Suszone mięso woleli zostawić na później.

Kuny włożyły się gdzieś w okolicy. Rhin obwachiwał kamienie i warczał niespokojnie, jakby wyczuwał zapach, który mu się nie podobał. Za każdym razem Sander przeszukiwał ziemię. Najbardziej obawiał się natknąć na potwora, który zaatakował ich na wyspie. Nie było jednak widac żadnych śladów.

Tropy, które odnajdywał kojot, albo musiały być bardzo stare, albo pochodziły od zwierzęcia, które nie poruszało się po ziemi w normalny sposób. Wokół nie było też drzew, na których mogłyby się ukryć stworzenia podobne do lesnych ludzi.

Szukając drewna na wieczorne ognisko, Sander dokonał odkrycia, które bardzo go poruszyło. W małej rozpadlinie znalazł szkielet. Nie były to ludzkie szczątki. Długa czaszka z ogromnymi szczękami leżała na gołej skale. Była prawie dwukrotnie większa od jego głowy. Z jednego z oczodołów coś sterczało. Była to strzałka z miotacza.

Ostrożnie wydobyl ją z czaszki. Nie różniła się kształtem od tych, których sam używał. Wykonano ją z niezle obrobionego metalu. Musiała wyjść spod reki bardzo dobrego kowala. Jednak nie miała żadnych znaków, które mogłby rozpoznać. Przykucnął, by lepiej przyjrzeć się szkieletowi.

Z pewnością były to szczątki jednego z czelkkształtnych potworów. Stworzenie musiało zginąć co najmniej parę miesięcy temu. Sander zastanawiał się, dlaczego zbrojca nie zabrał strzałki. Nie należało ich marnować i każdy łowca po zabiciu ofiary myślał przede wszystkim o tym, jak odzyskać swoją broń. Możliwe, że strzelano z dalszej odległości i potwór, wciąż żywy, zdolal jeszcze uciec i dowiec się tutaj.

Kowal ostrożnie okrzyknął szkielet i po chwili dokonał kolejnego odkrycia. W jednej ze skał dostrzegł wejście. Choć ziemia częściowo je przysypała, wciąż było całkiem wyraźne. Niewykluczone, że potwór zaskoczył w tym miejscu Kupców, którzy akurat starali się wydobyć coś z ziemi. Wydawało się to bardzo prawdopodobne.

Możliwe, że Kupcy tak dotkliwie odczuli skutki ataku, że zabrali zabitych i rannych, i po prostu uciekli. Ślady tej potyczki, choć dość stare, stanowiły jednak wyraźne ostrzeżenie.

Sander uważnie przyjrzał się lotce. Na czubku nosiła ślady rdzy, ale z łatwością można było je usunąć, choćby piaskiem. Wiedział, że każda dodatkowa strzałka może być w ich sytuacji na wagę złota.

Nie zadowolilo go to jednak. Gwizdnął na Rhina, który gdy tylko wyczuł szkielet, wyszczerzył kły i warczał ostrzegawczo. Sander pokazał kojotowi wejście, ale zwierze nie wydawało się specjalnie zainteresowane. Z pewnością wszystkie zapachy, które Rhin mógłby wywachać, dawno już wywietrzały. Teraz, za kupą gruzu, która częściowo zagradzała wejście, kowal zauważył coś innego - głębokie, wyłobione w ziemi koleiny.

Z pewnością ciągnęto wtedy jakiś wóz lub bryczkę, nieco mniejsza niż te, których używali w swoich wędrowkach ludzie Klanu. Pojazd musiał być wyladowany po brzegi, bo jego koła wbijały się w grunt nawet na kilka centymetrów. Wynikało z tego jasno, że poszukiwacze zabrali ze sobą to, co znaleźli pod ziemią.

Jeżeli jednak ta ziemia była miejscem, gdzie Kupcy zaopatrywali się w towary, to oni i dziewczyna mogli znaleźć się w niemalym niebezpieczeństwie, nawet jeśli nie wyglądali na poszukiwaczy metalu, nie mieli ze sobą wozów, a towarzyszył im jedynie kojot i kuny. Kupcy znani byli z zawistnego usposobienia i bez żadnego ostrzeżenia mogli zaatakować intruzów na terytorium, które uważali za swoje. Wykopaliśko musiało być bardzo stare. Świadczyły o tym wyschnięte kości potwora i stan, w jakim znajdowało się wejście do podziemi. Nie znaczyło to jednak, że ludzie, którzy czegoś tutaj szukali, całkiem porzucili ruiny miasta i wynieśli się na dobre gdzie indziej. Starodawne miasto było niewyczerpana skarbnica wszelkiego rodzaju towarów.

Teraz więc podróżnicy musieli wystrzegać się jeszcze jednego niebezpieczeństwa. Sander wiedział, że kojot zaatakuje każdego intruza, którego kowal nie zaakceptuje. Nawet Fanyi była kiedyś zagrożona; przy pierwszym spotkaniu Rhin nie zaatakował jej tylko ze względu na kuny. Musieli zatem polegać na kojocie, na jego sile i instynkcie. Sander nie miał zamiaru wchodzić w konflikt z Kupcami. Za bardzo potrzebował wiedzy i surowców, do których mieli dostęp. Ci, których spotkał na swej drodze, byli zawsze uprzejmi, choć, jeśli chodziło o sprawy handlowe, wyjątkowo twardzi i nieustępliwi. Ostatecznie daleko im było do Morskich Rekinów, z którymi nie dało się żyć w pokoju. Sander miał więc nadzieję, że jeśli na ich drodze stanie grupa Kupców, Rhin ostrzeże uciekinierów na tyle wcześnie, że będą mogli przygotować się na spotkanie i udowodnić swoje pokojowe zamiary. Gdy opowiedział o znalezisku dziewczynie, nie wydała się zbyt poruszona.

-To mogli być nawet ludzie z klanu Gavaha. To oni przybywają do Padford... - poprawiła się szybko - przybywali wiosną do Padford wzdłuż wybrzeża. Nasz kowal, Ewold, zarzekał się, że Gavah sprzedawał najlepszy metal.

-Co proponowaliście im w zamian?

Jego klan miał na wymianę skóry i tkaną wełnę. Wszystko to kupcy chętnie nabywali. Zastanawiał się, co takiego mieli do zaoferowania ludzie Fanyi, że kupcom opłacało się zaglądać do Padford. W jego mniemaniu w wiosce nie było rzeczy, które mogły przyciągnąć handlarzy.

-Handlowaliśmy solonymi rybami i samą solą - odparła szybko. - Nasi ludzie wyprawiali się po nią na słoną pustynię. Poza tym mieliśmy suszone owoce i, od czasu do czasu, nadwyżkę ziarna. Moja matka suszyła również zioła, których nie mieli znachorzy kupców. Nie byliśmy tak biedni, jak ci się wydaje, kowalu!

-Przecież niczego takiego nie powiedziałem - obruszył się. - Każdy żyje, jak chce.

-Może nic nie mówisz, ale tak właśnie myślisz - powiedziała pewnym głosem. - Morskie Rekińyabrały ze sobą dużo więcej niż tylko niewolników i dusze pomordowanych. Zastanawiam się, dlaczego to robią? Dlaczego polują na istoty do nich samych podobne i kazały im pracować na swoich okretach? - Wydawało się, że nie oczekuje odpowiedzi. - Słyszeliśmy o nich nie tylko od kupców. Starsi w klanie również o nich opowiadali. To oni właśnie polowali na nas na południu. Kiedyś nasz klan był liczniejszy. Wielu młodych mężczyzn i kobiet porwały Morskie Rekińy. To część naszej historii, kowalu, choć nie mamy zapamiętywaczy, którzy mogliby nam o tym przypomnieć.

-Słyszałem o tych barbarzyńcach tylko od kupców - wyznał. - Wiem, że trzymają się raczej wybrzeża i nie zapuszczają w głąb lądu. Chyba że Białoskorzy należą do ich klanu...

-Białoskorzy?

-Gdy byłem jeszcze bardzo młody, najechali nasz klan. Bardzo dziwni ludzie. Od razu atakowali, jakby od naszej śmierci zależało ich przeżycie. Zupełnie nie można było z nimi porozumieć, ustalić granic na pastwiskach, jak robiliśmy z innymi klanami. Zabijali wszystkich... dzieci, kobiety, mężczyzn, nawet kojoty... jakby nosili w sobie strach przed wszystkim, co żywe. Przybyli z północy na wozach ciągniętych nie przez kojoty, ale przez duże, podobne do jeleni zwierzęta o długim i ciężkim porożu. Zachowywali się tak, jakby chcieli zagarnąć cały świat, zmieścić z powierzchni ziemi inne klany. Gdy moi ludzie zorientowali się co do ich zamiarów, połączyli siły z innymi klanami i spotkali się z Białoskorzymi w miejscu, które stało się grobem najeźdźców. Gdy obcy zobaczyli swoją klęskę, ich kobiety poderzwały gardła dzieciom, a potem w podobny sposób popełniły samobójstwo. Pozabijali nawet swoje zwierzęta. To była rzeź, której nikt na równinach nigdy nie zapomni.

-W ich wozach znaleźliśmy dziwne przedmioty - ciagnał kowal. - Starsi uznali jednak, że wszystko, co należało do Białoskorych, jest przeklecie, tak jak i oni sami byli przekleci. Wszystkie znaleziska ułożyliśmy w stosy, na które rzuciliśmy też ciała najeźdźców i ich zwierząt. Pozostał po nich tylko popiół. Następnie przywódcy zwycięskich klanów zebrali się na naradę, na której ustalono, że to miejsce jest odtąd przeklecie. Wszyscy Zapamiętywacze mieli o tym nauczać. Zakazano w ogóle powracać na to miejsce. Naszych zabitych pochowaliśmy jak bohaterów w grobowcach wzdłuż drogi prowadzącej na pole bitwy. Ich dusze miały nas strzec przed kolejnym kataklizmem. Choć niektórzy dalej wierzą - dodał - że ludzie nie mają duszy, tylko ciało, które pozostaje po człowieku jak zużyte ubranie. Jednak wierzących było tak wielu, że nasi bohaterowie spoczęli w specjalnych grobach. Odtąd zawsze, gdy Klan znajdzie się ze swoimi stadami na polnocy, Zapamiętywacze zabierają młodych, świeżo zaprzysiężonych wojowników i dziewczyny, które niedługo wybiorą sobie partnera, i jada z nimi do miejsca, w którym zaczynają się pierwsze nagrobki. Tam młodzi poznają ich historie.

-Dlaczego nazwaliscie ich Białoskorymi?

-To przez ich włosy, które nawet u młodych były białe. I przez skórę. Choć całe plemię przez długi czas musiało podróżować w słońcu, była blada i jasna, jakby wyblakła. Najdziwniejsze jednak mieli oczy: jednokolorowe, bez źrenic, przypominały kulki z oszlifowanego srebra. Z postury nie różnili się specjalnie od nas. Na pewno nie mieli nic wspólnego z lesnymi ludźmi lub z potworem, który zaatakował nas w opuszczonym budynku. Jednak podobieństwo fizyczne to chyba jedyna cecha, która łączyła nas z tymi przerażającymi, bladymi istotami.

-Rekiny Morskie - powiedziała stanowczo Fanyi - też wyglądem przypominają zwykłych ludzi, ale w ich sercach mieszkają demony zrodzone w największych ciemnościach nocy.

Umocowała w ziemi patyki, na które wcześniej nadziała kawałki zajęczego mięsa. Mrok był coraz gęstszy, a noc coraz bliżej. Rhin zniknął gdzieś w ciemnościach i choć Sander wiedział, jak wiele niebezpieczeństw się tam czaiło, pozwolił mu odejść. Kojot też musiał coś jesc. Nagle w ciemnościach dostrzegł jakiś ruch. Instynktownie chwycił miotacz. Fanyi złapała go za ramię.

-Zostaw. To Kai i Kayi - powiedziała. - Wiem, że nie możemy ufać niczemu, ale nie każdy cień stanowi dla nas zagrożenie.

Cichym okrzykiem powitała zwierzęta.

Fanyi objęła kuny i długo patrzyła im w oczy. W końcu odezwała się: - Nie znalazły żadnych śladów innych istot, więc chociaż pod tym względem mamy szczęście.

Może i tak, pomyślał Sander, z drugiej jednak strony w tym poszarpanym i nierównym terenie cały klan mógłby się przemyknąć niepostrzeżenie. Cały czas musieli zachowywać

ostroznosc.

Znow na zmianie trzymali nocna wartę. Nad ranem kowal siedzial przy ognisku. Dorzucal drew, obserwowal Rhina i wsluchiwal sie w szum rzeki i odglosy dobiegajace z rzednacych ciemnosci.

Atak zaskoczyl go zupełnie, po prostu miedzy wdechem a wydechem. Nie nadszedl z cienia, pojawil sie jakby w jego glowie. Sander nie zdazyl nawet krzyknac. Nie byl w stanie sie bronic. Czul, ze znajduje sie w innym miejscu. Jego wzrok zasnula mgla; nie widzial dobrze istoty, ktora kontrolowala jego wole z taka sama latwoscia, z jaka dorosly mezczyzna moze kierowac wola dziecka.

Nie potrafilby opisac tego uczucia. Ktos zawladnal jego myslami, przerzucal je bezlitosnie, wysysal z niego informacje, ktore kowal wolalby ukryc. Wszystko mieszalo mu sie w glowie - zniszczone budowle, wedrowka miedzy nimi. A gdy chcial im sie przyjrzec, znikaly. Nagle znow zobaczyl ogien w ciemnosci i Rhina, ktory wpatrywal sie w niego blyszczacyimi oczami. Dalej, z tylu, dwie kuny, teraz zwrócone w jego strone, obserwowaly go uwaznie. Tylko Fanyi wciaz spala spokojnie na swoim miejscu.

Rhin warknal cicho. Zawtorowalo mu syczenie kun. Kowal potarl reka czolo. Czul sie slaby, zmeczony i przerazony. Nigdy nie slyszal o czymś podobnym, nawet w opowiesciach Zapamietywaczy. Nie wiedzial, co myslec o nieuchwytniej Mocy, ktorej obecność wyczuwala dziewczyna - a moze wlasnie to nazwala "szukajacym umyslem"? Kto go szukal i w jakim celu? Sander czul sie tak, jakby ktos tym atakiem pogwalcil jego prywatnosc.

Kai syczal teraz glosniej, szczerzac w jego strone kly. Kowal poczul sie odepchniety ta jawna wrogoscia. A Rhin... Spojrzal na kojota. Zwierze ani na chwile nie przestalo warczac. Gdy jednak ich oczy sie spotkaly, kojot umilkł. Sander, ktory nigdy wczesniej nie probowal komunikowac sie z Rhinem tak, jak Fanyi porozumiewala sie ze swoimi kunami, odniosl wrazenie, ze kojot, zaniepokojony dziwnym atakiem, uspokoil sie natychmiast, gdy zobaczyl, ze jego pan znow jest soba.

W pierwszej chwili chcial obudzic dziewczynie i opowiedziec jej o wszystkim; byl pewien, ze to mialo zwiazek z jej szamanskimi sztuczkami. Jednak gdy minal pierwszy strach i zdziwienie, poczul narastajacy gniew. Nikt sie nie dowie, w jaki sposob go wykorzystano. Wyczul w obecności obcej istoty lekcewazenie, jakby jego umysl nie stanowil dla niej zadnej przeszkody. Nie, nie powie dziewczynie ani slowa o tym, co sie stalo.

Zaczal grzebac w swojej torbie, powtarzajac w myslach jedno z sekretnych zaklec. Przypomniat sobie, co powiedzial mu kiedys ojciec. Wedlug niego na swiecie mozna bylo znalezc dziwne miejsca z Dawnych Czasow, gdzie czlowieka opanowywala obca Moc i zmuszala do robienia roznych rzeczy. Jednak istnialy sposoby, by sie przed nia obronic. Byla to jedna z tajemnic znanych tylko kowalom.

Sander natrafił wreszcie na metalowe przewody, które zabrał ze statku. Odmierzył je i uplotł z nich coś w rodzaju przepaski, która zaraz włożył sobie na głowę, nisko, tuż nad oczami. Związał konce drutów i mocniej nasadził opaskę.

Chłód żelaza... słowa te miały swoje znaczenie już w Dawnych Czasach. Jeśli ten metal wykorzystano w odpowiedni sposób, mógł służyć jako ochrona. I choć Sander często wykonywał na zamówienie członków Klanu podobne amulety, nigdy nie sprawdził ich działania. W głębi ducha uważał to za przesadę. Jego zdaniem, amulety nie miały żadnej mocy. Poprawiały tylko samopoczucie tych, którzy je nosili.

A teraz... teraz sam miał przyznać, że gdzieś w pobliżu znajdowali się wrogowie... lub wrog, którego należało obawiać się znacznie bardziej niż człekokształtnego potwora, zawistnych Kupców i Białoskorych.

Gdy skończył przygotowywać diadem, zebrał mniejsze kawałki drutu i splecił z nich drugi amulet, dla Rhina. Nie miał pojęcia, czy umysł kojota również można było kontrolować tak jak jego, ale jeśli istniało jakiegokolwiek zabezpieczenie, należało go użyć.

Pozostała jeszcze dziewczyna i kuny. Wiedział, że zwierzęta nie dopuszczają go do siebie. Tolerowały obecność jego i kojota tylko dlatego, że wymagała tego Fanyi. A co do niej... gdy po raz pierwszy odebrała wiadomość od "poszukującego umysłu", wyglądała na podekscytowaną i wyraźnie chciała spotkać tego, kto tę wiadomość wysłał. Wynikało to zapewne z faktu, że dziewczyna sama była Szamanką. Jeśli szamani widzieli w takiej formie kontaktu rzecz naturalna... Gdyby nie wspólny cel, opuściłby ją natychmiast i zniknął w ciemnościach.

Popychał go do tego gniew i strach, ale nie miał zamiaru poddawać się uczuciom. Bada podrozwac razem do momentu, gdy Fanyi da mu do zrozumienia, że czuje się bardziej związana z tym, kto wysłał jej myślową wiadomość niż z nim i jemu podobnymi.

Metalowa opaska mocno uciskała głowę. W myślach wypowiadał przez cały czas tajemne zaklęcia, których wymagało wykonanie każdej nowej broni czy narzędzia. Po chwili wstał i dołożył do ognia. Kuny trochę się uspokoiły i znowu przysiadły koło Fanyi. Siła, która go zaatakowała, musiała się już wycofać.

Związał z powrotem torbę i upchnął ją koło reszty bagażu. Po scianie klifu, który otaczał rzekę, powoli i leniwie pełzną promień wschodzącego słońca. Kowal miał nadzieję, że dotrą dziś do skraju miasta albo przynajmniej uda im się osiągnąć cel, do którego zmierzała dziewczyna. Zaczynał mieć powoli dość tego labiryntu korytarzy i ruin. Jeśli duchy naprawdę istniały, to w tym przeklętym mieście na pewno aż się od nich roi. A skoro nikt ich właścicielom nie wyprawiał godziwego pogrzebu, nie było sposobu, by je powstrzymać.

Odgonił od siebie niedobre myśli. Nie wierzył w duchy blakające się po ziemi. Nie jest dzieckiem, które boi się ciemności tylko dlatego, że wyobraźnia zaludnia ją mnóstwem

potworow i maszkar. Nie... do tego nie dopusci!

Fanyi poruszyła się i powoli otworzyła oczy. Jej twarz znow miała nieobecny wyraz, jak wtedy, gdy przyglądała się medalionowi i rozmyślała o czymś odległym. Nie lubił, gdy była w takim stanie.

-To... on tam jest... - Jej głos dochodził jakby z bardzo daleka. Mrugała raz po raz, jak gdyby zrzuciła z powiek ostatnie obrazy wyjątkowo realistycznego snu. A kiedy w końcu usiadła, miała twarz rozpromieniona jak nigdy przedtem. Poruszenie, jakie wywołało w niej pierwsze odkrycie "poszukującej myśli", nie dorównywało podnieceniu, które widział teraz w jej oczach.

-Sander... to tam jest! Słyszysz, co do ciebie mówię? - Złapała go za ramię i potrząsnęła gwałtownie. - Miałam widzenie! - Cała jej twarz promieniała. - Dojdziemy już wkrótce... do tajemnego miejsca. A tam będzie czekać ktoś, ktoś ważny.

-To znaczy? - spytał bez entuzjazmu.

Na jej twarzy pojawił się nagły cień. Zmieszła się.

-Nie... nie pamiętam. Ale... to była prawdziwa wizja. Znajdziemy to, czego szukamy!

Jej entuzjazm przeraził go. Okazuje się teraz, że przez cały ten czas, gdy kierowali się medalionem, miała wątpliwości. Czy nie była pewna, gdzie ja... gdzie ich zaprowadzi? Choć tak właśnie pomyślał, nie powiedział ani słowa. Teraz jednak wyraźnie było widać, że już nie wątpił w powodzenie ich wyprawy.

-Co masz na głowie? - spytała, uważnie przyglądając się amuleтови. - To z metalu. Po co to zrobiles?

-To jeden z moich sekretow.

Przyjela to bez dalszych pytan. Nie odezwala sie tez, gdy zawiesil podobna opaske na szyi Rhina. Caly czas jednak przygladala sie temu, co robi.

Kuny jak zwykle ruszyly przodem. Po skromnym posilku Sander zarzucil bagaze na grzbiet kojota. Umocowal je tak, by mozna bylo pakunek odpiac jednym szarpnieciem sznura. Gdyby znow natkneli sie na jakies niebezpieczenstwo, mogl w kazdej chwili uwolnic Rhina od ciezaru i zwiekszyc ich szanse w ewentualnej walce.

Fanyi szla przodem, caly czas patrzac na medalion. Ruiny byly teraz coraz rzadsze. Pojawily sie pierwsze krzewy, a potem drzewa, ktore gestnialy, im dalej szli. Caly czas poruszali sie wzdluz rzeki; teren stopniowo sie obnizal. Urwiska nad brzegiem nie byly juz tak wysokie i strome.

Wkrotce po opuszczeniu obozu dotarli na otwarta przestrzen. Ziemia byla tu przeorana koleinami przejezdzajacych wozow. Rhin je obwachal, ale nie warknal przy tym ostrzegawczo ani razu. Sander, doswiadczony w rozpoznawaniu sladow, zorientowal sie natychmiast, ze te sa dosyc stare. Bylo ich jednak tyle, ze dawniej musial tedy przebiegac bardzo uczeszczany szlak. Glebokosc kolein wskazywala, ze przejezdzaly tutaj ciezko zaladowane wozy.

Na ziemi nie znalazl zadnych sladow kojotow, wypatrzył za to

inne. Pochodziły od łap ogromnych psów, których Kupcy używali jako zwierząt pociagowych. Po raz pierwszy od wyjścia z obozu przerwał milczenie, choć Fanyi - prawdopodobnie rozpamiętując jeszcze sen, który nazwała widzeniem - zdawała się tak zatopiona we własnych myślach, że mogła w ogóle nie usłyszeć, - Jeśli twój medalion wskazuje tę drogę - zauważył - możemy nie być jedynymi istotami, które odkryły to tajemne miejsce. Zdaje się, że przeszli tu Kupcy, a w każdym razie ktoś, kto przeczesal miasto. Spora grupa.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

-Nie wierzę, by Kupcy wiedzieli o miejscu, którego szukamy. Nie znaleźliby tam starego metalu, a tylko dawne idee, efekt wysiłku umysłów Praludzi. Nie sądzę, by którykolwiek kupiec interesował się takimi sprawami.

-Znasz wszystkie klany Kupców? - spytał. - Do nas przyjeżdżały cztery różne grupy, w sumie około trzydziestu ludzi. Nigdy nie było z nimi kobiet. Ilu przybywało do Padford?

-Okolo dwudziestu - odparła. - No i mój ojciec... ale on nie był Kupcem. Może gdzieś żyją jeszcze tacy jak on poszukiwacze wiedzy.

-A jednak podróżował z nimi, choć wiadomo, że nie pozwalają jeździć ze sobą nikomu spoza klanu.

-Matka mówiła, że traktowali go dość dziwnie, jakby z obawą, a przecież nie był awanturnikiem i nie chodził z bronią w reku. Twierdziła również, że ich przywódca ucieszył się, gdy ojciec postanowił zostać u nas na zimę. Chciał jednak zabrać się z

nimi, gdy beda wracac. Zalezalo mu, by dostac sie jeszcze dalej na poludnie i poznac tamte krainy. Nie sprzeciwili sie ani razu.

Sandera zaczely powoli meczyc te opowiesci o tajemniczym ojcu, ktory zmarl przed narodzieniem Fanyi. Wygladalo na to, ze swego czasu zrobil na matce dziewczyny ogromne wrazenie. Przyjela go w swoim domu i traktowala z szacunkiem i podziwem, co nie bylo jednak czymś niezwyklym wrod kobiet.

Kobiety klanu rowniez same wybieraly sobie partnerow. Pozbywaly sie ich jednak, jesli nie byli dosc zaradni. Jego ojciec byl wybierany w ten sposob dwukrotnie, ale za drugim razem odrzucil propozycje. Mial juz syna i postanowil poswiecic sie jego wychowaniu. Nie chcial marnowac sil i energii na cos innego, tym bardziej ze nie byl juz wtedy najmlodszy. Sander wychowywal sie w towarzystwie mezczyzn: ojca i stryja, ktory mial tak ostry jezyk i jednocześnie tak tepy umysl, ze nigdy nie spojrzala na niego zadna kobieta.

Kazde domostwo z checia przyjeloby pod swoj dach kowala. Oferowano mu porzadne ubranie, pieczone ciastka, utkane z welny koce i pledy, w zamian zadajac uslug. W ich domu nigdy nie brakowalo jedzenia i zawsze mozna bylo sie ogrzac, mimo ze nie mieszkala z nimi zadna kobieta. Nie wozili zatem ze soba ani wrzecion, ani garnkow.

Mezczyzna posiadal tylko bron i narzedzia. Reszta byla z reguly wlasnoscia kobiety. Ona tez dbala o posag corki i doradzala jej najmadrzejszy wybor, czesciej wskazujac starszych mezczyzn, a nie mlkosow, po ktorych nie bylo wiadomo, czego sie spodziewac.

Czy te sprawy podobnie wygladaly wsrod ludzi Fanyi? Jesli tak - w co wierzył Sander - kobiety z Padford raczej unikalyby takiego mezczyzny jak ojciec Fanyi. Zwiasek z nim nie dawal poczucia bezpieczenstwa i z pewnoscia nie mogl trwac zbyt dlugo. A jednak Szamanka wybrala go, darzyła ogromnym szacunkiem i opiekowala sie nim az do smierci. Musial naprawde byc niezwyklym czlowiekiem.

-Rzadko sie zdarza - ciagnela Fanyi - by Szamanka brala slub. Nie powinna oslabiac swoich mocy uczuciem do jakiegokolwiek mezczyzny. Z drugiej jednak strony musi miec potomstwo, corke, ktorej moglaby przekazac cala swoja wiedze. Dlatego, gdy matka wybrala tego wedrowca, nikt w wiosce sie nie sprzeciwil. Tylko ze on okazal sie kims wiecej, niz z poczatku myslala. A gdy zmarl, jej zaloba nie byla tylko konwencjonalnym gestem. Naprawde cierpiala.

Sander czul sie troche niezrecznie, jakby bez wyraznego zaproszenia ze strony gospodarza znalazl sie w sekretnym pomieszczeniu.

-Mowisz, ze Szamanka musi urodzic corke. A co, jesli urodzi sie syn?

Fanyi usmiechnela sie.

-Takie rzeczy sie nie zdarzaja. Mamy swoje tajne sposoby i w niktorych przypadkach potrafimy oszukac nawet nature. Pierwsza Szamanka mojego klanu, ta, ktora przezyla Mroczne Czasy, znala ten sekret. Nawet wtedy byl nowoscia. Potem przekazywano go z pokolenia na pokolenie. Szamanki nie rodza synow, tylko corki... i kazda ma tylko jedno dziecko. Tak chcemy.

Mozna to zmienić według naszej woli, jednak żadna się na to nie decyduje. W domu Szamanki nie ma miejsca dla chłopca.

Wędrowali dalej. Przed nimi otwierał się szeroki krajobraz. Zobaczyli poszarpane szczyty i ostre jak brzytwa, sterczące skały. Sander widział coś takiego po raz pierwszy w życiu. Rzeka płynęła teraz szybciej. Jej wody pedziły z głośnym hukami. Doszli do potężnych wodospadów. Opadająca woda wzbijała gęstą, wilgotną mgłę, która zakrywała dolną część kaskady.

Po drugiej stronie rzeki teren był łagodniejszy, a występy skalne mniej ostre. Sander aż przystanął na widok tego, co spotkali na swojej drodze. Jakąsi potworna siła zniekształciła i zmieniła te krainy. Fale lawy chwyciły w szpony skalne bloki i kawały metalu, które teraz kruszały od rdzy. Cały krajobraz był jedną wielką mieszaniną budowli wzniesionych przez człowieka, które teraz uwieczniła i opanowała natura. Wszystko to, na pierwszy rzut oka, stanowiło zapórę nie do przejścia.

A jednak ślady kół ciągnęły się w stronę krainy, której na pozór nie sposób było przebyć wozami. Fani ruszyła w kierunku masywnej przeszkody.

-Fala... ogromna fala z morza zalała ten kraj - wyszeptala. - Musiała być wysoka jak góra. Zabrała ze sobą większą część miasta. Wdarła się tutaj, pozostawiając cięższe i większe przedmioty, które niosła.

Podobno taka właśnie fala wyrzuciła w głąb lądu statek moich przodków. Ciekawe, jak udało im się przetrwać... może nie była aż tak potężna.

-Nie ma to teraz znaczenia - stwierdził. - Jeśli twój medalion wciąż wskazuje ten sam kierunek, musimy poszukać jakiegoś przejścia.

Spojrzała na medalion i kiwnęła głową.

-Powinnismy cały czas iść przed siebie. A ślady - dodała - dowodzą, że ktoś musiał tutaj znaleźć drogę na tyle szeroką, że zmieściły się na niej wozy.

Sander wiedział, że podróż takim szlakiem niosła ze sobą groźbę zasadzki. Nie powiedział jednak ani słowa. Przez chwilę nie widział żadnych możliwości przedostania się przez skalną przeszkodę.

-Spojrz na te budowle! - pokazała Fanyi palcem.

Przez moment nie wiedział, o co jej chodzi. Potem dostrzegł częściowo zniszczony budynek: skalne bloki połączone metalowymi pretami, jakich budowniczowie w dawnych czasach używali do wiązania kamiennych brył. Część konstrukcji, mocno nabita na skalną wieżyczkę, wydawała się nienaruszona.

Dopiero teraz zdali sobie naprawdę sprawę z tego, jak potworna siła uderzyła na to miejsce. Sander nigdy nie wątpił w prawdziwość opowieści o rozmiarach kataklizmu, który wstrząsnął Dawnym Światem. Widział zniszczone miasta i słona pustynie, ale dopiero teraz zrozumiał, jak ogromna musiała być siła, która wyrwała budynek z ziemi, uniosła go i porzuciła tutaj, gdy napor wody zelzał. Na własne oczy zobaczył, z jak potężnym przeciwnikiem musieli niegdys zmierzyć się ludzie. Jak powiedziała dziewczyna, trudno było uwierzyć, że ktokolwiek

możli przezyc cos takiego. Nawet stare opowiesci Zapamietywaczy nie mowily nic o losie tych, ktorym udalo sie uciec tylko po to, by za chwile pochlonely ich fale lub pogrzebala ziemia, rozstepujaca sie pod stopami podczas licznych wstrzasow.

Fanyi ukryla twarz w dloniach. Ani ona, ani Sander nie potrafili ubrac w slowa tego, co czuli.

Objal ja i przyciagnal do siebie. Stali tak, dwie kruche i drobne istoty przed pomnikiem zaglady swiata.

Kowal z trudem odwrocil wzrok od olbrzymiego gruzowiska.

-Nie patrz - powiedzial. - Obserwuj slady. Moze masz racje i znajdziemy dzieki nim jakas droge.

Uwaznie przygladal sie koleinom. Wystawaly z nich kamienie, na ktorych musialy sie blokowac kola wozow. Slady oddalaly sie od urwiska i wodospadow, ktorym wolal sie zbytnio nie przypatrywac. Jesli czlowiek dlugo patrzy na spadajaca wode, rodzi sie w nim jakas niebezpieczna obsesja i sam nabiera ochoty, by skoczyc w kipiela. Huk katarakt odbijal sie szerokim echem i dudnil w uszach. Z trudem szli dalej.

Rhin biegł teraz z lbem przy ziemi, jakby tropil zwierzynie. Zdawal sie nie zauwazac okropnego rumowiska. Choc byl na swoj sposob inteligentny, nie mialo ono dla niego zadnego znaczenia. Nabieralo wymowy tylko w oczach czlowieka, ktory z cala jasnoscia widzial, jak ogromna strate poniosla cywilizacja i jak wiele rzeczy natura pogrzebala w przeszlosci.

Szlak zwezał się. Szli po przeciwnej stronie wodospadów, a huk wody był tak donosny, że poza nim nie słyszeli nic. Nawet gdyby starali się teraz nawzajem pocieszać, nie miałoby to sensu. Ślad kolein był w tym miejscu pojedynczy i biegł niebezpiecznie blisko krawędzi. Sander przywarł plecami do wznoszącej się nad nimi ściany i pociągnął za sobą Fanyi. Choć starali się trzymać jak najdalej od urwiska, ich ubrania i włosy zmoczyła gęsta chmura wodnego pyłu unosząca się nad wodogrzmotami. Rhin biegł daleko z przodu. Poruszali się wolno, co jakiś czas przystając na chwilę. Sander zwalczył w sobie chęć porzucenia tego masywu skalnego i szczątków cywilizacji, na które się natknęli. Kreciło mu się w głowie. Wiedział, że jeśli podda się emocjom, zginie.

Dziewczyna tak kurczowo sciskała go za ramię, że kostki jej dłoni posiniały. W drugiej ręce trzymała medalion. Cały czas szeptała szamanskie zaklęcia mocy.

Przeprawa zdawała się nie mieć końca. Dwa razy musieli się czolgać, natrafiając na wystające, poszarpane i pokryte rdzą fragmenty metalu. Koleiny ciągnęły się dalej; Sander był pełen podziwu dla tych, którzy odwagili się przeprowadzać tedy wozy. Może robili to tak często, że nie przerazała ich ani kipiela wodospadów, ani bariera utworzona z gruzów dawnej cywilizacji.

Wreszcie mineli teren wodospadów. Na prawo rozciągały się wody jeziora. Tu i owdzie wynurzały się małe wyspy z wypietrzonych skal lub zastygłej lawy. Po przeciwnej stronie zobaczyli część jakiejś innej rzeki. Zatem jezioro miało dwa ujścia.

Między nimi a jeziorem wznosiła się kolejna zapora, utworzona z wyrzuconych przez morze szczątków. Sander zauważył, że

droge poszerzono w tym miejscu. Na skalach i bryłach metalu wypatrzył rysy i zadrapania po użytych narzędziach. Trakt był tutaj niewiele szerszy od nieduzego wozu. Kowal pomyślał, że nie bez powodu zadano sobie tyle trudu i że gdzieś dalej musiało znajdować się coś naprawdę cennego. Zostawili za sobą wodospady i ruszyli truchtem. Sander czuł pot spływający po całym ciele. Serce waliło mu jak młotem. Skoncentrował się na drodze przed nimi i nie patrzył na boki. Szlak prowadził w dół.

Mineli już miejsce, w którym droge poszerzyli ludzie. Dalej trakt rozszerzał się i schodził prawie do jeziora.

Po tej stronie rozlewiska nie dostrzegli żadnych śladów roślinności. Na suchej i jałowej ziemi nie rosło kompletnie nic. Za wodą widac było jednak pasmo drzew. Ich liście przybrały już kolory jesieni. Wzdłuż przeciwległego brzegu ciągnął się też pas tataraku.

W dole czekał na nich Rhin i obie kuny. Zwierzeta stały, blokując przejście, jakby czegoś się bały.

Rhin warknął przyzywająco i Sander zaczął biec. Cały czas uważał, by nie potknąć się i nie przewrócić na którejs z kolein. Kojot był wyraźnie podekscytowany i trochę zaniepokojony. Zwrocił łeb w stronę usypiska szczatków, które porzuciła tu powódź.

Gdy kuny ich zobaczyły, ruszyły do przodu i zniknęły wśród skalnych rozpadlin. Rhin warknął po raz ostami i podążył ich śladem.

Wśród powykrzywianych i poskrecanych kamieni, w rumowisku

odłamkow metalu zatopionych w zastygłej lawie, a nawet w labiryncie skalnych występów z pewnością można było znaleźć wiele dogodnych kryjówek. Podnoże wodospadów znajdowało się teraz za ich plecami, głośnym hukiem oznajmiając swoją obecność. I choć Sander wyteżzał słuch, poza łomotem spadającej wody nie sposób było wychwycić jakiegokolwiek innego dźwięku. Wspinał się na niewielkie rumowisko kamieni i metalowych odłamków. Ostrożnie badał drogę przed sobą. Gdy był już na górze, odwrócił się i wyciągnął rękę, by pomóc Fanyi wspiąć się i stanąć koło siebie.

Razem doszli do miejsca, w którym ostro zakończona wieżyczka skalna oddzieliła się od dużego, skalnego masywu. Między skalą a występem nagromadziły się odpadki i kamienie. Całość nie wyglądała zbyt stabilnie. Wędrowka po takim podłożu niesła spore ryzyko, a jednak to tu właśnie przystanęły teraz zwierzęta. Kuny leżały płasko i mocno wbijały pazury w ziemię. Rhin przycupnął nieopodal z brzuchem przycisniętym do skały i zastygł w bezruchu. Jego szarobrunatna sierść doskonale zlewała się ze skalnym tłem. Sander wiedział, że to jedna z łowieckich sztuczek kojota, który potrafił przez wiele godzin czyhać w ten sposób na swoją ofiarę, dzikiego królika lub jelenia wędrującego do wodopoju.

Obok Rhina było jeszcze trochę miejsca dla niego i Fanyi. Sander wyciągnął miotacz i przygotował do strzału. Rhin z postawionymi uszami patrzył na szlak, który przebyli. Kowal wyczuł, że kot drży w napięciu. Nie wydał jednak najmniejszego dźwięku.

Kowal przysunął się do dziewczyny i nachylił do jej ucha. Zmierzwił włosy laskotały go po twarzy.

-Czy twoje kuny wiedza, jakie niebezpieczeństwo sie zbliża? - Nie po raz pierwszy zalował, że nie potrafi lepiej porozumiewac się z Rhinem. Wierzył, że dziewczyna czyta w myślach swoich zwierząt albo przynajmniej potrafi poznać przyczyny ich zachowania.

Odwrocila się i spojrzała przeciągle na Kai. Wyszczerył kły. Nie wrozyło to nic dobrego.

-Cos się zbliża - powiedziała - i to nie tylko z jednej strony. Kai obserwuje teren przed nami, Kai z tyłu. Obawiam się, że groza nam dwa różne niebezpieczeństwa.

Uśmiechnął się ponuro. Tego jeszcze brakowało. Miał najwyżej dziesięć strzałek, myśliwski noz i proce, która mogła zmienić się w niebezpieczną bronię, gdyby strzał był w miarę celny. Ułożył lotki od miotacza pod ręką i rozkulbaczył Rhina. Jeśli trzeba będzie walczyć, lepiej nie obciążać go bagażem.

Przez dłuższą chwilę alarm wydawał się fałszywy. Sander wiedział jednak, że zwierzęta miały lepszy słuch i mogły wyczuć coś znajdującego się w sporej odległości. W chwili później...

Ten dźwięk przywołał wspomnienia z dzieciństwa. Poczul gwałtowny przyływ strachu, tak realny, że sprawił mu prawie fizyczny ból. Podobny hałas zatrał kiedyś do tego stopnia życie mieszkańców Klanu, że wkładali sobie do uszu keпки trawy, by się od niego uwolnić.

Powietrze wypełnił ryk wojennych rogów, których używali Białoskorzy. Kto choć raz usłyszał ten dźwięk, pamiętał go przez całe życie. Ryk trab z łatwością przebił się przez huk wodospadu.

Odpowiedziala mu seria dziwnych okrzykow, ktore przerazily ich jeszcze bardziej, nie mogla ich bowiem wydac zadna ludzka istota.

Od strony jeziora w podskokach zblizal sie oddzial plazowatych stworow, podobnych do tych, na ktore natkneli sie nad rzeka. Ich ciala oslanialy takie same pancerze z muszli. Kazdy stwor trzymal dluga lance. Helmy calkowicie zaslanialy im glowy i Sander nie mogl dostrzec ani jednej twarzy.

Gdy podeszli nieco blizej, rozproszyli sie i pochowali w szczelinach i lejach. Tak jak Rhin, mieli naturalna zdolnosc kamuflazu. Ukryci w rozpadlinach, stali sie niewidoczni. Sander byl przekonany, ze przygotowuja zasadzke.

Nad wszystkim znow wzbil sie potezny dzwiek rogow. Rownoczesnie ukazala sie jedna z tych poteznych, rogatych bestii, ktorych uzywali Bialoskorzy pokonani przez Klan Sandera. Tym razem jednak zwierz nie ciagnelo wozu; nioslo na grzbiecie jezdzca, ktory trzymal sie prowizorycznego siodla. Bialoskory jechal bardzo powoli i ostroznie. Bestia zrobila pare krokow na otwartej przestrzeni, po czym cofnela sie i zarzala donosnie.

Jezdziec trzymal w dloni metalowy miecz, dwukrotnie dluzszy od tego, ktory mial Sander. Ukryte pod kapturem oczy uwaznie rozgladaly sie dookola. Gdzies z tylu znow ryknely wojenne rogi i dopiero na ten sygnal Bialoskory odwazyl sie popedzic dalej swego wierzchowca. Fanyi polozyla rece na lapach kun, by je troche uspokoic. Sander czul dreszcze, ktore wstrzasaly masywnym cialem Rhina.

Ich oczom ukazal sie nastepny olbrzymi jelen - jesli w ogole

można było tak nazwać te stworzenia. Obaj jeźdźcy poruszali się nadzwyczaj ostrożnie; najwyraźniej spodziewali się kłopotów. Zaden z plazowatych stworów się nie poruszył. Sander widział zaledwie dwa lub trzy z nich, i to tylko dlatego, że zapamiętał, gdzie się ukryły.

Albinosi uważnie przyglądali się drodze i skalom. Ostatni znalazł się już na biegnącym w dół szlaku. Oddział nie był zbyt liczny, zaledwie sześciu jeźdźców. Rozległ się znowu dźwięk rogu. Sanderowi przeszły ciarki po plecach. Możliwe, że była to tylko straż przednia, która badała teren przed najazdem.

Jeźdźcy mieli na sobie płaszcze z długich kudłatych futer, zniszczone i brudne. Zachlapanie błotem ubranie przyklejało im się do ciała. Nie rozmawiali między sobą, ale przekazywali sobie rękami jakies znaki.

Wyraźnie było widac, że nie podoba im się to, co znajduje się przed nimi. Musieli być jednak zdeterminowani, zupełnie jakby coś cały czas pchało ich do przodu. Przywódca grupy, z mieczem w ręku, spiał wierzchowca. Włocznie plazopodobnych były dwa lub nawet trzy razy dłuższe od mieczy Albinosów. Gdyby doszło do potyczki, wodne stwory bez trudu sciagnęłyby na ziemię i pozabijały jeźdźców, zanim ci mogliby ich dosięgnąć.

Obserwując wodne stwory, Sander zauważył, że jedna z włoczni poruszyła się. Plazowaci najwyraźniej szykowali się do natarcia. W nagłym impulsie kowal chciał krzyknąć i ostrzec jeźdźców, ale cały czas pamiętał wydarzenia sprzed dziesięciu lat. Wiedział, że zachowaniem przypominali dzikie bestie i demony, że zabijali bez litości, a w końcu pozarzynał się nawzajem, by nie mieć żadnego kontaktu z ludźmi Klanu. Przekonanie o ich

bezwzględny okrucieństwem tak mocno zakorzeniło się w tradycji jego Klanu, że nie miał zamiaru kiwnąć palcem w ich obronie. Z drugiej jednak strony przypominali ludzi bardziej niż oszłe wodne istoty, które teraz na nich czyhały.

Fanyi położyła mu rękę na ramieniu i przycisnęła go do ziemi. Nie mógłby teraz swobodnie posłać strzałki w stronę plazowatych, co zresztą zdradziłoby zarówno im, jak i Białoskorym ich obecność.

Dziewczyna bez słowa dała mu do zrozumienia, żeby tego nie robił. Przeraziła go i zdenerwowała jednocześnie. Nie podobało mu się, że mogła czytać w jego myślach.

Przywódca Białoskorych ostrożnie posuwał się do przodu. Nagle jakby znikąd wystrzeliła włocznia. Tylko błyskawiczny unik, jaki wykonał wierzchowiec, uratował jeźdźcę przed śmiercią. Plazowaci wyskoczyli z ukrycia i zasłaniając się ostrzami włocznii, zastawili jeźdźcom drogę. Jeśli Białoskorzy mieli tylko tę broń, która wypatrzył u nich Sander, atak z ich strony nie miałby szans powodzenia.

Mężczyzna trzymający róg jechał trochę z tyłu, jednak to właśnie on wykonał teraz pierwszy ruch. Chwycił instrument, przyłożył go do ust, nabrał powietrza i mocno zadał.

Dźwięk wywołał piorunujący efekt. Sander zakrył uszy rękami. Czuł, jak muskularne ciało Rhina podrygiwało w nagłym dreszczu. Fanyi puściła ramię kowala i położyła dłonie na głowach kun, które wily się i skrecały nerwowo.

Dźwięk rogu wywarł jednak o wiele większe wrażenie na grupie

plazowatych istot. Dwie z nich wypuściły włócznie i runęły na ziemię. Zwijaly się w konwulsjach, cierpiąc okropne katusze. Ich towarzysze wycofali się na bezpieczniejszą odległość. Odwrót zmienił się w ucieczkę. Białoskorzy rzucili się w pościg. Przywódca jeźdźców zatrzymał się przy leżących na ziemi stworach; dwa krótkie ciecicia i oba ciała zamarły w bezruchu. W chwili później obydwaj oddziały zniknęły w tumanach kurzu, jaki swoją szarżę wzbili jeźdźcy.

Sander nie zamierzał na razie wyprowadzać swojej grupki z kryjówki. Podejrzewał, że mały oddział Białoskorzych był jedynie przednią strażą, za którą podążało całe plemię z wozami i ekwipunkiem.

Jednak Rhin uspokoił się wyraźnie, a kuny wyrwały się z objęć dziewczyny i cichymi pomrukami przynaglały ich do dalszego marszu. W końcu kowal zdecydował, że za zwiadowczym oddziałem nie podąża reszta grupy albo pozostali członkowie plemienia znajdowali się spory kawałek drogi stąd. Jeśli tak było rzeczywiście, powinni jak najszybciej opuścić niepewną kryjówkę.

Sander przystanął nad ciałem martwego wodnego stworu i zabrał mu włócznię. Nie miał ochoty przyglądać się zwłokom ani zaglądać pod pancerz, choć wcześniej ciekawiło go, jaka twarz miały te istoty.

Dzida była zbyt długa jak dla niego, ale wiedział, że można ją skrócić i dopasować do wzrostu. Liczne wypustki na ostrzu zrobione były tak zmyslnie, że, choć niechętnie, musiał w duchu pochwalić wykonawcę. Nie były z metalu, raczej ze zrecznie wyciętej i oszlifowanej kości. Musiały zostawiać straszliwe obrażenia. Nachylone pod kątem, przy wyjmowaniu włóczni z

ciała, lamaly się i zostawały w krwawiacej ranie.

Uwolnione spod wpływu Fanyi, kuny skoczyły do przodu. Pobiegly śladem znikających jeźdźców i sciganych przez nich wodnych istot. Sander nie bardzo wiedział, co robić w takiej sytuacji. Bał się iść dalej w obranym wcześniej kierunku. Jeśli się okaże, że za nimi jedzie drugi oddział Albinosów, znajda się w potrzasku. Niestety, odwrot oznaczał w tym momencie dokładnie to samo.

Jeśli szczęście będzie im sprzyjać i wśród skał i rumowisk znajda jakieś schronienie, może uda im się umknąć. Polegać jednak tylko na szczęściu było raczej ryzykowną strategią.

Nad nimi wciąż piętrzyły się masy gruzu naniesione przez sztormy i powodz. Nie słyszeli już dźwięku wojennego rogu, gdy jednak dotarli do skalnego załomu, za którym otwierał się widok na jezioro, zdążyli akurat na ostatnia odsłone potyczki.

Albinosi pedzili na swoich rumakach tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Widocznie bali się zanurzyć w wodzie, gdzie przeważnie mieli naturalni mieszkańcy. Drobne spiczaste fale i czubki przybranych w helmy głów zdradzały teraz miejsce, w którym ukryły się wodne stworzenia.

Teren przy jeziorze był płaski i rozszerzał się wyraźnie. Sander podjął szybką decyzję. Zeszli z drogi i ruszyli w stronę pnących się na lewo wzgórz. Gdyby zostali dostrzeżeni przez jeźdźców, mogła ich uratować wyłącznie szybka wspinaczka.

Poruszali się nachyleni, czasem wręcz pełzali. Także Rhin brnął przed siebie z podkurczonymi łapami i brzuchem przy samej

ziemi. Ostre kamienie darły im ubranie i rozciąły skóre na dłoniach, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Musieli dostać się na wzniesienie niezauważeni przez nikogo.

Na północy jeźdźcy zdawali się powoli rezygnować z ataku. Zbili się w gromadę i omawiali coś gorączkowo swoim bezgłosnym językiem gestów.

W końcu grupa się rozdzieliła. Odlaczyło się od niej dwóch jeźdźców; popędzili swoje rogate bestie z powrotem na szlak, którym tu dotarli. Sander, Fanyi i Rhin przypadli do ziemi i leżeli bez ruchu za najbliższym zalodem, gdy zwiadowcy mijali ich, pedząc pod górę. Po chwili kowal ostrożnie unosił głowę. Potwierdzały się jego najgorsze obawy. Z pewnością obaj jeźdźcy wracali do reszty oddziału, by złożyć raport lub prosić o posiłki. Tylko szybkie ominiecie tych, którzy pozostali nad brzegiem jeziora, mogło teraz ocalić kowala i jego drużynie.

Najrozsadniej było trzymać się wzgórz. Rumaki wroga były masywniejsze od Rhina i wśród skalnych występów nie mogły poruszać się tak szybko jak on.

Wedrowka po szczytach wzgórz przebiegała mniej sprawnie niż na otwartym terenie, ale poszarpane wzniesienia zapewniały przynajmniej mnóstwo dogodnych kryjówek.

Na szczęście pozostali na brzegu wojownicy nie przejawiali specjalnej chęci do badania otaczającego ich terenu. Może bali się ataku nie tylko ze strony wodnych istot. Okolica była wymarzonym miejscem na urządzenie zasadzki. Uzbrojony w miotacze oddział ludzi Klanu z łatwością uporałby się tutaj z całym plemieniem Albinosów. Sander nie zauważył, żeby

przeciwnicy używali takiej broni. Gdyby mieli miotacze, z pewnością ostrzelaliby oddział plazowatych stworów.

Udało im się powoli ominąć czterech jeźdźców i zostawić ich za sobą. Mogli już wstąpić. Schowani za usypaną przez siły natury barykadę z kamieni, skalnych odłamków i fragmentów żardzewiałego metalu, szli teraz wyprostowani i poruszali się o wiele szybciej.

Sander dwukrotnie wspinał się na szczyt chroniącego ich wzniesienia. Ukryty wśród kamieni i kawałków metalu, które musiały spaść tutaj z wyższych partii ciągnącego się nad nimi urwiska, obserwował drogę.

Dostrzegł ślad kolein wzdłuż brzegu jeziora. Tym traktem podążała grupa wojowników. Było wyraźnie widoczne, że im się nie spieszy.

Kiedy przywódca małego oddziału zsiadł ze swojego wierzchołka, inni zrobili to samo. Zwierzęta podreptały ciężko w stronę jeziora. W tym miejscu na brzegu rosły nietknięte przez mroz rośliny. Bestie wyrywały całe pędy i zły lapczywie. Mężczyźni usadowili się dookoła wystającego głazu i sięgnęli po podrepczne torby.

Dopiero teraz Sander zdał sobie sprawę z własnego głodu. Nie było jednak czasu na posiłek. Musieli się stąd jak najszybciej wynieść. Wiedział, że im dalej od tych ludzi się znajdzie, tym pewniej będzie się czuł.

Jego drużyna znów podjęła marsz. Choć chroniły ich teraz ogromne skały i rozpadliny, zachowywali największą ostrożność.

Kowala co jakiś czas nachodziła chęć, by przyjrzec się bryłom metalu, które leżały dookoła. Skoro wszędzie było ich pełno, po co Kupcy szukali surowca wśród ruin zburzonego miasta? A może koleiny prowadziły właśnie gdzieś tutaj, do miejsca, w którym można było łatwo i wygodnie wydobywać metal?

A jednak w pobliżu nie było widać żadnych śladów wykopalisk. Jak stwierdził Sander, byłoby to w tym miejscu raczej ryzykowne przedsięwzięcie. Silny wiatr od strony miasta raz po raz porywał skruszone kawałki metalu i skały i stracał je w dół. Sander cały czas obserwował urwisko w górę i starał się nie przechodzić pod niepewnie wyglądającymi nawisami.

Wkrótce, zbyt wyczerpani, by wędrować dalej, zrobili postój. Dzieląc mięso i wodę, Fanyi westchnęła ze zmęczenia. Rhin szybko polknął swoją porcję i leżał, ciężko dysząc. Sander przyglądał się swoim butom. Były bardzo zniszczone. Wyciągnął parę niewygarbowanych zajęczych skór i owinał je dookoła stop, futrem do wewnątrz. Miał nadzieję, że ochroni to buty przed dalszym zniszczeniem.

Fanyi pomasaowała swoje zgrabne brązowe łydki.

-Nigdy jeszcze nie szłam taką drogą - powiedziała. - Te koleiny nie były najlepsze, ale to tutaj... W górę i w dół, w górę i w dół. Długo to jeszcze potrwa?

Wiedział tyle, co i ona. Dookoła leżały pokruszone kamienie i zalane lawą skały dawnego morza. Niektóre masywy dorównywały wysokości szczytów górskim. Zapewne wykształciły się mniej więcej w tym samym czasie, w którym przetoczyła się wtedy olbrzymia powódź. Krajobraz był naprawdę

koszmarny. Sander czuł wdzięczność dla losu, że poza zadrapaniami i drobnymi siniakami nie ponieśli większego uszczerbku. Bez wątplenia jednak musieli rozbić oboz przed nastaniem nocy. Nawet cenne światło Fanyi nie pomoże im w ciemnościach na takim terenie.

Tafla jeziora, tak ogromnego, że przez cały ten czas nie dotarli nawet do jego zachodniego kranca, kusila go swoim blaskiem, gdy wspinał się na jakies wybrzuszenie, by zbadać drogę przed nimi. Jednak doświadczenia Albinosów nauczyły go czegoś. Wiedział, czym mogło się skończyć zbliżenie do wody. Dla własnego bezpieczeństwa musieli trzymać się poszarpanych szczytów.

Krotko przed zachodem słońca dotarli do miejsca, które nadawało się na oboz. Pomiedzy dwoma stromo wznoszącymi się zboczami natrafili na małą rozpadlinę o w miarę równym i płaskim dnie. Nawet nie szukali drewna, bo i tak baliby się rozpalić ogień. Fanyi przywołała kuny i wcisnęła się między nie. Kto wie, może było jej teraz cieplej niż przy ognisku. Sander miał Rhina.

Zwierzeta leżały bez ruchu i nie zdradzały objawów niepokoju. Jadły szybko i z wyraźną ulgą. Sander rozdzielił porcje suszonego mięsa. Kuny szybko zaspokoily apetyt. Widocznie w czasie niedawnej wędrowki po opustoszałej krainie udało im się coś upolować. Na noc jednak wszystkie zwierzeta zostały w obozie. Gdy mrok zgęstniał, Sander wziął od dziewczyny lampę i zasłaniając ją ręką, szedł nieco poniżej, na skraj urwiska stanowiącego podstawę szczytów, między którymi rozbili oboz.

Kiedy doszedł na upatrzone miejsce, wyłączył lampę i pilnie

wpatrywał się w ciemność na wschód od ich obozu. Jeśli Białoskorzy posuwali się dalej wzdłuż wyznaczonego przez koleiny szlaku, mogli się gdzieś tam zatrzymać i rozpalić ogień. Jednak nigdzie nie było widać blasku.

Gdy miał już wracać i zwrócił się bardziej na zachód, zobaczył światło. Mogło pochodzić tylko od palącego się ognia. Był pewny, że Albinosi nie mineli ich w czasie tego popołudnia, musiał to więc być ktoś inny. Jednocześnie kował zorientował się, że nie było to zwyczajne ognisko, lecz jakiś sygnał. Nawet z tej odległości widział, że płomienie sięgały wysoko, a gdy przyglądał się im dłużej, spostrzegł, że na zmianę to znikają, to znowu się pojawiają.

W podobny sposób dawali sobie znaki ludzie Klanu, jeśli stada znalazły się w niebezpieczeństwie. Te sygnały w niczym jednak nie przypominały kodu, który znał. Odwrócił się więc i ponownie spojrział na wschód.

Tak, teraz był pewien. Tam również plonął ogień, i właśnie w tej chwili nadawano odpowiedź. Albinosi? Mało prawdopodobne. Oddział, który w dzień przegonił wodne istoty, zdawał się poruszać na nowym dla siebie i niezbadanym terenie. Kto inny jednak mógłby przesyłać sobie sygnały na tym pustkowiu?

Kupcy? Tak, to brzmiało bardziej sensownie. Wiedział, że pilnie strzegli swoich sekretów i swoich osad. Na wysoko położonych punktach wystawiali wartowników, którzy z pewnością zauwazyliby zarówno nadejście oddziału Białoskorych, jak i jego nielicznej drużyny. Czy Kupcy równie mocno nienawidzili Albinosów, jak ludzie z jego Klanu?

Teraz bardzo chciał, żeby tak właśnie było. To znacznie poprawiłoby sytuację jego i dziewczyny. Niebezpieczeństwo mogło jednocześnie ludzi, którzy zwykle odnosili się do siebie raczej z niechęcią.

Ogień blysnął po raz ostami i zgasł. Sander odwrócił głowę. Światło na zachodzie również zniknęło. Ostrożnie wrócił do obozu i ułożył się obok kojota. W ciemnościach słyszał równy i spokojny oddech dziewczyny. Spała.

On jednak nie mógł zasnąć. Coś zawisło nad nim, coś, co wypełzało z ciagnących się dookoła ruin starej cywilizacji. Znajdowali się na ogromnym cmentarzysku. Los pogrzebał tu nie tylko ludzi, ale i ich ambicje, marzenia, wszystko, co udało im się stworzyć. Jeśli po świecie naprawdę wędrowały dusze umarłych, to gdzie, jak nie tutaj właśnie można je było najłatwiej spotkać? W jakim innym miejscu można było wyraźniej usłyszeć ich szepty, błagania o życie, wyczuć ich strach przed śmiercią, która przybrała tak okropną postać, że do końca nie zdołali pojąć ogromu zniszczenia, jakie ze sobą niosła?

Opanowały go te same uczucia, ten sam strach i rozpacz, jakich doznał dziś rano, gdy po raz pierwszy spojrzeli na gigantyczne rumowisko. Lodowaty chłód, który go teraz ogarniał, nie był tylko chłodem nocy. Zdawało mu się, że słyszy przerażające krzyki i zawodzenia tych, którzy dawno już odeszli.

Otrząsnął się jednak i zmusił do trzeźwiejszego myślenia. Wargi mu drżały, gdy szeptał tajemne zaklęcia znane tylko kowalom. Człowiek wykonywał różne rodzaje broni i narzędzi... według planu sporządzanego przez jego umysł. Ci, którzy ich potem używali, z czasem umierali i chowano ich w kurhanach. To była

naturalna kolej rzeczy. A umarli, którzy zgineli w Mrocznych Czasach... odeszli tak dawno temu. Sander nie znalazł i nie rozumiał zastosowania przedmiotów, których używali. Możliwe, że był z tymi ludźmi w jakiś sposób spokrewniony, ale nie należeli do jego Klanu, a więc nie mieli nad nim żadnej władzy.

Walczył z własną wyobraźnią i ze wszystkich sił starał się wyrzucić z pamięci obraz zniszczonego budynku, który widzieli dzisiaj rano. Praludzie mieli ogromną wiedzę, ale nie uchroniła ich ona od kataklizmu Mrocznych Czasów. Na co zdały im się zatem te wszystkie zdolności, gdy ziemia i morze zwróciły się przeciwko nim?

Zaczął zastanawiać się nad wyzwaniem, które doprowadziło go aż tutaj. Prowokujące i złośliwe słowa stryja legły pogrzebane gdzieś w przeszłości. Ich wspomnienie już nie wzbudzało w nim gniewu. W obliczu tych gór, wzniesionych z ludzkiego cierpienia, jego życie wydawało się małe i prawie nieistotne. A jednak to było jego życie. I jeśli gdzieś przed nimi leżał klucz do tajemnic, który obiecała mu dziewczyna, to życie nabierało znaczenia. Zaciśnął palce, myślał o rzeczach, które chciałby stworzyć, gdyby tylko wiedział, jak obchodzić się z nieznanymi metalami... To, czy wróci do swoich i udowodni im, że mylili się co do niego, nie miało już większego znaczenia. Tym, co naprawdę się liczyło, była wiedza... umiejętności, o których zawsze marzył, a których nigdy do tej pory nie posiadał.

Oparł głowę o bok Rhina, zrzucając z siebie piętno tych gór, piętno przeszłości. Teraz interesowała go tylko przyszłość.

Nad ranem zeszli do jeziora, by nabrać wody. Gdy Sander napełniał bukłak, dziewczyna i kuny stały na straży. Woda miała

tu dziwny, metaliczny smak, jednak Fanyi oznajmiła, że nie ma się czego bać. Bogata w minerały woda mogła działać regenerująco i Fanyi często sama leczyła nią chorych. Nigdzie nie zauważyli wodnych istot, ale na jednej ze skalistych wysepek daleko od brzegu Sander wypatrzył jaskinie obłożoną kamieniami. Mogła to być kryjówka wodnych stworów.

Opuscili wyznaczony koleinami trakt i wspieli się z powrotem na bardziej wyżynny teren. Otwarta przestrzeń stopniowo się zewzala. Przedziej czy później i tak będą musieli wrócić na niebezpieczny szlak. Kowal nasluchiwał. Sami nie robili wielkiego hałasu; owinięte w zajecze skóry buty nie powodowały żadnych odgłosów, a zwierzęta stapały tak cicho, jak zawsze. Ale każdy kamień, który stracili, odbijał się tutaj dalekim echem.

Droga znowu wiodła pod górę. W koleinach tkwiły kamienie, a po obu stronach szlaku pietrzyły się zwaly gruzu i metalu. Musieli skierować się w stronę wąskiego przejścia. Dookoła wznosiły się strome skały i Sander nie chciał ryzykować wspinaczki. Łatwo było o wypadek.

Przyspieszył kroku. Chciał minąć odsłonięte miejsce najszybciej jak to możliwe. To właśnie gdzieś tu, wśród pietrzacych się skal, widział wczoraj w nocy świetlne sygnały. Nie miał wątpliwości, że zostali już zauważeni. A jednak wciąż nic się nie działo.

Za przewiezeniem znowu zobaczyli wznoszące się wzgorza. Ze szczytu, przez który biegła droga, rozciągał się rozległy widok. Przed nimi nie było już tak wysokich skal, jakie dotąd mijali. Krajobraz nie nosił też tylu śladów niszczycielskiego działania wody.

W miejsce ruin i kamiennej pustyni zobaczyli porosniętą trawą pagorki. Gdzieś tam widac było drzewa o złotych i czerwonych liściach. Dostrzegli też kilka ciemnozielonych sosen. Sander zatrzymał się zaskoczony.

Ich oczom ukazała się osada, która wyglądała jak połączenie przenośnego obozowiska Klanu i wzniesionej z kamienia i drewna wioski Padford. Zobaczyli głęboki i długi row wypełniony wodą, która spływała tam z jeziora. Za fosą wzniesiono palisadę z ostro zakończonych, drewnianych bali. Kowal nigdy wcześniej nie widział tak masywnego ostrokołu.

Wewnątrz stał rząd mieszkalnych wozów, znacznie większych niż te, jakich używali ludzie Klanu. Wozy tworzyły koło, w środku którego ustawiono wysoką kamienną wieżę. Z palenisk przed domostwami unosiły się smugi czarnego dymu. W samej osadzie i poza jej ogrodzeniem klebił się ludzki tłum, a po zwodzonym moście jakiś jezdziec wyprowadzał właśnie swoje stado ogromnych psów.

A więc to musiała być wioska Kupców. W przeciwieństwie do ludzi Klanu, hodowali oni różne zwierzęta. Ich psy, podobne wielkością i wyglądem do Rhina, nie miały tak sterczących uszu jak on. Różniły się także umaszczeniem; ich sierść nie była jednokolorowa, ale ozdobiona plamami i pasami. Nogi miały pokryte czerwono - brązowymi kropkami. Ubarwienie każdego zwierzęcia układało się w inny wzór. Kupcy rzadko na nich jeździli, używali ich raczej do przewozu towarów. Jednak nigdy wcześniej Sander nie widział tylu tych zwierząt naraz.

Psy otaczały kregiem stado stworów przypominających jelenie, ale znacznie większych od tych, na które polował niegdyś

Sander. Po wyjściu z wioski psy rozproszyły się na polanie, ciągle jednak pilnując stada. Biegaly dookola z nosami przy ziemi, weszac jak kojot, gdy kowal puszczał go samopas. Pasterz, pedzac przed soba stado, zblizal sie do przesmyku.

Kuny wsciekłe posykiwały, przyczajone za plecami dziewczyny. Polozyla im dlon na lbach. Bylo jasne, ze trzyma je przy sobie tylko sila woli. Rhin przygladal sie osadzie bez wyraznych oznak zdenerwowania. Nie po raz pierwszy zetknal sie z Kupcami i przyzwyczail sie juz do psow, ktore wszedzie ze soba zabierali.

Pies, ktory niosl na grzbiecie pasterza, nagle wystawil jezor i ruszyl pedem w ich strone. Sander uslyszal za plecami ostry, rozkazujacy krzyk:

-Stac, glupcy! Albo gardla wam poderzne!

Kowal nie mial zadnych watpliwosci - nie byly to czcze pogrozki. Opuscil wiec rece, tak by bylo je widac. Bron mial schowana za pasem. Czul palacy wstyd. Tak latwo dali sie podejsc.

Pasterz zblizal sie do nich szybko, choc jego wierzchowiec musial biec pod gore. Kuny szalaly z wscieklosci. Fanyi caly czas trzymala dlonie na ich lbach. Rhin zaskamlal, a pies pasterza odpowiedzial mu donosnie.

Sander chcial sie odwrocic i zobaczyc wartownika, ktory stal za ich plecami, wiedzial jednak, ze jakikolwiek nieprzemyslany ruch mogl wywolac fatalne nastepstwa.

Jezdziec zatrzymal sie tuz przed nimi. Ubrany byl jak czlowiek z rownin, w skorzana kurtke i siegajace do kolan spodnie. Jego

twarz okrywała gesta, czarna, przystrzyżona w szpic broda. Włosy miał przycięte na wysokości uszu i schowane pod białozółta, futrzana czapa. W reku trzymał załadowany miotacz. Wyraz twarzy jezdźca nie wroził nic dobrego.

-Coscie za jedni? - zapytał gniewnym tonem. Przyglądał się Fanyi i Sanderowi, zerkając przy tym niepewnie na rozwścieczone kuny.

-Jestem Sander, kowal, a to Fanyi, Szamanka z Padford - odpowiedział pewnie Sander. Miał nadzieję, że uda mu się podtrzymać to wrażenie.

-Kowal i Szamanka - powtórzył jeździec. - Co tu robicie? Jestecie zwiadowcami innego Klanu? - pytał dalej niezbyt przyjaznym tonem.

-Ty jesteś Jon od Czerwonego Płaszczka - powiedziała dziewczyna. - Widziałam cie w Padford. Paremiesięcy temu.

-Byłem tam, to prawda. Ale Kupiec odwiedza wiele miejsc. Co Szamanka z Padford robi aż tutaj? Czy nie trzyma cie przy twoich ludziach przysięga Wielkiej Mocy? Czy mieszkańcy Padford również wedrują?

-Niezupełnie. W większości leżą teraz martwi, Jonie. Ilu z nich uprowadziły Morskie Rekiny, nie wiem.

Kupiec nie wypuszczał miotacza z reki. Nachylił się w jej stronę i wpatrywał w dziewczynę swidrującym wzrokiem.

-Rekiny, co? Mowisz, ze napadli na Padford?

-Zabijali, palili i porywali - powiedziala dobitnie.

-A on... - Miotaczem wskazal na Sandera. - To nie jest kowal z twojej wioski. Skad sie tu wzial i po co? Zaden klan bez wyraznego powodu nie opuszcza swoich rownin.

-Mialem swoje powody - wtracil Sander. - Zaden klan nie potrzebuje dwoch kowali. Przybylem tu, by sie uczyc, by poznac tajemnice metalu.

Meczyczna spojrzal na niego z wsciekloscia.

-Odważny jesteś, kowalu, skoro przyznajesz wprost, że przybyłeś tutaj, żeby ukrasć nam nasze sekrety!

-Nie interesuje mnie - odparł Sander - skąd bierzecie metal. Chce poznać tajniki jego obróbki.

-Tak mówi każdy, kogo złapiemy w miejscu, gdzie nie powinien się znajdować.

-Więc to wszystko należy do was? - spytała dziewczyna, rozglądając się dookoła.

-To, co zawiera ta ziemia, należy do nas zgodnie z prawem odkrycia. Ty - wskazał na kowala, jakby chciał uciąć tę niewygodną dyskusję - zdejmij bagaż ze zwierzaka. Chce zobaczyć, co ukradłeś do tej pory...

Choc Sander nadal nie orientowal sie, ilu przeciwnikow mieli za plecami, znudzilo go potulne wypelnianie rozkazow. Wiedzial

dobrze, że w kontaktach z Kupcami należało twardo obstawać przy swoim. W przeciwnym razie nie miało się z nimi żadnych szans. Złożył ręce na piersiach i powiedział:

-Ty tutaj dowodzisz? Nie jesteś z mojego Klanu. Nie wyglądasz nawet na jednego z Rady Plemienia, chyba że się mylę. Nie wykonuje niczyich rozkazów... Jestem kowalem i potrafię wyczarować z metalu prawie wszystko. Nikt nie będzie mi rozkazywał bez wyraźnej przyczyny. Nikt też - dodał - nie ma prawa zwracać się tak do Szamanki.

Jezdziec popatrzył na niego zaskoczony i najwyraźniej poirytowany.

-Jeśli była Szamanka Padford, której, jak sama twierdzi, już nie istnieje, to niesłusznie rości sobie prawa do tego tytułu. A co do ciebie, kowale - zmienił ton na ironiczny - to zobaczymy, co naprawdę jesteś wart.

Kuny głośno warczały. Wtorował im kojot. Psy w odpowiedzi najeżyły się i szczyrzyły kły.

-Panuj nad nimi - ostrzegł Kupiec - jeśli chcesz oglądać je żywe. Ruszajcie, tylko powoli. Zobaczymy, co w waszej sprawie postanowią Starsi.

Fanyi spojrzała na kowala. W jej oczach wyczytała ostrzeżenie. Kuny nie uspokoiły się nawet na chwilę, ale posłusznie wstały i ruszyły obok Fanyi w dół, w stronę osady.

Sander szedł za nimi. Niewiele więcej mógł teraz zrobić. Za sobą usłyszał jakieś trzaski. Miał rację. Z tyłu nadciągali trzej jeźdźcy.

Otoczyli go teraz i trzymali się tuż za nim.

Z pol zbiegły się psy, które wyły i warczały na wędrowców, zmierzających pooraną drogą w stronę drewnianej palisady. Rhin i kuny odpowiadały na te zaczepki na swój sposób. Nie doszło jednak do żadnego incydentu, bo jeźdźcy przegnali psy okrzykami, które bardziej przypominały szczekanie niż ludzka mowa.

Przed wejściem do osady czekała na nich grupa mężczyzn.

-Hej, Jon, kogo udało ci się złapać tym razem? - zagadnął jeden z nich dowódca warty. - To nie włocze z Hordy.

-To intruzi. Nie ma znaczenia, jak wyglądają - odparł jeździec. - A jeżeli chcesz zmierzyć się z Hordą, będziesz miał okazję. Widzieliśmy sygnały.

Fani zatrzymała się przed mostem.

-Kupcze, moi podopieczni nie wejdą do środka. Wyprowadź tu Starszych.

-Martwe zwierze nie będzie stawiać oporu...

Dziewczyna uniosła ręce i klasnęła głośno. Pochwyciła wzrokiem spojrzenie wartownika. Walczył ze sobą, próbując wydać kolejne polecenie, ale coś zatkło mu usta.

-Mówię tak z racji Mocy, którą posiadam. Czy nie znalazłam twego imienia, Jonie? Teraz nakazuje ci, byś przyprowadził jednego z Rady Starszych. Chcemy porozmawiać.

Straznik miotal sie miedzy wlasna wola a tym, co nakazywala mu dziewczyna. Jego twarz przybrala gniewny wyraz, po chwili zsunal sie z grzbietu wierzchowca i ruszyl ciezko przez most.

Sander zerknal na Fanyi. Byla skoncentrowana, tak jak wtedy, gdy ogladala medalion. Choc trudno mu bylo uwierzyc w jej Moc, widzial teraz na wlasne oczy, jak ten mezczyzna, tak im nieprzychylny, spelnil poslusznie jej wole.

Ludzie, ktorzy ich otoczyli, przygladali im sie uwaznie. Choc osada wygladala na stala siedzibe, zbudowana dawno temu, wsrod milczacego tlumu Sander nie zauwazyl kobiet ani dzieci. Nie podobalo mu sie zachowanie tych ludzi, wyraz ich twarzy i ta cisza. Znikla gdzies serdecznosc i sympatia, ktora okazywali Kupcy, kiedy goscili w Klanie. Wszystkie ostrzezenia przed ich wrogoscia, gdy byli u siebie, zdawaly sie teraz znajdowac potwierdzenie w tym nieprzyjaznym powitaniu.

W swiecie, gdzie wszyscy podroznicy, poza klanem Bialoskorych i Morskimi Rekinami, byli mile widziani, gdzie zawsze chetnie sluchano opowiesci o odleglych krainach i dziwnych przygodach, ta wrogosc byla czymys naprawde zaskakujacym. Z drugiej strony, Sander mogl udowodnic tym ludziom prawdziwosc swoich slow. Byl przeciez kowalem, a takich jak on zawsze witano z otwartymi ramionami. Przygladal sie teraz twarzom zebranych. Szukal tatuazu na czole, ktory wyrozniaby kowala. Czy ta osada w ogole nie miala takiego rzemieslnika? U niego moglby szukac poparcia. Byli przeciez przedstawicielami tej samej profesji.

Nigdzie jednak nie dostrzegl charakterystycznego znaku: emblematu mlota na niebieskim tle. Jednoczesnie przypominal

sobie tajemne zaklecia, ktorymi moglby przekonac ewentualnego kowala co do swoich umiejetnosci.

Tlum rozstapil sie nagle i Sander ujrzal Jona z jakimis o wiele starszym mezczyzna, pochylonym, opartym na lasce. Glowę staral sie trzymac prosto, co musialo byc dosyc bolesne i niewygodne zarazem. Co dziwne, szedl bardzo zwawo, prawie dotrzymujac kroku mlodszemu Jonowi. Wkrotce stanal twarza w twarz z przybyszami.

Jako jedyny z Kupcow starzec mial na czole tatuaz. Przez chwile Sander mial nadzieje, ze to znak kowala, ale zdal sobie sprawe, ze czlowiek o takiej posturze i w tym wieku nie mogl juz parac sie tak wyczerpujacych zajeciem. A tatuaz nie przedstawial młota, ale cos innego, choc dziwnie znajomego. W pierwszej chwili Sander nie skojarzyl, gdzie wczesniej widzial ksztalt drapieznej, ptasiej glowy. Szybko jednak przypomniat sobie fragment rzezby, który znalazl na rzeka i który Fanyi okreslila jako dawny symbol nieistniejacego, poteznego mocarstwa.

Starzec stal przed nimi i przygladal sie uwaznie kazdemu z osobna. Obejrzal rowniez zwierzeta. Potem przemowil glosem tak glebokim i donosnym, ze wydawal sie zupełnie nie pasowac do jego watlej postury.

-Ty... - wskazal najpierw na Fanyi - ...posiadasz Moc. Ty zas... - zwrocil sie nastepnie do Sandera - jestes kowalem z rownin. A jednak podrozujecie razem, prowadzac ze soba te zwierzeta. Dlaczego?

-Jestem z Padford - odparla dziewczyna. - Tylko ze nie ma juz Padford. Morskie Rekiny przybily do naszych brzegow i... -

zilustrowala swoje slowa wymownym gestem.

-Slyszalem - powiedzial starzec - ze Moc prawdziwej Szamanki moze ochronic tych, ktorzy wierza.

-To bylo w czasie Wielkiego Ksiezyca - odpowiedziala smialo, choc twarz jej pobladla. - Bylam poza wioska. Wtedy wlasnie zaatakowali.

Starzec poruszył ustami, zupełnie jakby przezuwał jej słowa i z ich smaku chciał wyczytać, czy mówi prawdę. Nie odrzekł nic, tylko znowu spojrzal na Sandera.

-A ciebie, który nazywasz się kowalem, co sprowadza na te ziemie, z dala od rownin, Klanu i twoich bliskich?

-Moj ojciec nie zyje. - Sander nie widzial zadnego powodu, by klamac. - Bylem mlody, zbyt mlody, jak twierdzil moj stryj, by zostac kowalem, choc ojciec przed smiercia wyznaczyl wlasnie mnie. W moim Klanie nie ma miejsca dla dwoch kowali... dlatego odszedlem. Mialem takie prawo.

-Duma mlodosci, kowalu, bo co innego? Wolales wygnanie i samotnosc od upokorzenia. - Zabrzmielo to nieco ironicznie, ale Sander nie dal sie sprowokowac.

-Poza tym chcialem zdobyc wiedze.

-Wiedze! - przerwal mu ostro starzec. - Jaka wiedze, kowalu? O skarbach, ktorymi moglbys z powrotem wkupic sie w laske swego Klanu? Czy nie o to ci chodzilo? O metal, który chciales zagarnac dla siebie, tym samym pozbawiajac Kupcow ich zrodla

utrzymania?

Tlum zaszemrał gniewnie. Sander pomyślał, że ten pomruk przypomina mu dźwięki wydawane przez Rhina. Starzec ciągnął dalej.

-I jaki skarb splądrowałeś, kowalu? Pokaż mi swój bagaż.

Sander wiedział, że żaden sprzeciw nie polepszy ich sytuacji. Nie chciał prowokować kłotni, która mogła mieć oplakane skutki. Niechętnie podszedł do Rhina, odpisał torby, w których trzymał narzędzia i znalezione kawałki metalu. Gdy otworzył pakunki, Jon wysunął się do przodu i chwycił pozwijany drut.

-Widzicie, ma... - zaczął triumfalnie, po czym uważnie przyjrzał się znalezisku. Po chwili rzucił je na ziemię i zaczął przeglądać resztę rzeczy, które kowal znalazł na podwodnym okręcie.

-Zobacz, Czcigodny!

Chwycił garść metalowych odłamków i drutów i pokazał je starszemu mężczyźnie.

-Skąd to masz?

-Znaleźliśmy statek uwieczony na słonej pustyni. Zabrałem to z jego wnętrza - wyjaśnił Sander. Starzec albo sam był kiedyś kowalem, albo znał się dobrze na metalach. W przeciwnym razie nie zauważyłby, że metal był inny od tego, jaki wydobywali Kupcy w ruinach miasta.

-A sam statek też był z metalu? - chciał wiedzieć starzec.

-Caly z metalu. Wewnatrz odkrylismy ciala. Ciala, nie kosci... Ku zaskoczeniu Sandera, starzec przytaknal.

-W zeszlym roku taki sam okret znalazl w gorach Gaffred. Plywano nimi pod woda, a nie na powierzchni.

Ta wiadomosc, ku zdziwieniu Sandera, wywarla zaskakujaco pozytywny wplyw na ostateczna decyzje starca. Fanyi powtorzyla znowu, ze jej kuny nie wejda do wioski, co na krotka chwile wywolalo pomruk niezadowolenia. W koncu jednak ustalono, ze Sander zatrzyma sie w domu kowala (ktory leczyl teraz rane i tym samym pozbawil Kupcow swoich uslug), a dziewczynie pozwolono zostac na zewnatrz palisady, w jednym z wystawionych tam o tej porze roku wozow.

Sander niechetnie sie z nia rozstawal. Zostawila tych ludzi w przeswiadczeniu, ze podrozowali razem, dwoje bezdomnych wygnancow; nie wspomniala jednak ani slowem o tajemnym miejscu, ktorego szukala. Szedl za nia tam, gdzie wskazywal jej medalion, relikw z Dawnych Czasow. Kupcy uwazali jednak, ze laczy ich cos wiecej niz tylko wspolna droga, i traktowali jego obecność w wiosce jako gwarancje, ze dziewczyna rowniez nie odejdzie wlasnowolnie.

Wiedzial, ze w rzeczywistosci bylo inaczej. Nic jej tutaj nie trzymalo. Mogla odejsc jeszcze tej samej nocy. A jesli tak zrobi, on nie bedzie mial w srod tych ludzi latwego zycia. Pozostawala jeszcze kwestia wlozczacych sie w poblizu Bialoskorych. Gdy jednak o tym wspomnial, Kupcy nie zwrocili na to specjalnej uwagi. Widocznie ufali wlasnej sile.

Kaboss, miejscowy kowal, przywital go malo entuzjastycznie.

Obejrzał zestaw narzędzi, ale nie zrobiły na nim większego wrażenia. Zachowywał się tak, jakby wcześniej wyrzucił już na śmietnik podobne lub nawet trochę lepiej utrzymane narzędzia. Jednak metal znaleziony na statku zaintrygował go. Szczegółowo wypytał Sanderą o wszystko, co tam widział.

Kaboss miał zabandażowaną reke. Gdy zdarzyło mu się poruszyć nią gwałtownie, na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Dał Sanderowi coś do jedzenia - pełna miska dobrze przyprawionej i ugotowanej stawy. Sander nie jadł takiego posiłku od czasu, gdy opuścił swój Klan. Potem zaprowadził go do kuzni i pokazał sterte narzędzia do naprawy, która nazywała się podczas jego choroby. Jak każdy Kupiec, długo i drobiazgowo negocjował warunki umowy, w końcu jednak Sanderowi udało się dojść z nim do korzystnego porozumienia. Mogł teraz zabrać się do pracy.

Rhina umieszczono w stajni i nakarmiono suszonym mięsem. Po posiłku kojot wylizal pokaleczone na gorskich drogach łapy i zapadł w głęboki sen.

Sander starał się pracować najstaranniej, jak mógł, choć dzień szybko się kończył. Przybyli tu przecież późnym popołudniem. Zastanawiał się, co będzie dalej. Nie wierzył, że Fanyi po prostu przyłączy się do tego klanu, chociaż po utracie swoich bliskich miała do tego prawo. Wiedział też, że i on tu nie zostanie.

Kaboss to dobry kowal i wróci do pracy, jak tylko wyleczy zranioną reke. Sander opuścił swój Klan, by nie być przez następne lata tylko pomocnikiem, tylko uczniem. Tym bardziej nie miał zamiaru odgrywać takiej roli wśród obcych. I choć zdrowy rozsadek podpowiadał mu coś innego, w głębi ducha

wierzył, że Szamanka, mówiąc o tajemnym źródle wiedzy, miała rację. Medalion prawie przekonał go do tego, w co wierzyła. Nigdy wcześniej nie słyszał i nie widział czegoś podobnego.

Domostwo Kabossa nie było zbyt rozległe. Towarzyszka kowala była cicha kobieta. Wyglądała na starszą od mężczyzny, którego wybrała. Włosy przyproszyla jej już siwizna. Ubrana była tak, by wszyscy widzieli, z jakiego domu pochodzi. Nosila grube naszyjniki z wypolerowanej miedzi, a na palcach miała cztery srebrne pierścienie. Zielona szata przytrzymał pas ze srebrnymi łączeniami i sprzaczkami. Nie mówiła zbyt wiele i zwracała się głównie do służacej, która krztała się z wawo po obejściu. Twarz miała zasepiona, jakby była wiecznie niezadowolona.

Nigdzie nie było widac ucznia czy pomocnika. Kaboss wspomniał w którymś momencie, że miał takiego, młodszego syna swojego brata, ale chłopak przed paroma dniami wyjechał na północ szukać metalu.

Pytany, Sander opowiedział coś niecos o ich podróży, o spotkaniu z wodnymi stworami, o ataku potwora w opuszczonym domu. Kabossa najbardziej zainteresowała ostatnia część opowieści.

-Wiec one jeszcze żyją? - zdziwił się. - Kiedyś były tak niebezpieczne, że nie mogliśmy swobodnie polować. Wreszcie zebraliśmy się, wzywając na pomoc Klan Tajemnic i Klan Jeleni. Tego dnia ubiliśmy dwanaście takich bestii. Od tego czasu nie mieliśmy już z nimi żadnych kłopotów. Myśleliśmy, że zniknęły zupełnie. Teraz znowu zbliżają się ci, których nazywasz Białoskorymi. Kolejne zagrożenie. Ciągłe się tu pojawiają...

jednak nie trzeba sie nimi zbytnio przejmowac. Mozna ich latwo pokonac.

Kobieta nachylila sie nagle w strone Sandera. Caly czas przypatrywala mu sie uwaznie. Zdawala sie w ogole nie slyszec slow Kabossa albo puszczac je mimo uszu. Zwrocila sie do goscia:

-Powiedz mi, przybyszu, dlaczego nosisz na glowie te metalowa opaske?

Prawie zapomnial juz o przepasce, ktora wlozyl po dziwnej przygodzie z tym, co Fanyi nazwala "poszukujaca mysla".

-Szukasz ochrony w Chlodnym Metalu, mam racje? Przezyles cos, czego nie mozesz pojac, cos, czego wystrzegaja sie wszyscy, prawda?

Kaboss patrzyl to na kobiete, to na Sandera. Po chwili odsunal sie nieznacznie od mlodego kowala.

-Nawiedzony!

Kobieta usmiechnela sie nieprzyjemnie.

-Wolalbys chyba tego uniknac, co, Kaboss? Tak, zostal nawiedzony. Nie chce go trzymac pod swoim dachem. Jeszcze sciagnie na nas cos, czego mozemy z poczatku nie wyczuc lub nie dostrzec. Wyprowadz go z osady i zostaw przy tej dziewczynie, ktora tak otwarcie mowi, ze rozmawia z tym, co nie istnieje. Zrob to dla bezpieczenstwa nie tylko tego domu, ale calego klanu.

-Czcigodny Allbert go tu przyslal... - zaczal Kaboss.

-To nie jego dom. A jesli ludzie dowiedza sie, kogo tu trzymamy, tylko narobimy sobie wrogow.

Kaboss niechetnie wstal i kiwnal na Sandera.

-To jej dom - powiedzial. - Ona tu rzadzi. Chodz, kowalu.

W ten sposob Sander znow znalazl sie na wygnaniu. Udzielona szeptem informacja wystarczyla, by wartownicy przy bramie wypuscili go razem z Rhinem. Noc byla juz gleboka.

Wciaz zaskoczony nagla zmiana sytuacji, ruszyl w strone wozu, gdzie obozowala Fanyi. Gdy jej tam nie zastal, nie byl wcale zaskoczony. Bagaz dziewczyny rowniez zniknal. Kowal umocowal wiec swoje torby na karku Rhina i usadowil sie na jego grzbiecie. Kojot zlapal trop. Znow ruszyli w droge.

To, ze Kaboss pozbyl sie go bez uzgodnienia z Allbertem, zaniepokoil i zastanowilo kowala. Kobieta zreszta wyrazila sie dosyc jasno; widac Kupcy juz wczesniej spotkali sie z tym, czego doswiadczył. Znali sekret Chlodnego Metalu, ktory przez wiele lat byl legenda. Sander nie przypominal sobie, by kiedykolwiek zastosowano opaske w jego Klanie. Moze gdyby nosil ja wsrod swoich, tez wzbudzilaby ich zainteresowanie i staraliby sie czegos o niej dowiedziec. Tak czy owak, kobieta Kupca od razu potrafila ja nazwac i znala jej dzialanie - obrone przed tym, co niewidzialne.

A jednak Czcigodny nalegal, by Sander zamieszkal wlasnie u kowala. Czy nie za bardzo mu na tym zalezalo? Mysli Sandera

pobiegly teraz innym torem. Zaczynal podejrzewac, ze Kupcy sadzili, iz nie tylko przypadek polaczyl jego i Fanyi. Prawdopodobnie doszli do wniosku, ze oboje mieli jakis ukryty cel. W naturze Kupcow lezalo poszukiwanie skarbow. Latwo mogli uwierzyc, ze przybysze cos wiedzieli o kolejnym ich zrodle. Wydobyte takich informacji sila moglo nie przyniesc oczekiwanych rezultatow. Rozsadniej bylo wypuscic oboje pod byle pretekstem, a potem pojsc ich tropem.

Sander nie mial najmniejszych watpliwosci, ze psy z wioski zdolalyby wytropic ich rownie skutecznie, jak Rhin tropil zwierzynie. Moze juz ruszyl za nim tajny oddzial.

Pozostawal jednak problem Bialoskorych. Czy w obliczu takiego niebezpieczenstwa Kupcy odwaza sie oslabic osade, zeby sledzic dwoje przybyszow? Mogl tylko zgadywac, chociaz poscig w takiej sytuacji wydawal sie malo prawdopodobny.

Sam nie widzial potrzeby ukrywania sie. Jesli gdzieś znajdowalo sie zrodlo wiedzy, dlaczego nie mieliby z niego korzystac wszyscy, rowniez Kupcy? A jesli przyjada za nimi barbarzynscy Bialoskorzy? Potrzasnal glowa. Wolal nie sciagac wroga w miejsce, ktore pragnela odkryc Fanyi.

Rhin najwyrazniej podazal swiezym tropem. Po raz pierwszy Sander zaczal zastanawiac sie nad zachowaniem dziewczyny. Nawet na niego nie zaczekala. Czy jego pomoc we wspolnym przedsiwzieciu byla dla niej tak bezwartosciowa, ze pozbyla sie go przy pierwszej okazji? Rozgniewalo go to. Potraktowala go jak kogos gorszego, kogos, kogo juz nie potrzebowala. Moze medalion wskazal jej, ze jest blisko celu. Oznaczalo to, ze dalej moze ruszyc sama. Odrzucal od siebie mysl, ze wykorzystywala

go, dopoki byl jej przydatny, a potem po prostu porzucila.

Zamyslony, nie popedzal Rhina. Trop byl wyrazny i swiezy. Co prawda kuny mogly stanowic spore zagrozenie. Szczegolnie teraz, jezeli rzeczywiscie nie byl juz potrzebny Fanyi, mogla poszczuc go tymi bestiami. Nie laczyly go przeciez z dziewczyna zadne wiezy krwi.

Co jakis czas spogladal za siebie na majaczace w ciemnoscach zarysy kupieckiej osady. Nie zauwazyl zadnych oznak poruszenia. Nici znaczylo to jednak, ze go nie obserwowano. Moze zanim zacznia isci jego sladem, czekaja, az odjedzie troche dalej.

W tej czesci doliny nie bylo sie gdzie schowac. Wioske wzniesiono w poblizu wzgorz. Dalej, na polnoc, ciagnela sie rzeka. Rhin dreptal w kierunku wody, weszac to tu, to tam. Powietrze bylo mroznej rzeskie i przejrzyste. Sander owinal sie szczelnie oponcza, naciagnal kaptur i mocno zacisnal rzemyki, by zatrzymac jak najwiecej ciepla.

Byl zmeczony. Bolaly go ramiona i plecy. Odwykl od pracy, a dzis staral sie wyjatkowo, by nie zawiesc Kabossa. Poza tym wyczerpala go podroz przez gory i ciagle napiecie, ktore ze soba niosla.

Wiedzial, ze dlugo nie wytrzyma bez snu. Nawet w czasie jazdy oczy same mu sie zamykaly i musial otrzasac sie co chwila. Jakim cudem dziewczyna zdolala pojechac jeszcze dalej? No, oczywiscie... nie musiala pracowac przez pol dnia w kuzni.

Rhin dotarl do brzegu rzeki i zatrzymal sie, obwachujac piasek.

Szczeknal cicho i Sander zrozumiał, że ci, których tropili, musieli wejść w tym miejscu do wody. Zastanowiła go lekkomyślność Fanyi. Wiedziała przecież, że w tych wodach mieszkają przerażające stworzenia.

Czy dalej ruszyła na wschód, czy na zachód? Próbował się skoncentrować, odpedzić zmęczenie i odpowiedzieć na to zasadnicze pytanie. Od czasu, gdy opuścili słoną pustynię, medalion niezmiennie wskazywał na zachód. Nie mógł uwierzyć, żeby kierunek zmienił się teraz tak gwałtownie.

Fanyi musiała wejść do wody, by zmylić tropiace ją psy. Jeśli więc ruszy w górę strumienia, może trafi na jej ślad. Tyle że miejsce, w którym wyszła z powrotem na brzeg, mogło znajdować się po drugiej stronie. Jeśli tak, będzie miał nikielne szanse na odnalezienie tropu.

Scisnął Rhina kolanami i skierował zwierzę za zachód. Jechali teraz wzdłuż rzeki. Wysoko na niebie księżyc świecił słabym blaskiem.

Przedzierając się przez nadbrzeżne krzewy, nagle otrzeźwiał zupełnie. Zdał sobie sprawę, że przepaska na czole zaczęła się szybko rozgrzewać. Stawała się gorąca! Coraz bardziej gorąca! Wyciągnął ręce, by ją zerwać z głowy, i zawahał się. Może tego właśnie chciała nieznana siła? Chłód żelaza? Nie, palące, rozgrzane żelazo, które parzy skórę. Ból miał go zmusić do pozbycia się amuletu.

Metal zdawał się tak gorący, jakby podgrzano go na żywym ogniu. A noc była przecież chłodna. Zaczął wypowiadać kowalskie zaklęcia, obarczając dookoła głowy palącą jednak coraz

bardziej. Ktos najwyrazniej chcial, zeby Sander wlasnie tak myslal! Jakos to dotarlo do niego. Zar byl zludzeniem... snem, ktory wyslano, by pozbawic go ochrony. W rzeczywistosci opaska wcale nie byla rozpalona. Wolno opuscil rece. Walczyl z omamem. To nie dzialo sie naprawde!

Zaczal na glos wyspiewywac magiczne zaklecia. Nie wierzył w Moc Fanyi, ale musiał uwierzyć w to, co czuł. A czuł palący żar. Cały czas jednak starał się wmówić sobie i swojej bolącej skorze, że to nie może być prawda. Nie ma ognia, nie ma żaru, więc opaska, która nosił, nie może go parzyć. Chłód żelaza... chłód żelaza...

Te dwa słowa mieszały się z innymi, ale wciąż powracały. Chłód żelaza!

Nie potrafił dokładnie powiedzieć, kiedy wrażenie gorąca zaczęło ustępować. Był już zbyt wyczerpany i na wpol przytomny. Uczepił się kurczowo myśli, że wszystko to jest tylko majakiem i w końcu odkrył, że opaska naprawdę była chłodna.

Szorstka wełniana koszula pod oponczą przylepiła mu się do ciała. Ze strachu spocił się niemilosierdzie. Chwiał się na grzbiecie Rhina i musiał obiema rękami wczepić się w sierść kojota. Opaska była naprawdę chłodna!

Rhin zatrzymał się... a może stanął już wcześniej, gdy Sander zmagał się z dziwnymi omamami? Trudno powiedzieć. W każdym razie kowal zsunął się z siodła i opadł na kolana. Oparł się o gałęzie sosny i podciągnął do góry. Zanurzył ręce w gąszczu zielonych igieł, po chwili jednak padł w cieniu rozłożystych konarów i usnął prawie natychmiast, wyczerpany

przedziwna walka.

Nie pamiętał, co mu się sniło. Obudził się nad ranem. Przez platanine gałęzi zobaczył fragment rzeki. Jednocześnie przypomniał sobie nocny atak. Szybko zerwał z głowy opaskę i potarł skóre na czole, szukając śladów oparzenia. Nie znalazł nic. Przymyślnie włożył opaskę z powrotem. Może gdyby uwierzył w zwidy, nosiłby teraz takie ślady. Sander w dalszym ciągu nie rozumiał, jak coś takiego mogło mu się przydarzyć.

Kto jednak może wiedzieć, co jeszcze potrafili kontrolować Praludzie? Medalion dziewczyny był jedną z tych rzeczy, które przekraczały jego wyobrażenie. Poza tym był też ojciec dziewczyny, dziwny podróżnik, którego nigdy nie poznała. Choć przybył do jej osady w towarzystwie Kupców, nie był jednym z nich. Blakał się, szukając wiedzy o świecie. Sander nigdy wcześniej nie słyszał o kims takim. Ludzie Klanu przemierzali równiny, pedząc stada, dzięki którym żyli. Kupcy podróżowali w odległe rejony dla zysku. A ten człowiek przemierzał świat tylko po to, by dowiedzieć się, co znajdzie za następnym wzgórzem lub doliną. Trudno to było zrozumieć.

Rhin! Sander rozejrzał się dookoła. Gdy wspólnie podróżowali,; kojot zawsze spał razem z nim. Teraz jednak było inaczej. Nigdzie na iglastym dywanie nie dostrzegł odcisków łap. A przecież zwierzę całe; czas miało na grzbiecie jego bagaż. Kowal wstał i ostrożnie zbliżył się do rzeki. Przystanął na kamienistym brzegu, odchylił kaptur, przykleknał i obmył twarz zimną wodą. Od razu go otrzeźwiała.

Nie miał wyboru; musiał zdradzić swoją obecność i przywołać kojota. Gwizdnał przeciągle. Wiedział, że zwierzę, jeśli tylko go

usłyszy, zareaguje. Choc jednak pilnie nasluchiwal, nigdzie, nawet w oddali, nie uslyszal charakterystycznego skowytu. Jedyny slad po Rhinie znalazl na ziemi, nieopodal sosny. Lezala tam opaska z metalu, ktora wlozyl kojotowi na glowe. Miedzy splecionymi drutami odkryl kepke wyrwanej siersci. Czyzby Rhin, nekany takim samym zludzeniem, jakie zeszlej nocy dreczylo jego pana, zdarl ja z siebie?

A moze ratowal sie przed psami Kupcow? Z jednym mialby szanse, jesli jednak bylo ich kilka, mogl uciec przed liczniejszym i silniejszym przeciwnikiem.

Chociaz z drugiej strony... gdyby wlasnie tak bylo, to dlaczego poscig nie dopadl kowala w czasie snu? Przeciez psy bez trudu znalazlyby go pod drzewem, ktore nie dawalo zadnej ochrony.

Niewykluczone, ze Rhin po prostu ruszyl na polowanie, w glebi ducha jednak Sander nie wierzyl w to za bardzo. Naciagnal z powrotem kaptur. Caly jego dobytek - przyodziewek, narzedzia i jedzenie - zniknal razem z Rhinem. Mial przy sobie noz, miotacz, a z ubrania tylko to, co na sobie. W dodatku wech podpowiadal mu, ze nalezalo jak najszybciej zmienic je na cos swiezsze.

Nie mial zamiaru wracac do wioski Kupcow. Choc nie umial tropic tak skutecznie jak Rhin, podswiadomie czul, ze gdy ruszy na zachod, znajdzie odpowiedz na gnebiace go teraz pytania. Poza tym idac w tamtym kierunku, oddali sie od miejsc nawiedzanych przez Bialoskorych i wodne stwory. Spojrzal na rzeke. Jej wod nie macil zaden podejrzany ruch.

Napil sie, w nadziei, ze napelniony woda brzuch przynajmniej na jakis czas przestanie domagac sie swoich praw, po czym ruszyl

w gore rzeki. Nie dostrzegł nigdzie żadnych śladów i dlatego wolął nie oddalać się zbyt od brzegu. W ten sposób wiedział, że idzie mniej więcej we właściwym kierunku. Co jakiś czas pogwizdywał na Rhina, choć nie wierzył, że kojot mu odpowie.

Słońce przypiekało coraz mocniej. Zdjął kaptur. Wychowany na równinach, nie czuł się zbyt pewnie na tym zalesionym terenie. Ze wstydem przypominał sobie, jak jeszcze w Padford wydawało mu się, że las stanowi dobrą ochronę.

Szedł dalej. W reku niosł gotowy do strzału miotacz. Uważnie wsłuchiwał się nawet w najdrobniejszy szelest. Słaby wiatr poruszał liście na drzewach i co jakiś czas slychac było okrzyki lesnych ptaków. Okolica zdawała się całkiem bezludna, dopóki nie dotarł do miejsca, w którym ktoś wyrwał z podmokłej ziemi kępke trawy.

W przybrzeżnym mule znalazł wyraźny odcisk małej, kształtnej dłoni. Potem odkrył jeszcze inne ślady, świadczące o tym, że dziewczyna wyszła tutaj na brzeg. Nie próbowała nawet zatrzeć tych śladów, co znaczyło, że nie bała się już poscigu z wioski. Albo, pomyślał, spieszyła się tak bardzo, że nie miała czasu ich zatrzeć.

Zdał sobie sprawę, że nie mogła odejść daleko, więc przeszukał dokładnie to miejsce i po chwili znalazł kolejne ślady - złamana gałązka i wyraźny odcisk na zaskielających ziemię liściach. Dziewczyna musiała oddalić się od koryta rzeki i ruszyć w stronę gęstego lasu, który porastał wnoszące się na południu pagorki.

Kował minal zagajnik młodych drzew i znalazł się na pradawnej drodze. Nie była tak zniszczona jak inne pozostałości dawnej

cywilizacji. Widocznie ta okolica nie ucierpiała tak bardzo w czasie kataklizmu Mrocznych Czasów. Nawierzchnia drogi była oczywiście popekana i pokryta warstwą wyschniętych traw i liści, ale nic nie utrudniało dalszego marszu. Sander odkrył tu więcej śladów dziewczyny, a w dwóch miejscach znalazł też wyraźny odcisk łapy Rhina. Świadomość, że kojot porzucił go, by iść za Fanyi, nie była zbyt pocieszająca. Wiedział, że miała nad swoimi kunami kontrolę i porozumiewała się z nimi lepiej niż Sander z kojotem, ale nigdy nie przypuszczał, że jej Moc była tak duża, by odciągnąć od niego Rhina. Chyba że zrobiła to, by się przed czymś bronić.

Tak czy owak, czuł teraz, że koniecznie musi ją odnaleźć. Zdecydowanie parł naprzód. Nie miał zamiaru cofnąć się przed niczym.

Ci, których tropił, trzymali się drogi i po ich śladach widział, że w ogóle nie myśleli o ewentualnym poscigu. Szlak piał się w górę, wznosząc prawie na wysokość wzgórz, które Sander zostawił za sobą. Głód znowu zaczął mu doskwierać. Teraz jednak nie miało to już żadnego znaczenia. Wkrótce znalazł miejsce, w którym leżało mnóstwo orzechów. Prawdopodobnie zebrały je buszujące gdzieś wiewiorki. Napelnił kaptur i przystając co jakiś czas, rozłupywał twarde skorupy. Orzechy były smaczne, chociaż nie dorównywały posiłkowi, jakim poczęstował go Kaboss.

Droga wspięła się teraz na szczyt kolejnego wzgórza i Sander mógł zobaczyć, co znajduje się dalej. W powietrzu unosiła się jakby lekka mgła, choć nie czuł dymu i nigdzie nie widział śladów ognia. Nie miał już teraz żadnych wątpliwości, gdzie prowadzi droga. W oddali zobaczył ruiny, tym razem jednak nie była to tylko sterta luźno porzuczanych kamieni, w której ledwo dąło

się rozpoznac kształty dawnej budowli. Widział wyraźne zarysy poszczególnych budynków, które w znacznie mniejszym stopniu niż zabudowania ogromnego miasta odczuły skutki kataklizmu. Gdy przyglądał się miastu, odniósł wrażenie, że dziwna mgielka nad nim zaczyna gęstnieć i zasłania je coraz bardziej.

Był już niemal pewny, że to tego miejsca szukała dziewczyna. Przyspieszył kroku. Chciał jak najszybciej dotrzeć do miasta. Głodny i obolały, czuł, jak prędko opuszczają go siły.

Im bliżej ruin, tym więcej kamieni i glazów napotykał na swojej drodze. Nikt najwyraźniej nie martwił się o ich uprzatnienie. Gdzieś tam wystawały z ziemi szczątki metalu. Zdziwiał, że Kupcy, których osada znajdowała się tak blisko, nie splądrowali jeszcze tego miejsca.

Wzbudziło to jego podejrzenia. Zawahał się, szukając na ziemi śladów swoich towarzyszy. Ruszył dalej, gdy znalazł odcisk łapy jednej z kun. Po wielkości ocenił, że to ślad Kai. Skierował się teraz bardziej na prawo i trafił na kolejną, nieco węższą drogę, która ostro zwracała na północ, omijając największe zabudowania.

Trakt zarastały teraz krzewy i trawa, zmieniając go w wąską ścieżkę. W błocie widac było jednak wyraźnie ślady Fanyi i zwierząt. Sander nie umiałby powiedzieć, czy kojot szedł tu razem z dziewczyną, czy podążał tylko jej śladem.

Droga zakreślała dwukrotnie i kończyła się szerokim chodnikiem, który przypominał kowalowi wejście do domu Kupców, zbudowanego nad siecią podziemnych tuneli. Przed sobą miał teraz trzy budynki, a raczej to, co z nich pozostało - ściany z

pustymi oczodolami okien. Za fasadami nie bylo nic. Nieco dalej zobaczyl sciane kolejnego budynku.

Sander stanal na chodniku, zachwial sie i osunal na kolana. Czul, jak opaska zaciska mu sie na czole. Bol byl tak przytlaczajacy, ze kowal nie mogl nawet myslec. Instyktownie szarpnal sie do tyłu, upadl na plecy i oddychal ciezko, przytloczony bolem, ktory jednak zniknal rownie nagle, jak sie pojawil.

W chwile pozniej, zupełnie zdezorientowany, kuczal w miejscu, gdzie zaczynal sie chodnik i staral sie odgadnac, co zagradza mu droge. Przedarl sie przez krzewy i zarosla, obchodzac to miejsce dookola. Odkryl, ze znajduje sie tam jakas niewidzialna bariera, wsciekle i zniecierpliwiona atakujaca jego umysl, gdy tylko probowal isc dalej.

Zadna z historii opowiadanych przez Zapamietywaczy czy Kupcow nie wspominala nigdy o czymś takim. W obrebie obszaru chronionego przez barriere nie zauwazyl zadnego ruchu. A jednak Fanyi, kuny i Rhin jakos tedy przeszli.

Dokladnie widzial ich slady; prowadzily przez teren, po ktorym nie mogl isc, odpychany przez nieznana sile. Dlaczego tak sie dzialo? W jaki sposob udalo im sie wejsc tam, gdzie on nie mogl zrobic nawet jednego kroku?...

Zdal sobie sprawe, ze jesli zdejmie opaske, moze uda mu sie wejsc na zakazany teren. Ale wiedzial, ze wtedy podda sie calkowicie czyjejs woli, woli obcego umyslu.

Sprobowal, tak jak wczesniej, zwalczyc strach i wmowic sobie

złudność własnych odczuć, nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów. Nieznana siła była tutaj o wiele potężniejsza, a jego wola wciąż osłabiona przez pierwszy atak.

Wiedział, że musi iść dalej, z opaską na czole było to jednak niemożliwe. Musiał wybierać. Zwyciężyła ciekawość. Chciał wiedzieć, kto lub co kryło się za tym wszystkim. Powoli, ze świadomością, że poddaje się dobrowolnie, zdjął opaskę i zawiesił ją na pasku, obok tej, którą porzucił Rhin.

Wstał i ostrożnie, jak zwiadowca na nieznanym terenie, ruszył w stronę niewidzialnej bariery. W ręce trzymał miotacz, chociaż miał wrażenie, że tego, kto czeka w ruinach, nie da się pokonać taką bronią.

Wszedł na kamienny chodnik. W pierwszej chwili nic się nie stało... zupełnie nic. Potem jednak...

Ciało kowala zeszywniało, żeby zacisnęły się kurczowo. Ta myśl... nie należała do niego! Teraz jednak nie było już odwrotu. Czyjaś wola krepowała go i trzymała w tym miejscu równie skutecznie jak lepka sieć lesnych istot. Wbrew własnej woli wszedł przed siebie, wprost do budynku naprzeciwko.

Czy z tego powodu porzucił go Rhin? Czy dlatego podążył śladem Fanyi? I czy dziewczyna i zwierzęta w ten właśnie sposób dostali się do środka?

Wszedł chwiejnym krokiem. Jego umysł walczył z obcą wolą. Kowal nigdy wcześniej nie przypuszczał, że coś takiego może mu się przytrafić. Czy to była próbka tej Mocy, o której tak często wspominała dziewczyna? Niemożliwe jednak, by to ona nia

kierowała.

Nieznana siła pociągnęła go w kierunku wąskiego podziemnego przejścia, które otwierało się w chodniku. Budynek obok różnił się od pozostałych. Wyglądał na mocniejszy i solidniejszy. Wykonano go z masywnych bloków skalnych o szorstkiej powierzchni, dzięki czemu był w dużo lepszym stanie niż zrujnowane budowle dookoła.

Perspektywa wędrowki w podziemiach dodała Sanderowi nowych sił. Czuł, że jego umysł bardziej zdecydowanie walczy teraz z siłą, która nim zawiadnęła. Nic to jednak nie dało. Nie mógł nawet własnowolnie poruszyć małym palcem u ręki, nie mówiąc o sięgnięciu po metalową opaskę.

Doszedł już do obskurnego wejścia. W dole zobaczył drabinę, a je go ciało, kontrolowane przez obcy umysł, pochyliło się i zaczęło powoli schodzić po szczeblach. Takie zejście musiało być sporym wyzwaniem dla Rhina, ale najwyraźniej kojot nie cofnął się, bo w tunelu czuć było intensywny zapach jego sierści.

Wewnątrz było dość widno; nie potrzebował pochodni. W ścianach po obu stronach tunelu zauważył regularnie rozmieszczane, wąskie wgłębienia, białe, choć przybrudzone. Pod ścianami ustawiono niezbyt grube rury, które paliły się jednolitym, przytłumionym światłem. Nie wszystkie działały. Część leżała pocięta i wygaszona, te jednak, które wciąż były sprawne, wystarczająco oświetlały wnętrze korytarza.

Poza tymi dziwnymi lampami tunel był pusty. Ciągnął się w nieskończoność, a w ścianach nie było widać żadnych drzwi. Korytarz schodził w dół i tam właśnie Sander znowu zobaczył,

charakterystyczna mgielka, która na gorze przysłoniła mu częściowo widok ruin. Teraz też nie mógł przeniknąć przez nią wzrokiem.

Nie dano mu czasu nawet na chwilowy odpoczynek, natychmiast bowiem jakaś siła popchnęła go w dół korytarza. Miał kilka podłużnych lamp i po chwili udało mu się nieznacznie odwrócić głowę. Gdy spojrzał za siebie, nie zobaczył już drabiny i otworu wejściowego. Tunel za jego plecami spowija gęsta mgła.

Korytarz był wyjątkowo szeroki. Idąc obok siebie, mogło się tu zmieścić nawet sześciu rosłych mężczyzn. Był również na tyle wysoki, że Rhin spokojnie mógł wędrować na wyprostowanych łapach. Wilgotne ściany połyskiwały w łagodnym świetle lamp. Podłoga nie była jednak śliska. Wykonano ją ciasno ułożonej, czerwonej kostki.

Sander zauważył, że powietrze w tunelu nie jest suchym i nieswieżym, jak w podziemiach dawnego miasta. Co jakiś czas czuł na twarzy delikatny, chłodny powiew.

W końcu dotarł do miejsca, w którym tunel przechodził przez szerokie pomieszczenie i rozdwajał się. Mgła była tu tak gęsta, że nie sposób było zobaczyć, dokąd prowadziły obie drogi.

Tutaj również podjęto za niego decyzję. Jak automat zwrócił się w stronę tunelu biegnącego na lewo i ruszył w jego głąb.

Nieznana siła cały czas prowadziła go głównym tunelem, chociaż co chwila mijał boczne korytarze po jednej i po drugiej stronie. Na koniec dotarł do schodów prowadzących w dół. Strop tunelu

zarwał się tutaj częściowo, a metalowe zerdzie, które podtrzymywały sklepienie, z impetem wbily się w ściane. Część z nich wisiała jeszcze w gorze, utrzymując ciężar kamiennego rumowiska.

Znow zmuszono go do zejścia niżej. Czyżby gdzieś głęboko pod ziemią mieszkali przedstawiciele Praludzi? Nie wydawało się to zbyt rozsadne, szczególnie gdy się pamiętało o trzesieniach ziemi i ogromnych rozpadlinach, o których mówiły legendy. Wkrótce znalazł się w kolejnym tunelu. Palilo się tu mniej lamp i panował nieprzyjemny półmrok. Korytarz niewiele różnił się od poprzedniego. Oprócz niewielkich wylomów, które widział na gorze, Sander nie zauważył żadnych przejść ani drzwi.

Schodząc w dół, zaczął liczyć kroki... dwadzieścia. Mogł się tylko domyślać, jak głęboko pod ziemią się teraz znajdował. Masywne podpory nie pasowały swoim wyglądem do gładkich ścian i podłogi. Osadzono je w ziemi bardzo solidnie. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by podziemne chodniki nie zawały się całkowicie.

Tylko kto? Kupcy? Wiedział, że wydobywali surowce glownie na powierzchni. Podpory wykonano z doskonale zachowanego i nienaruszonego przez rdzę metalu. Kupcy z pewnością nie marnowaliby cennego kruszcu na umacnianie jakichś podziemnych kanałów.

Mgielka, która spowijała korytarz na wyższym piętrze, znikła. W świetle mijanych z rzadka lamp widział teraz wyraźnie jednostajną barwę ścian. Nieznana siła wciąż pchała go do przodu.

Pod ścianą zobaczył niewielki wózek - jeśli można nazwać

wozkiem pojazd, do ktorego nie da sie zalozyc uprzezy. Mial siedzenia dla dwoch osob i piate kolo, ktore nie dotykalo ziemi, ale zamontowane bylo z przodu, tuz przed jednym z foteli. Pojazd byl w calosci wykonany z metalu.

Nigdzie nie zauwazyl sladow rdzy czy zniszczenia. Zdumiony swoboda i rozmachem, z jakim uzyto tak cennego materialu, przez chwile prawie zapomnial, ze caly czas prowadzono go jak wieznia.

Pierwszy strach ustapil i Sander nie bronil sie juz tak gwaltownie jak na poczatku. Oszczedzal sily. Jego umysl pracowal goraczkowo, stawiajac coraz to nowe pytania, na ktore byc moze nie bylo odpowiedzi, ale ktore mogly zawierac pewne sugestie, mogace przydac sie pozniej. W zadnej z opowiesci Zapamietywaczy nie pojawial sie motyw zniewolenia jednego umyslu przez drugi; nigdy nie wspominali, zeby czlowiek mogl zmusic w ten sposob innego czlowieka do dzialania. Zapamietywacze nie znali jednak wszystkiego, ich wiedza byla bardzo wybiorcza.

W Dawnych Czasach ludzie z Klanu Sandera nie zamieszkiwali tych terenow, kowal nie mial wiec pojecia, jakich urzadzen uzywali Praludzie. Wydawalo mu sie, ze predzej czy pozniej daloby sie uruchomic dawne maszyny, chocby takie jak pojazd, ktory przed chwila minal. Kazde urzadzenie wykonane przez czlowieka mozna bylo naprawic, jesli rzemieslnik dysponowal odpowiednia wiedza, cierpliwoscia i niezbudnymi narzedziami. On sam przeciez wlasnie po to przybyl tutaj az z pomocy.

Ale grzebanie w czyichs myslach... to juz zupełnie inna sprawa. Wydawalo mu sie to nie mniej obce i nieludzkie niz potwor

atakujący ich na wyspie pośród wyschniętego morza. Zdecydował, że w obecnej sytuacji ma tylko jedno wyjście. Musi udac, że jest całkowicie bezwolny, poddać się i dotrzeć do źródła tajemniczej mocy.

W części korytarza, gdzie się teraz znajdował, nie było metalowych podpór. Widocznie minal już zagrożona część tunelu. Palily się wszystkie światła, a na ścianach nie dostrzegł żadnych zarysowań. Na końcu korytarza, w świetle lamp, zobaczył wejście. Bila stamtąd luna.

A potem usłyszał cichy szczek Rhina. Takim głosem kojot wital go po każdej rozłace. Co do tego nie mógł się mylic... zwierze na niego czekało. Przystąpił prog i zamrugał. Światło było tu o wiele silniejsze niż w korytarzu.

Znalazł się w niedużym, dziwnie zbudowanym pomieszczeniu: ściany kończyły się tuż nad jego głową, a z sufitem łączyły je wąskie kolumny. Komnata była pusta. Sander nie zauważył innych drzwi ani okien, a jednak cały czas miał wrażenie, że to tylko część większego pomieszczenia.

W momencie, w którym przystąpił prog komnaty, nieznośne działanie obcej woli zniknęło bez śladu. Wiedział jednak, że jeśli spróbuje się wycofać, nieznaną siłą nie pozwoli mu na to.

Gdzieś tu jednak musiało się znajdować jakieś ukryte przejście, wyraźnie bowiem słyszał szczekanie Rhina. Uważnie rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie mógł wypatrzeć najmniejszego śladu drzwi, więc zaczął badać ściany rękami. Zaczynał od dołu i stopniowo przesuwiał w górę tak wysoko, jak tylko mógł dosięgnąć. Murow, idealnie gładkich, nie zbudowano z żadnego znanego mu

materialu - kamienia czy skaly. Byly bardzo chlodne, choc tu i owdzie wyczuwal bijace z nich cieplo. Niektore z nagrzanym miejsc byly nie wieksze od odcisku palca, inne wielkoscia dorownywaly otwartej dloni.

Zauwazyl, ze cieple punkty znajdowaly sie tylko na scianie naprzeciw drzwi. Po zbadaniu pozostalych scian wrocil do tej najcieplejszej i dokladnie przyjrzel sie jej powierzchni.

Cieple miejsca ukladaly sie wyraznie w ksztalt rozpostartych dloni. Gdy przylozylo sie dlon wewnetrzna strona do najwiekszej plamy ciepła i wyprostowalo palce, ich czubki dotykaly pozostalych cieplych miejsc. Jeden wzor wyraznie odpowiadal prawej, drugi lewej dloni. Byly tak od siebie oddalone, ze aby dotknac ich obu, trzeba bylo stanac tuz przy scianie i rozlozyc rece. Sander zrobil tak i mur pod jego dlonmi zaczal sie gwałtownie nagzewac. Kowal byl jednak na tyle przytomny, by nie odrywac rak. Po chwili zorientowal sie, ze cieplo nie jest tak intensywne, jak wydalo mu sie w pierwszym momencie. Nagle, zdumiony, zamarl w bezruchu. Uslyszal tuz kolo siebie przytlumiony glos... Jakby ktos stal obok niego.

Niewiele zrozumial, zaledwie pare slow; zdumialo go, ze byly czescia znanego mu, tajemnego zaklecia kowali. Na chwile zalegla cisza, po czym ktos powtorzil te same slowa.

Sander zwilzyl wargi. Jakis kowal?... Ktos taki jak on? Coz, nie mial nic do stracenia. Wciaz trzymajac rece przy scianie, donosnym glosem wyrecytowal zaklecie, ktore zawieralo w sobie slyszane przed chwila slowa. Odpowiedzialo mu gluche echo.

I nagle sciana obrocila sie, a wraz z nia czesc podlogi, na ktorej

stal. Przeniosło go na drugą stronę. Tak go to zaskoczyło, że przez chwilę nie mógł się ruszyć. Wreszcie odsunął się od przedziwnej ściany i rozejrzył po nowym miejscu.

Znajdował się teraz w innej sali, trochę większej niż poprzednia. Na środku stał stół o blacie z gładkiego szkła i nogach z metalowych rur. Sander nigdy wcześniej nie widział tak dużej szyby. Poza stołem w pokoju znajdowały się jeszcze dwa taborety, również o szklanych blatach i metalowych nogach.

Na stole leżało pudełko. Jego szerokość dorównywała ludzkiej dłoni, długość - przedramieniu. Wieko pudełka pokrywały małe, różnokolorowe guziki. W pokoju nie było drzwi. A kiedy Sander dotknął ściany, która tak bezceremonialnie go tutaj przerzuciła, nie mógł już wyczuć cieplejszych miejsc.

Zdezorientowany, powoli zbliżył się do stołu i zbadał pudełko. Na guzikach widniały jakieś znaki. Poznał "pismo", którego powierzchowna znajomość chwaliła się Fanyi. Nie miał jednak pojęcia, do czego służyło samo pudełko. Bardzo ostrożnie pochylił się nad nim, by dokładniej obejrzyć przyciski. Może były kluczem otwierającym kolejne drzwi? Nie miał już wątpliwości, że Fanyi znalazła miejsce, którego szukała. Cuda, jakie tu zobaczył, nie mogły się zdarzyć nigdzie indziej.

Przyciski układały się w cztery kolorowe rzędy: czerwony - od ciemnego szkarlatu do jasnego różu - zielony, żółty i brązowy. Ostatni rząd kończył się białym guzikiem. Sander dotknął delikatnie wszystkich przycisków. Nie wyczuł ciepła. Był jednak przekonany, że ich układ miał zasadnicze znaczenie i zastanawiał się, jak wiele różnokolorowych kombinacji można z nich utworzyć.

Gdy minelo pierwsze zaskoczenie, poczul, jak bardzo jest zmeczony i glodny. Wiedzial, ze jesli nie uda mu sie odkryc sekretu pudelka, moze stac sie wiezniem tego pokoju i w koncu umrzec z glodu i wycienczenia. Ile czasu wytrzyma bez wody i jedzenia?

Postanowil sie nie poddawac. Jesli tajemnica kolejnego przejścia znajdowała sie w urządzeniu lezacyem na stole, musi ja odkryc!

Zaczal od pierwszego rzędu... potem drugi... potem oba jednocześnie. Wciskal guziki w kombinacjach, ktore akurat przychodzily mu do glowy. Nastepnie sprawdzil trzeci i czwarty rząd. Dalej nic sie nie dzialo, ale nie poddawal sie. Liczyl sie z tym, ze moze spedzic nad urządzeniem dlugie godziny.

Usiadl na jednym ze stolcow i nacisnal pierwszy guzik z czerwonego rzędu. Wciskal go tylko do polowy i nieoczekiwanie wywolalo to pewien efekt. Nie taki wprawdzie, jakiego najbardziej oczekiwal - zadna ze scian nie obrocila sie, nie odchylila i nie zapadla w podloge. Tyle ze guzik, wcisniety do konca, zostal juz w tym polozeniu.

Sander szybko rozejrzal sie dookola, ale po chwili pudelko znow przykulo jego wzrok. Uslyszal cichy trzask, z boku podniosla sie mala klapka i wysunely dwa niewielkie brazowe szesciany. Przycisk natychmiast powrocil do dawnego polozenia, Sander zas ze zdziwieniem popatrzył na dwa przedmioty, ktore lezaly przed nim na stole.

Najbardziej poruszył go zapach, ktory sie z nich wydobywal. Zapach piezonego miesiwa przygotowanego wprawna reka na wolnym ogniu. Ale jak, dlaczego... i skad tutaj?

Podniosł kostkę, która leżała bliżej. Była ciepła... a jej powierzchnia przypominała świetnie wypieczoną skorupkę. Nie mógł dłużej oprzeć się zapachowi i łapczywie ugryzł kawałek.

Było chrupkie, a smaku nie potrafił określić! Coś jak chleb... ale nie, raczej mięso. Pachniało też jak mięso, ale Sander instynktownie czuł, że nim nie było.

Już wiedział. Smakowało jak smazona ryba. Mogło być nafaszerowane szkodliwymi substancjami lub zatrutymi ziołami, ale nie mógł się opanować i dwoma kęsami pozarł to do końca. Szybko sięgnął po drugą kostkę. I o dziwo, mimo że porcje nie były duże, zaspokoili jego głód. Wzmogły jednak pragnienie. Przyjrzał się teraz pozostałym przyciskom. Czy pudełko mogłoby spełnić i takie życzenie?

Podszedł do sprawy metodycznie. Następny przycisk z czerwonego rzędu dał mu kolejne rybne ciastko, trochę ciemniejsze od poprzednich. Po wciśnięciu kilku zielonych przycisków dostał trzy wafle, które różniły się odcieniami. Odłożył je, razem z rybą kostką, na bok. W żółtym rzędzie udało mu się wcisnąć tylko jeden guzik; wtedy wyjechał na stół mały metalowy pojemnik, wypełniony po brzegi gęstą, jasnokremową substancją. Spróbował językiem. Była słodka. Ostatni rząd... przedostatni przycisk... z pudełka wysunął się trochę większy pojemnik, zawierający podobną substancję, tylko z pianą na wierzchu. Odsunął zewnętrzną warstwę i wypił trochę aromatycznego, gęstego płynu. Nigdy jeszcze nie próbował czegoś takiego. Wychylił całą zawartość pojemnika, choć była ciepła. Smakowała jak śmietana. Była słodka, ale zaspokajała pragnienie.

Ostrożnie włożył rybne ciastko i wafle do kieszeni płaszcza. Nie miał łyżki, więc resztki słodkiej substancji musiał po prostu wylizac. Czy te same przyciski zadziałają znowu i dadzą mu więcej jedzenia? Po raz drugi ustawił guziki w tej samej kombinacji, tym razem jednak nic się nie stało. Czyżby działały tylko raz? Może przez lata zapasy maszyny stopniowo się kończyły, a teraz wyczerpały zupełnie?

Nie miał pojęcia, w jaki sposób działało to urządzenie. Było z pewnością zbyt małe, by zawierało w sobie wszystkie rzeczy, które znajdował na stole. Kucnął, by przyjrzec się pudełku od spodu, ale przez przezroczysty blat stołu zobaczył ze zdziwieniem, że ze wszystkich stron wyglądało podobnie.

Choć nie czuł już głodu i pragnienia, nadal pozostawał więźniem. Gdyby udało mu się przesunąć jeden ze stolików pod ścianę, mógłby dosięgnąć miejsca, w którym ściana się kończyła i przechodziła w łączące ją ze sklepieniem kolumny.

Jednak gdy próbował przestawić taboret, okazało się, że tylko nieznacznie dawał się odsunąć od stołu.

Wzruszył ramionami. Coz... to byłoby zbyt proste. Odkrycie tajemnicy pomieszczenia wymagało cierpliwości i całego sprytu, jakim dysponował. Rhin... gdyby mógł jakos się z nim porozumieć, wiedziałby przynajmniej, na której ścianie należało się skoncentrować, która płaszczyzna kryła w sobie wyjście.

Gwizdnął, a dźwięk wydał mu się dziwnie donosny. Ale odpowiedzi nie było. Słyszał tylko przyspieszone bicie własnego serca. Nagle gdzieś z oddali dobiegło ciche szczekanie. Powtórzyło się wielokrotnym echem, tak że nie umiał stwierdzić,

skąd dochodziło.

Znow uważnie przeszukał ściany. Teraz wiedział już, czego szukać. Poszukiwania nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Po dwukrotnym zbadaniu nigdzie nie wyczuł nagrzanego miejsca. W końcu usiadł na stoliku i oparł się łokciami o stół. Starł się przemyśleć całą sprawę jeszcze raz. Kilkakrotnie sprawdził ściany i nie znalazł nic" nie mógł też wspiąć się po nich do góry. Jak zatem miał się stąd wydostać?

Wiedział, że musi być jakieś wyjście, ukryte tak sprytnie jak poprzednie. Tylko dlaczego, po co te wszystkie zagadki? Wyglądało na to, że twórca tego miejsca (jeśli nie była istotą obcą lub wariatem) zbudował tajemne przejścia, by utrudnić innym dostęp. Wszystko to przypominało jakąś próbę.

Próba... podobalo mu się takie rozwiązanie. Pasowało do tych kilku faktów, które zdążył do tej pory poznać. Nie znalazł jednak celu takiej próby, chyba że chodziło o poznanie inteligencji lub wyobraźni pojmanego. Nie miało to zresztą teraz zbyt wielkiego znaczenia. Najważniejszą rzeczą było wydostać się stąd.

Jak dotąd, metoda prób i błędów oraz zdrowy rozsądek pozwoliły mu rozwikłać dwie zagadki. Po pierwsze znalazł wyjście z poprzedniego pokoju, po drugie - zdobył jedzenie i picie. Obie z tych zagadek wymagały wytrwałości i cierpliwości. Teraz jednak trzeba było dołączyć również element improwizacji.

Nie było sensu dalej trudzić się badaniem ścian. Co więc zostawało? Oczywiście!... podłoga.

Znow stwierdził, że lepiej polegać na dotyku niż na wzroku.

Osunal sie wiec na kolana i na czworakach zaczal przeszukiwac centymetr po centymetrze podloge w calym pomieszczeniu. Nie byla tak gladka jak sciany, ale jej powierzchnia wszedzie byla rowna i nie znalazl nic szczegolnego. Najpierw okrazil caly pokoj, badajac posadzke przy scianach. Potem obejrzel srodek i zdal sobie sprawe, ze przeszukal juz cala powierzchnie. Usiadl, opierajac sie o sciane, i znow zaczal analizowac sytuacje.

Dostal sie tu przez sciane, ktora teraz znajdowala sie dokladnie naprzeciw niego. Jednak od tej strony nie mozna bylo otworzyc przejścia. Znowu przeszukal pozostale sciany i cala podloge. Nie znalazl nic.

Zniechecony, oparl glowe o mur i jeszcze raz uwaznie przyjrzał sie pomieszczeniu. Cztery sciany, podloga i wysoko w gorze sufit, ktory nie laczył sie ze scianami. Poza tym stol, pudelko, ktore dalo mu jedzenie, i dwa stolki, ktorych nie dalo sie przesunac pod sciane.

Stol... taborety... pudelko... Przeszukal juz wszystko. Czyzby tajemnica kryla sie w sercu tego pomieszczenia? Wstal i podszedl do stolu. Taboretow nie mozna przesunac. A przyciski... z pewnoscia mialy tylko dostarczac pozywienie. Nie otwieralo sie z ich pomocą, jak przypuszczal na poczatku, zadnego tajnego przejścia. A stol...

Choc wytezyl wszystkie sily, nie mogl przesunac go nawet o centymetr. Nogi zdawaly sie tylko oparte o posadzke, ale nie chcialy nawet drgnac.

Stol, taborety, pudelko...

Znow pochylił się nad nim i obejrzał dokładnie. Kolorowe rzędy... czerwony, zielony, żółty, brązowy... Czerwień od zarania dziejów była symbolem władzy... ale i niebezpieczeństwa. Czerwony był ogień, który niszczył, i kolor ludzkiej skóry, kiedy człowiek wpadał w gniew.

Zieleń uspokajała wzrok. Barwa wszelkiej roślinności... barwa życia. Kolor żółty... złoto, skarby, słońce... również władza, choć nie tak niszczycielska jak czerwień. A brąz... barwa ziemi... czegoś, nad czym należało pracować, co wymagało trudu...

Po co marnował czas, zastanawiając się nad symboliką kolorów? Musiał się stąd wydostać... Musiał!

Brązowy... to żółte złoto ukryte w ziemi. Zieleń to to, co ją porasta... Czerwień... to ogień, który zabiera jej życie. W jakiś dziwny sposób, jakby poza świadomością, w jego głowie zaczął układać się pewien wzór. Starł się odgonić od siebie absurdalne myśli, działać bardziej konstruktywnie. Ale czy te myśli naprawdę były aż tak głupie? Fani z pewnością by zaprzeczyła.

Przekonana o niezwykłej mocy Szamanów, wierzyła w każde dziwactwo, które dotyczyło umysłu. Sander natomiast nigdy naprawdę nie wierzył w coś, czego nie mógł dotknąć, zobaczyć, spróbować czy usłyszeć.

A jednak w czasie swoich podróży niejednokrotnie napotykał dziwne zjawiska. Jako kowal, używał do pracy głównie żelazo, choć musiał przyznać, że zanim zabierał się do roboty, w jego głowie tworzył się obraz rzeczy, którą chciał wykonać. Nikt inny nie mógł tego zobaczyć. Innymi słowami, on również miał do czynienia z czymś niewidzialnym i nieokreślonym.

Czy teraz, po tych wszystkich przeżyciach, wypadalo całkiem odrzucic obrazy, ktore widzial oczami wyobrazni, a ktore mogly stanowic jedyny klucz do rozwiazania zagadki? Glos, ktory slyszal w poprzednim pomieszczeniu, wypowiedal zaklecia znane kowalom. Co prawda byly w nich rowniez slowa, ktorych Sander zupełnie nie rozumial, ale znaczenia zaklecc byl pewien. Musi wziac to za dobra monete i zaufac swej intuicji, niezaleznie od tego, jak dziwne obrazy mu teraz podsuwala.

-Brazowy - powiedzial na glos i mocno wcisnal najciemniejszy z brazowych przyciskow. - Zloty... - Wyszukal najjaskrawszy guzik, ten, ktory najbardziej przypominal roztopione, wypelniajace odlew zloto. - Zielony... - Nie najciemniejszy, ale ten ze srodka, jasny niczym wiosenna roslinnosc. - Czerwony... - Ostami przycisk mial kolor szalejacych plomieni.

Uslyszal stlumiony zgrzyt. Czesc jednej ze scian rozstapila sie, odslanjajac waskie przejście. Nawet go to nie zdziwilo. Gdy naciskal kolejne guziki, czul, ze udalo mu sie ulozyc nastepny fragment tajemniczej układanki.

Szedl teraz pewnie, choc wiedzial, ze przechodzac do nastepnego pomieszczenia, stanie przed jeszcze inna zagadka.

Za drzwiami nie znalazl pokoju, tylko waski, otoczony pustymi scianami korytarz. Smialo poszedl naprzod. Dzieki rozwiazaniu poprzedniej zagadki odzyskal pewnosc siebie. Nie zdziwil sie tez, gdy po kilkunastu krokach korytarz bez dalszych niespodzianek doprowadzil go do kolejnego pomieszczenia; a gladka powierzchnia drzwi odsunela sie sama, bez zadnego szyfru.

Z wnetrza dobiegal halas: cichy pomruk, jakies tykanie i inne

dzwieki. Sander przystanął. Zastanawiał się, co go tam czeka. Wiedział, że osoba kontrolująca ten dziwny labirynt nie będzie łatwym przeciwnikiem i że bron, która dysponował, z pewnością nie wystarczy w bezpośredniej konfrontacji. Miotacza i noża nie dało się w żaden sposób porównać do dziwnych zjawisk, z jakimi zetknął się w tych podziemiach. Jego uzbrojenie zdawało się tu tak samo prymitywne, jak włocznie czy glazy, którymi ciskali przerazający mieszkańcy rzek. Po chwili namysłu schował miotacz i wszedł do środka nieuzbrojony. Intensywne światło oslepilo go, aż musiał zmrużyć oczy. Zobaczył rzeczy, których natury nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić: pajeczyny z metalu i szkła wyrastały z niskich postumentów, migając mnóstwem kolorowych światełek.

Wśród tych niezwykłości dostrzegł znajomą postać. Rhin podbiegł do niego, szczekając donosnie, jakby widok pana przyniósł mu niezmierną ulgę.

Kojot polizal go po policzku szorstkim jezołem; Sander w zamian poklepał go po grzbiecie. W końcu Rhin był jedynym ogniwem, które łączyło go w tej zadziwiającej podziemnej krainie ze światem zewnętrznym.

Znowu usłyszał ten przytłumiony i jakby mechaniczny głos. Tym razem nie udało mu się zrozumieć ani słowa. Maszyny, jeśli te platanine kabli i lampek można było tak określić, ustawiono pod scianami. Środek pomieszczenia był pusty. Sander przeszedł przez pokój z reka na grzbiecie Rhina. Nie rozpoznawał żadnego z przedmiotów, jakie tu widział, a złożoność ich konstrukcji wprawiała go w zdumienie.

Do czego służyły te wszystkie urządzenia? Gdy przyjrzał się

lepiej sieci przewodow, zauwazyl, ze palily sie nie wszystkie lampki. Czesc konstrukcji lezala zniszczona i popekana. Z pozostalych maszyn dobywal sie wysoki dzwiek, ktory draznil Rhina. Pisk byl tak przenikliwy, ze Sander zadrzal.

Nigdzie jednak nie widzial zywych istot. Zawolal Fanyi; odpowiedzialy mu tylko trzask i brzezzenie maszyn.

-Kim jestes? - Po raz pierwszy odwazyl sie skierowac pytanie do Glosu. Nie bylo odpowiedzi.

Z Rhinem u boku, w kazdej chwili gotow do odparcia ataku, przeszedl przez pokoj. I natrafil na kolejne wejście. Sala, do ktorej wszedl, wygladala zupełnie inaczej.

Na srodku zobaczyl owalne wglebienie, na pierwszy rzut oka wypelnione woda. Dookola poustawiano miekkie fotele. Po chwili zorientowal sie, ze otworu w posadzce nie wypelniala zadna ciecz. Byl po prostu przykryty szklem lub przezroczystym metalem.

Zostawil Rhina przy wejściu, a sam przeszedl miedzy fotelami (one tez byly przymocowane na stale do podlogi) i przyjrzel sie uwaznie ciemnoniebieskiej, szklanej powierzchni. Ta tafla z pewnoscia takze, podobnie jak pudelko zjedzeniem, miala jakies konkretne i wazne zastosowanie. Samo ustawienie foteli sugerowalo, ze niegdys gromadzili sie w tym pokoju ludzie, by przygladac sie gladkiej, polyskujacej tafli.

Nie bylo to jednak lustro, bo choc nachylil sie nisko, nie dostrzegl swojego odbicia. Nigdzie tez nie zauwazyl przyciskow. Podchodzil po kolei do kazdego fotela i ogladal go z bliska.

Wreszcie znalazł się po przeciwnej stronie owalnego kregu; zwrócił uwagę, że fotel, przy którym się zatrzymał, był inny. Miał szersze podłokietniki, a na nich rzędy przycisków z nadrukami, które Fanyi nazywała pismem.

Usiadł ostrożnie. Fotel był bardzo wygodny; Sanderowi wydawało się nawet, że oparcie dopasowało się do kształtu jego ciała.

Przyjrzał się przyciskom. Był pewny, że coś je łączy ze szklaną powierzchnią, która miał teraz prawie pod stopami. Tylko co?

Na każdej podłokietnicy biegły dwa rzędy guzików, ułożonych tak, aby po oparciu rąk były łatwo dostępne. Istniał tylko jeden sposób, aby poznać ich zastosowanie. Palcem wskazującym prawej ręki wcisnął pierwszy guzik.

Nie stało się nic; Sander był nieco rozczarowany. Ale to dopiero jeden przycisk. Część z nich stała się zapewne z upływem lat całkiem bezużyteczna. Miał nadzieję, że uda mu się dowiedzieć, dlaczego zbierano się tu kiedyś, by oglądać jednolitą, nie dającą odbicia powierzchnię.

Wcisnął kolejny guzik. Znowu bez rezultatu. Jednak trzeci przycisk wywołał zadziwiający efekt. Na gładkiej powierzchni zatęczały kolorowe światła. Tworzyły linie, a te z kolei układały się w nieregularne kształty. Sander, zaciekawiony, pochylił się do przodu. Próbował wyczytać coś z tej chaotycznej kombinacji drobnych świetlnych punktów.

Zobaczył cztery... nie, pięć wzorów. Dwa były połączone pojedynczą linią, dwa inne krzyżowały się. Dookoła dostrzegł też inne, mniejsze. Nie mógł pojąć, według jakiej kombinacji je ułożono.

Choc uważnie przyglądał się wzorom, nie mógł dopatrzeć się w nich żadnego znaczenia. Wcisnął kolejny guzik i wzor zniknął. Pojawiły się nowe linie, które utworzyły inną kombinację: wiele światełek pogasło, a linie stały się zamazane i słabo widoczne.

-To nasz świat...

Sander odwrócił się błyskawicznie, odruchowo chwytając za rekojesc noża. Nie usłyszał ostrzegawczego warknięcia Rhina i bardzo go to zdziwiło. Głos nie pochodził przecież znikąd, tak jak przedtem. Słowa te wypowiedział człowiek, który kustykał teraz w jego kierunku. Uważnie się nawzajem obserwowali.

Obcy nie prezentował się imponująco. Dawniej musiał być wysoki, teraz jednak garbił się i pochylał nieco na bok. Wydęty brzuch i obcisły, jednolicie szary ubiór podkreślały nienaturalną chudość ramion i nog. Głowa porastała przyproszona siwizna szczecina, zupełnie jakby najpierw ogolono ją, a potem pozwolono włosom odrosnąć na parę centymetrów. Na pokrytej bruzdami twarzy nie było zarostu prócz cienkich wąsików. Skóra nieznajomego miała tak blady odcień, że Sander w pierwszej chwili pomyślał o Białoskorych. Ich karnacja pozbawiona była jednak niezdrowego, szarego zabarwienia.

Obcy człowiek trzymał w obu drżących dłoniach jakąś rurkę. Sander uznał, że to bron. Przypomnił sobie wszystkie przedziwne przedmioty, z jakimi się tu zetknął. Mogł się spodziewać, że ta bron jest bardzo niebezpieczna.

-To nasz świat - powtórzyła zjawą, krztusząc się i kaszląc okropnie. Sander usłyszał skomlenie kojota. Rhin, który nieraz wychodził zwycięsko z potyczki z ogromnymi bykami, który

potrafil je powalic i przytrzymac do przybycia pasterzy, przywarl teraz do posadzki, pokonany. Kowal czul narastajacy gniew.

-Co z nim zrobiles?

Nieznajomy usmiechnal sie nieprzyjemnie.

-Musi sie nauczyc, ze nie wolno bezkarnie szczerzyc na mnie klow... Jestem Maxim... Miej sie na baczności, chłopcze! - Zrobil gest, ktorym obejmowal cos wiecej niz pomieszczenie, w ktorym sie teraz znajdowali. - Mam Moc, o ktorej nawet sie nie snilo tym twoim biednym barbarzyncom! Jestem Maxim, jeden z Wybrancow. To my przewidzielismy... przygotowalismy sie na... To my ocalilismy wszystko, co bylo kiedyś znane ludziom! - Na dzwiek glosu Maxima Rhin zaskamlal jeszcze zalosniej. Sander pomyslal, ze ten czlowiek dawno juz przekroczyl cienka granice miedzy zdrowym rozsadkiem a obledem.

-Tak, tak - ciagnal dalej szaleniec. - Zachowalismy... przezyalismy. To my jestesmy jedyna inteligencja tej planety, jedyna na niej cywilizacja. Spojrz na mnie, prostaku... Jestem Maxim! Zgromadzilem tu... - uniosl guzowaty palec i dotknal swojego czola - ...wiecej informacji, niz ty zdolalbys zebrac w ciagu calego zycia. Myslisz, ze uda ci sie to teraz ukrasc? Nie ma mowy. Twój umysl jest tak ograniczony... ze nie rozumiesz nawet, ilu rzeczy nie wiesz. Nie masz nic wspolnego z Praludzmi. Nie jestes nawet w polowie taki jak oni!

Jego chaotyczna wypowiedz stawala sie coraz bardziej obelzywa. Widzac zachowanie Rhina, Sander szybko sie zorientowal, ze ten szaleniec dysponuje niebezpieczna bronia i ze uzyje ja bez wahania. Aco z Fanyi i kunami? Teraz byl juz absolutnie pewien,

ze to właśnie tego miejsca szukała dziewczyna. Tylko czy spotkała Maxima? I jak skończyło się dla niej to spotkanie? Widział przerazenie Rhina i ogarniała go coraz większa wściekłość. Wyobrażnia podsuwała mu różne obrazy. Czy ten opętaniec zabił Fanyi?

-Czego chcesz? - spytał starzec. - O co pragniesz zapytać Maxima? Chcesz poznać techniki zabijania? Mogę pokazać ci takie, od których włosy zjeżdżają ci się na głowie. Tak, znaleźliśmy, znaleźliśmy je wszystkie! Znamy choroby, które powalają nieswiadomych jak muchy. Potrafimy odebrać człowieka z jego własnej woli, odebrać mu rozum, by nam służył. Możemy, wciskając tylko jeden guzik, zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasto. To my rządymy światem. To my zbudowaliśmy to miejsce, bo wiemy, że nasza cywilizacja musi trwać. Udało nam się ją zachować. Przeżyliśmy...

Zamilkł gwałtownie, a z jego twarzy zniknęło ożywienie. Przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego i wypalonego, jakby sam stał się ofiarą niszczącej umysłu broni, o której opowiadał.

-Żyjemy - powtórzył - żyjemy dłużej niż ktokolwiek przed nami. A po nas będą żyły nasze dzieci... Jak myślisz, prostaku, ile mam lat?

Sander bał się odezwać. Wolał nie drażnić tego szaleńca jakas błędną odpowiedzią.

-Wszyscy ludzie - powiedział w końcu, starannie dobierając słowa - umierają w określonym czasie. Nie wiem, jak długo wy żyjecie.

-Pewnie, że nie wiesz! - Mężczyzna pokiwał głową. - Jestem jednym z Dzieci. Mam już, według waszych obliczeń, prawie dwadzieścia lat.

Sander pomyślał, że to niewykluczone. Ciekawe, ilu tu jeszcze było potomków Praludzi, którzy otrzymali w spadku (jeśli właściwiej zrozumiał słowa Maxima) najgorszą część tej wiedzy, jaką zgromadzili przedstawiciele zaginionej cywilizacji?

-Pracuję dwadzieścia lat - powtórzył Maxim. - Byłem mądrzejszy, rozumiesz? Nie chciałem ryzykować życiem, wędrować po martwym świecie i wiazać się z barbarzyncami. Mówiłem im, że źle robią. Powiedziałem Langowi, co będzie - zaśmiał się - i miałem rację. Prostaku, wiesz, jak umarł Lang? Gwałtowny ból brzucha... Coś, co można było wyleczyć prostą operacją. Ona mi to powiedziała... Twierdziła, że jest jego córką. Kłamala, oczywiście. Nikt z nas nie związałby się w ten sposób z żadnym z tych barbarzynców. Kłamala, ale nie mogłem jej za to ukarać. Miała przy sobie jego nadajnik. Od początku wszystko było zorganizowane tak, by uniknąć kłopotu. Było nas tak niewielu... Mogliśmy siedzieć tu zamknięci przez wiele lat. Nie należało pozwalać sobie na spory i kłopoty. Wszyscy mieliśmy takie nadajniki, dla własnego bezpieczeństwa. Widzisz, prostaku, jak dobrze byliśmy zorganizowani? Nie było problemu, z którym byśmy sobie nie poradzieli. Dzieci, takie jak Lang, też miały nadajniki. Dostawały je tuż po urodzeniu. Wszystko zostało dokładnie przemyślane. Wielki Mózg, zamknięty w szczelnym pomieszczeniu, pomyślał o wszystkim. On wie wszystko. Od jakiegoś czasu nie kontaktował się z nami w ogóle. Oczywiście, nie było takiej potrzeby. Ja, Maxim, wiem wszystko, co potrzeba.

-A dziewczyna, która powiedziała ci o śmierci Langa... - nie było

watpliwosci, ze szaleniec mowil o Fanyi - gdzie teraz jest?

Maxim zasmial sie szyderczo.

-Oklamala mnie, wiesz? Nikt nie powinien tego robic. Potrafie czytac w myslach, jesli chce. Widze, co myslisz, prostaku! Gdy sie zjawila, wiedzialem, ze przyjda i inni. Uzylem... - Przerwal i uwaznie przyjrzel sie Sanderowi. - Sprowadzilem cie tu, prostaku. To bylo zabawne, bardzo zabawne. Te stare pokoje-zagadki. Obserwowalem twoje zmagania. Ona nie musiala tamtedy isc. Miala nadajnik. Jesteś bystry, nie tak jak ludzie oczywiscie, ale to bylo naprawde zabawne. Inni, tacy jak ty... Chcieliby zawladnac moimi skarbami, ale mam sposoby, by ich powstrzymac. Skoro udalo ci sie przejsc przez pokoje-zagadki, wiedzialem, ze musze cie tutaj sciagnac... dla wlasnego bezpieczenstwa.

-Jestem tu - powiedzial Sander. - Ale dziewczyna... Co z nia zrobiles?

-Co z nia zrobilem? - zachichotal stary czlowiek. - Nic. Nic nie zrobilem. Nie bylo potrzeby. Wielki Mozg potrafi broniec sie sam. Wysluchalem jej, wskazalem droge i pozwolilem odejsc. Nie musialem sie nia wcale przejmowac. Nawet byla mi za to wdzieczna. Ja... - Jego obwisla, zwiotczala twarz przybrala wyraz zaklopotania. - Miala w sobie cos. Ale to, niemozliwe, zeby taka prostaczka posiadala cechy, ktorych Maxim nie potrafilby okielznac! Panowac nad zwierzetami... to tez nie problem! Zobacz, jak twoje nedzne bydle sie mnie boi. Teraz mam inny problem... Co z toba zrobic? Nie masz nadajnika, wiec mozna toba kierowac.

-Alez mam! - Sander nie wiedzial, ile prawdy bylo w slowach tego dziwaka, ale musial cos zrobic, wykonac jakis ruch. Wiedzial, ze trzeba przeciwstawic sie tej nedznej karykaturze czlowieka.

-Nie mozesz go miec! - Maxim mowil jak uparte i rozzloszczone dziecko. - Lang dostal ostatni. Zostawil mnie tu, choc probowalem go zatrzymac! Byl naprawde glupi! Najmlodszy ze wszystkich dzieci, nie wiedzial wystarczajaco wiele. Zabral ostatni nadajnik. Nie dzialaja dlugo, najwyzej piecdziesiat lat. Potem trzeba je naladowac. Nawet jesli masz ktorys, i tak juz nie dziala. To moglby byc ten zabrany przez Robara... a on wyruszył na dlugo przed Langiem. Nie nabierzesz mnie, prostaku! Pamietaj, jestem Maxim, a wiedza Dawnych Czasow nalezy do mnie!

-Pokaze ci. - Sander powoli siegnal do kieszeni plaszcza. Widzial, ze Maxim celuje dziwna rura prosto w niego, ale musial sprobowac. Wyciagnal metalowa przepaske.

-To nie nadajnik, prostaku! - zaskrzeczal Maxim. - Jesteś głupszy od tego bydlecia. Nadajnik! Nawet nie wiesz, co znaczy to slowo. Ona tez nie wiedziala. Myslala, ze to magia... magia, w ktora wierza przesadni glupcy! A teraz ty pokazujesz mi kawalek plecionego drutu i nazywasz to nadajnikiem!

Prowokujac Maxima do dzialania, Sander wlozyl opaske. Mial nadzieje, ze uda mu sie jakos wykorzystac fakt, ze ta kreatura uznala go za przesadnego glupca.

-To Chlod Metalu - powiedzial powaznie. - Sluzy mi, bo jestem jednym z tych, ktorzy na co dzien wykuwaja metal. - Zaczal wypowiedac kowalskie zaklecia.

Maxim ożywił się.

-To... to formuła - powiedział. - Ale przekreciłeś słowa. Powinna brzmieć tak... - Starzec powiedział coś, co przypominało niezrozumiały bełkot Zapamiętywaczy. - Tak powinna brzmieć. Jednak wiesz trochę o Dawnych Czasach, prostaku. Ale co to takiego ten Chłód Metalu? To dla mnie nic nie znaczy! Poza tym... dość już czasu na ciebie zmarnowałem. Chodź tu!

Nacisnął przycisk na rurce, którą trzymał w dłoni. Sander poczuł nagły dreszcz. Coś ciągnęło go do przodu, ta sama siła, która przywiodła go tutaj. Kurczowo zacisnął ręce na poręczach fotela.

Metal... Chłód Metalu. Wiara w Pradawną Mądrość, teraz nadszarpnięta przez tego człowieka, była jego jedyną bronią.

Skoncentrował wszystkie swoje siły w rękach, żeby tylko nie oderwać ich od fotela. Zacisnął zęby. Opaska znów zdawała się nagrzewać. Nie... tym razem nie ustąpi!

Twarz Maxima napięła się i poczerwieniała. Starzec otworzył usta, pokazując biały język i żółte, polamane zęby.

-Pojdziesz! - krzyknął piskliwie.

Sander zaparł się w fotelu. Szybko zbliżał się do punktu, w którym ból stanie się nie do wytrzymania i będzie musiał się poddać. Wiedział, że jeśli tak się stanie, to już po nim. Był tego pewien, choć nie wiedział, skąd.

Między nim a Maximem pokazała się świetlista luna. Zacisnięte na poręczach fotela palce zdrewniały zupełnie. Czuł, że głowa pali

mu sie zywym ogniem. Musial...

Brunatny ksztalt przemknal w powietrzu i rzucil sie na Maxima. Rhin przewrocil szalenca, przygwozdzil do podlogi i probowal zacisnac kly na jego szyi.

Mieczyczna wypuscil z reki rurke i w tej samej chwili napor na glowe Sandera zelzal. Kowal zdazyl jeszcze krzyknac na Rhina, by nie zabijal Maxima. Nie mogl pozwolic kojotowi zagryzc tamtego z zimna krwia. To przeciez tylko stary, oblakany czlowiek. Najwazniejsze teraz to jak najszybciej odnalezc Fanyi i ostrzec ja. Sander nie wiedzial wprawdzie, na czym polegala pulapka, ktora zastawil na nia Maxim, ale byl pewien, ze dziewczyna nie wyszlaby z niej zywa.

Skrepowal Maxima i przywiazal go do jednego z foteli.

Gdy skonczyl, krzyknal na Rhina:

-Fanyi, znajdz Fanyi!

Kojot caly czas obserwowal zwiazanego, szczerzyl zeby i warczal. Wyraznie chcial skonczyc z szalonym starcem. Sander podszedl do Rhina, poklepal go po grzbiecie, nachylil sie i powtorzyl:

-Fanyi.

Nawet tutaj zapach dziewczyny musial byc bardzo wyrazny, a Rhin to przeciez doskonaly tropiciel. Kojot spojrzal na kowala, szczeknal cicho i szturchnal go w ramie. Wygladal na zdziwionego faktem, ze Sander chce zostawic Maxima przy

zyciu. Kowal wiedzial, ze zdumienie Rhina bylo calkiem uzasadnione, ale nie potrafil po prostu zabic bezbronniego teraz starca ani pozwolic na to kojotowi.

Zabicie kogos we wlasnej obronie lub w obronie bliskich bylo uzasadnione. Nie zawahalby sie w potyczce z wodnymi stworami lub bladokorymi barbarzyncami, lesnymi dziwadlami czy czlekokształtnym potworem na wyspie. Wszystkie te stworzenia przerazaly go i napawaly obrzydzeniem. Nie potrafil jednak zamordowac z zimna krwia, wychudzonego starca.

Schylil sie i podniosl z ziemi bron, ktora upuscil Maxim. Nie mial pojecia, jaka moc w niej drzemala i jak nalezalo jej uzywac. Teraz liczył sie przede wszystkim czas. Trzeba bylo odnalezc Fanyi, zanim spotka ja jakies nieszczęście.

-Fanyi! - powtorzył po raz trzeci, odganiając Rhina od jenca. Kojot znow szczeknal, tym razem glosniej, i ruszył do przodu. Okrzykli rzad foteli i pobiegli dalej. Sander z trudem nadazal za Rhinem, ktory sunal tak pewnie, jakby dokladnie wiedzial, dokad isc. Moze zreszta zauwazyl, w ktora strone Maxim poslal dziewczyne.

Kowal nie wierzył, ze staruch byl jedyna osoba, ktora zamieszkiwala to miejsce. Wspomnial wprawdzie tylko o dwoch niezyjacych juz towarzyszach, ale nie musialo to wcale znaczc, ze kolonia, ktorej udalo sie przetrwac kataklizm Mrocznych Czasow, wyginela doszczetnie. Poza tym Sander bal sie, ze kojot nie ostrzeze go przed kolejnym niebezpieczenstwem, tak jak nie uprzedzil go o pojawieniu sie Maxima. Wiedzial, ze Rhin mogl zbuntowac sie przeciwko woli szalenca tylko dlatego, ze ten cala uwage poswiecil kowalowi.

Przemierzali kolejne pomieszczenia i korytarze. W niektórych stały jakies urządzenia; inne, zastawione kanapami i dziwnymi meblami, musiały kiedyś służyć za pokoje mieszkalne.

W końcu dotarli do pomieszczenia, w którym ustawiono maszynę z jedzeniem, większą od tej, którą widział wcześniej. Urządzenie miało też więcej różnokolorowych przycisków. Sander wcisnął różne kombinacje guzików, a maszyna wyrzuciła rozmaite ciastka i kubki z wodą. Najedli się obaj i jeszcze wystarczyło, żeby zrobić solidny zapas. Wode Sander przelał do bukłaka, a żywność upchnął w jednej z toreb. Nie wiedział, jak to było możliwe, że to urządzenie produkowało takie ilości jedzenia; zresztą, nie interesowało go to teraz specjalnie. Ważne, że posiłek smakował im obu. Nie przyszli tu przecież, by zgłębiać tajemnice tej maszyny.

Wreszcie mineli labirynt pokoi i dostali się do ogromnej sali. Jej ściany wykonano z gładkiego tworzywa; po obu stronach paliły się podłużne lampy. Powietrze było tu rześkie i świeże. Sander cały czas podziwiał konstrukcję podziemnej bazy i zastanawiał się, jak ogromna wiedza musieli dysponować jej budowniczowie.

Miał nadzieję, że będzie mu jeszcze dane wrócić do sali, w której zostawił Maxima, i przestudiować uważnie szklaną, wypełnioną świetlistymi wzorami powierzchnię. Jeśli zwariowany starzec miał rację i układ światel i linii odwzorowywał obecny świat, to maszyna musiała także pokazywać dawny wygląd planety.

Przypominał sobie teraz, jak bardzo pierwsze kontury różniły się od tych, które maszyna wyświetliła później. Jeśli rzeczywiście od czasów kataklizmu zaszły tu tak ogromne zmiany, jakim cudem sieć tych podziemnych tuneli ocalała niemal nienaruszona?

Wiedział, że mieszkańcy podziemnej osady potrafili chronić się przed ingerencją intruzów z zewnątrz, ale nie mógł zrozumieć, w jaki sposób obronili się przed furia szalejących żywiołów - trzęsien ziemi, erupcji wulkanów, powodzi...

Długie pomieszczenie zdawało się nie mieć końca. Rhin co chwila opuszczał pysk, weszyl i skomlał cicho. Byli na właściwym tropie... na dobrej drodze... Tylko dokąd miała ich zaprowadzić?

Na koncu sali była rampa, która zaprowadziła ich w dół. Lampy rozmieszczono tu znacznie rzadziej; między nimi panował cien. Początkowo droga łagodnie zbiegała w dół, później jednak zrobiła się bardziej stroma. Cokolwiek Praludzie chcieli ukryć w tym miejscu, schowali to tak głęboko, by nie mogły tutaj wtargnąć wrogie siły natury.

Powietrze w korytarzu nie było już takie świeże i rześkie jak wyżej. Miało cierpki i gryzący zapach. Sander zaczął pokasływać. Maxim ostrzegł go, że miejsce, do którego wysłał dziewczynę, ma własny system obrony. Nie można było tego lekceważyć. Jakiego to określenia użył starzec... Wielki Mózg? Sander żałował, że gdy była po temu okazja, nie słuchał uważniej opowieści Zapamiętywaczy. Teraz nie pamiętał, czy któraś z nich wspominała o czymś takim.

Pomyślał, że będa tak wędrować w nieskończoność, aż do środka ziemi, ale w pewnej chwili korytarz wyrownał się i biegł teraz płasko. Światło lamp było tu przytłumione przez kurz i pajęczyny. Podłogi również nie sprzątano od wielu lat, ale nawet w tym słabym świetle kował dostrzegł ślady stop i łap. Mogła je zostawić tylko dziewczyna, wędrując razem z kunami.

Było coraz zimniej. Sander naciagnął kaptur. Przy każdym oddechu para leciała mu z ust. Rhin poczekał na swojego pana i szli teraz obok siebie. Kojot co jakiś czas popiskiwał cicho.

W cieniu przed nimi coś się poruszyło. Sander zatrzymał się, wsadził za pasek broni, którą zabrał Maximowi, i wyciągnął miotacz. Rhin warknął ostrzegawczo. W odpowiedzi kowal usłyszał przedziwny dźwięk, przypominający odgłos młota uderzającego o metal.

Coś toczyło się teraz w ich kierunku. Nie była to, o ile w słabym świetle mógł się zorientować, żywa istota. Bardziej niż do zwierzęcia podobne to było do blaszanego czajnika, jakich ludzie Klanu używali podczas jesiennego święta. Obiekt wolno, lecz nieubłaganie zbliżał się w stronę Sander i Rhina. Poruszał się na kółkach, ale najbardziej zdziwiły i przeraziły kowala metalowe ramiona różnej długości, którymi dziwna maszyna wymachiwała. Każde ramie uzbrojone było w potężne szczęki, które co chwila zamykały się i rozwierały. Były w nieustannym ruchu, szorując po podłodze i ścianach. Wypełniały sobą cały korytarz. Z całą pewnością nie udało by się tego dziwadła pokonać za pomocą miotacza, niezależnie od tego, jak celny byłby strzał. Rhin, warcząc, minął kowala i rzucił się na przeciwnika. Nie mógł się jednak przedrzeć przez gesta sieć ramion, które zwróciły się teraz przeciwko niemu. Trzask metalowych szczęk nasilił się.

Kojot tańczył między nimi i próbował ugryźć maszynę. Cały czas musiał jednak uważać na ostre szczęki i wycofywać się, by uniknąć ciosu. Sander sięgnął po broń Maxima. Jeśli miała jakkolwiek moc, teraz właśnie należało ją wykorzystać. To była ich ostatnia szansa w walce z mechanicznym przeciwnikiem.

Trzymając w lewej ręce rurkę, która kształtem po trochu przypominała miotacz, kowal przyjrzał się jej i mocno nacisnął kciukiem prawej ręki dolną część. Przedtem jednak przywołał do siebie Rhina. Nie wiedział, jaki efekt wywoła użycie nowej broni.

Z rurki wystrzelił świetlisty promień, który przemknął obok kojota i trafił w sam środek blaszanego urządzenia. W pierwszej chwili nie przyniosło to żadnego efektu. Sander zaczął się wycofywać. Rhin znowu był przy nim, a wirujące w powietrzu szczęki zbliżały się coraz bardziej.

Po chwili jednak w miejscu, gdzie padł promień, pojawiła się czerwona plama i zwiększała się z każdą chwilą. Promień jakby wnikał w metalowe cielsko i palił je od środka. Maszyna zdawała się tego w ogóle nie zauważać. Przeciwnie, przyspieszyła i parła w ich kierunku jeszcze bardziej zawzięcie. Jedno z ramion chwyciło stojącą z boku lampę i szybkim ruchem przecięło ją na pół, jak noż tnie masło.

Sander gwizdnął na kojota, nakazując odwrot. Chciał rzucić się do ucieczki, ale wiedział, że aby powstrzymać to metalowe monstrum, rozsądniej będzie cofać się powoli, cały czas razić promieniami już naruszone miejsce.

Ślad po strzale ściemniał teraz. Widocznie promienie przedostały się już przez zewnętrzny pancerz. Kowal starał się, by cały czas padały w to samo miejsce. Próbowal cofać się z taką samą prędkością, z jaką maszyna zbliżała się do nich.

Nagle pomieszczenie rozjarzyło się oslepiającym blaskiem. Sander wrzasnął i oparł się na Rhinie. Nie widział kompletnie nic. Czuł tylko, że nadal się cofają. W końcu dotarli do miejsca, w

którym rampa łączyła się z długim, przestronnym pomieszczeniem. Dopiero tam zorientował się, że od paru chwil nie słychać już brzęku i trzasków, jakie wydawała maszyna. Promień musiał ją w końcu uszkodzić i zatrzymać.

Kowal cofnął się jeszcze kawalek, wciąż mrugając. Przez moment przemknęła mu przez głowę przerażająca myśl. Co będzie, jeśli wybuch okaleczył go na trwałe i nigdy już nie odzyska wzroku?...

Rhin uwolnił się i gdzieś pobiegł, nie reagując na wezwanie. Po chwili wrócił. Nosił coś w pysku i warczał.

Sander poczuł ciepło rozgrzanego metalu. Schował za pas broni Maxima i po omacku przesunął się do przodu. Jego dłonie natrafiły na zgięty metalowy pret. Na końcu preta wymacał nieruchome metalowe szczęki.

Udało mu się unieszkodliwić maszynę! Jednak radość nie była pełna. Wybuch go oslepił może nawet na trwałe. Co teraz robi?

Odpędził od siebie te myśli. Najważniejsze, że skutecznie powstrzymał dziwną maszynę. Nie musieli już teraz uciekać. Nie był zresztą sam... Wiedział, że Rhin ostrzeże go przed kolejnym niebezpieczeństwem. Uważał, że lepiej iść do przodu, niż cofać się w labirynt pokoi, gdzie zostawił Maxima. Jeśli starzec dowie się o jego niemocy, spróbuje uwolnić się i zemścić.

Złapał mocno za uprzęź Rhina i ruszyli. Po chwili poczuł się znacznie lepiej. Musieli mijać właśnie jedną z lamp, bo zauważył słaby blask. Wyraźnie odzyskiwał wzrok.

Kojot szedł bardzo powoli i niebawem zatrzymał się, poszczekując z cicha. Sander, cały czas trzymając się uprzeży, chwycił żelazne ramie, które przyniósł Rhin, i sprawdzał nim drogę przed sobą. Metal uderzył o metal. Zorientował się, że stoja nad rozbitą maszyną.

Przykleknał i obmacał ją. Metal, gorący i powyginany. Z trudem usunął na bok zniszczone żelastwo. Lzawiły mu oczy, gęste łzy płynęły po zakurzonych policzkach. Widział już jednak trochę lepiej, na tyle, że mógł uprzatnąć przejście.

Wznowili marsz. Kowal cały czas trzymał się Rhina i ostukiwał metalowym ramieniem drogę przed sobą. Nie chciał się potknąć o jakiś leżący w przejściu przedmiot. Oczy szczypały go, ale wiedział, że nie powinien ich trzeć brudnymi rękami. Czy przed nimi było więcej takich maszyn? Nie musiał się teraz o to martwić. Wiedział już, jak się przed nimi bronić. Przypomniał sobie jednak, co Fanyi mówiła o lampie i o tym, że czas jej działania jest ograniczony. Tak jak inne wynalazki Praludzi, i ta bron mogła wkrótce przestać działać. Może nawet już wyczerpał cały zasób jej energii.

Kichał i krztusił się. Dym, jaki wydobywał się z rozbitego blaszanego urządzenia, dławił w gardle i drażnił nos. Rhin również dyszał ciężko. Na szczęście kowal odrozdnił już poszczególne kształty i widział blask lamp porozstawianych wzdłuż ścian. Maxim powiedział mu, że to, czego szukała dziewczyna, jest dobrze chronione. Czyżby ta przedziwna maszyna była jednym z zabezpieczeń?

Przesunął dłoń po metalowym ramieniu i uważnie zbadal szczęki. Już same w sobie były niebezpieczną bronią.

Przypomnialy mu sie rowniez inne wynalazki... choroby, o ktorych wspomnial starzec. Jakimi ludzmi byli jego krewni i towarzysze? Bładoskorzy i Morskie Rekiny mordowali i wycinali w pien cale osady, ale nie zabijali z daleka i zawsze narazali przy tym wlasne zycie. Przypomnial sobie teraz lesna samice i potwora z wyspy. Wszystko to byly istoty z krwi i kosci, a motywy ich dzialania dawalo sie tak czy inaczej wyjasnic. Ale to metalowe monstrem i inne rodzaje broni, o ktorych Maxim opowiadal z takim zachwytem...

Zemdlilo go, a nie byl to tylko efekt dzialania kurzu i dymu. Podziemny labirynt napawal go coraz wieksza odraza. Moze ludzie, ktorzy go zbudowali, z natury byli po prostu szaleni? Moze Maxim odziedziczyl swoje szalenstwo po przodkach?

Korytarz skrecal gwałtownie. Powietrze bylo tu czysciejsze, choc swiatlo nadal pozostawalo przytlumione. Sander badal metalowym ramieniem droge i czujnie nasluchiwal nawet najdrobniejszych szmerow. W pewnym momencie zdal sobie sprawa, ze wychwytuje wokol siebie jakies dudnienie, coraz wyrazniejsze w nieruchomym powietrzu. Gdzies juz slyszal ten dzwiek. W puszczy! - przypomnial sobie. Gdy napadli ich lesni ludzie!

Ale tu nie bylo zadnych drzew, tylko sufit wysoko nad nimi. - Rhin - powiedzial glosno. Brzmienie znajomego imienia dalo mu poczucie, ze nie jest sam w tym obcym swiecie.

Kojot nie wydal glosu, musnal tylko pyskiem policzek Sandera. Kowal wyczul w tym napieciu, zupełnie jakby Rhin oczekiwal na zblizajace sie niebezpieczenstwo. Sygnal byl silniejszy i bardziej wyrazny, niz zdarzalo sie to wczesniej. Jednoczesnie kojot caly

czas zachowywał się wyjątkowo cicho. Nie warknął ostrzegawczo ani razu. Sander wyciągnął z kieszeni drugą opaskę i założył ją zwierzęciu na szyję.

Ruszyli dalej. Cały czas mieli wrażenie, że towarzyszy im bicie ogromnego serca, które pracowało w trochę innym rytmie niż serce Sander. Kował raz po raz mrugał podrażnionymi przez kurz oczami. W końcu nie wytrzymał i wyjął buklak z wodą. Zmoczył kawałek koszuli i przyłożył wilgotny kompres do spuchniętych powiek. Powtórzył te operacje trzy razy i po chwili mógł już wyraźnie zobaczyć miejsce, w którym się znajdowali.

Przed sobą miał szczelnie zamknięte drzwi. Nigdzie nie dostrzegł zamka ani klamki, tylko na ścianie obok wejścia, na wysokości głowy, widział niewielki otwór. Sądził, że jeśli włoży tam palec, drzwi otworzą się lub odsuną na bok. Nic takiego się jednak nie stało.

Czyżby więc i tu należało wykorzystać broni, którą odebrał Maximowi?

Wyciągnął rurkę zza paska. Nie wiedział, jaki efekt przyniesie teraz jej użycie - mogła równie dobrze zaszkodzić, jak pomóc. Nie mógł jednak po prostu poddać się i odejść.

Przecież Fanyi też musiała dostać się tutaj. W jaki sposób ominęła blaszanego wartownika? Czy medalion, który dostała w spadku po ojcu, otworzył jej drogę? Uważnie zbadał otwór w ścianie. Zgadywał, że wielkością odpowiada niemal dokładnie medalionowi dziewczyny.

Sam nie miał czegoś takiego, wciąż jednak mógł użyć narzędzia,

które zabral Maximowi. Podszedł do jednej z lamp, by bliżej przyjrzec się broni. Oprócz przycisku, którego użył do zniszczenia metalowego strażnika, znalazł jeszcze cztery inne.

Był tylko jeden sposób, by poznać ich działanie. Odpedził Rhina, by zwierze nie ucierpiało w razie jakiegos nieprzewidzianego wypadku, i umieścił koniec urządzenia w otworze przy drzwiach. Wcisnął pierwszy guzik.

Nic się nie stało. Tylko Rhin zawył cicho i pochylił łeb, zasłaniając go przednimi łapami. Sander szybko zdjął palec z przycisku. Czy tego właśnie użył Maxim, by podporządkować sobie zwierze?

Kojot gwałtownie potrząsnął głową. Warczał glucho, patrzył na kowalę i szczyrzył kły.

Reakcja zwierzęcia o mało nie odwiodła Sandera od sprawdzenia reszty przycisków. Nie miał ochoty wywoływać wściekłości kojota. Nie wiedział, w jaki sposób mu wytłumaczyć, że to, co zrobił przed chwilą, było nieumyślne.

Nie miał czasu na eksperymenty. Zdecydował się od razu użyć promieni, które zniszczyły metalową maszynę. Przedtem jednak musiał się zabezpieczyć. Nie chciał, by blask znowu go oslepił. Owinał sobie głowę mokra koszula, a Rhina wysłał z powrotem w głąb korytarza. Wtedy dopiero włożył koniec przyrządu w otwór przy drzwiach i wcisnął guzik wyzwolający promienie.

Nawet przez owinięty wokół głowy materiał widział błysk jasnego ognia. Rozgrzany metal trząsnął, a strumień ciepłego, przesyconego dymem powietrza uderzył Sandera prosto w twarz.

Od razu usłyszał głośny syk. Nie było mowy o pomyłce. Kuny! Słyszał je tak wyraźnie, że musiały stać tuż przed nim.

Zdarł koszulę z głowy. Drzwi otworzyły się na tyle, by obaj z Rhinem mogli przepchnąć się do środka. Część wejścia wciąż pozostawała zablokowana. Na mroczny korytarz wylało się oslepiająco jasne światło. Po obu stronach drzwi stały kuny, gotowe do skoku. Za nimi zobaczył jakies urządzenia, ale światło w pomieszczeniu tak go raziło w oczy, że widział zaledwie ich zarysy.

Nie chciał robić kunom krzywdy. Zachrypniętym głosem zawołał:

-Fanyi!

Okrzyk rozszedł się echem i przez chwilę dzwieczył w powietrzu. Odpowiedział mu tylko głośniejszy syk kun. Dziewczyna - jeśli w ogóle była w środku - milczała.

Może była ranna lub wpadła w jedną z pułapek, o których mówił starzec? To mogło spowodować wściekłość zwierząt.

Niewykluczone też, że celowo zostawiła je na straży, by nikt nie przeszkadzał jej w tym, co teraz robiła. Żadnej z tych ewentualności nie można było wykluczyć. Nie zmieniał to jednak faktu, że bestie zagrażały mu teraz drogę.

Musiały pamiętać jego zapach. Na pewno wiedziały też, że Fanyi zaakceptowała go i że podróżowali razem. Czy jednak w tym momencie coś mu to pomoże? Usłyszał za sobą kroki Rhina. Za wszelką cenę należało uniknąć potyczki między zwierzętami.

Nie spuszczając oczu z kun, Sander cofnął się o parę kroków.

Kuny nie ruszyły za nim. Cały czas pilnowały wejścia. Pogrzebał w torbie z jedzeniem i wyjął pieczone ciastka o smaku świeżego mięsa, które tak bardzo smakowały Rhinowi. Każdej z kun rzucił po trzy.

Kayi pierwsza obwachała pożywienie; zaraz chwyciła jedno z ciastek i polknęła je lapczywie. Drugie zniknęło równie szybko, zanim jeszcze Kai zdążył się zbliżyć i zabrać za swoją porcję. Zwierzeta cały czas obserwowały kowala i nie przestawały posykiwać, ale jadły lapczywie i dokładnie wylizwały podłogę w miejscu, gdzie upadły ciastka. Musiały być bardzo wygłodzone.

Sander wiedział, że nie pozwoliła się dotknąć. To mogła robić tylko Fanyi. Przykucnął tuż przed nimi, wyciągnął jeszcze dwa ciastka i rzucił każdej z kun po jednym. Gdy pochwyciły zdobycz, powiedział łagodnym głosem:

-Fanyi?

Pewnie, jak twierdził Maxim, był na tyle głupi, by podjąć próbę porozumienia się z tymi bestiami. Nie wiedział, czy imię dziewczyny w ogóle coś dla nich znaczyło. Wpatrywały się w niego tak uporczywie, że poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Mimo to po raz kolejny powtórzył imię dziewczyny:

-Fanyi?

Kai przysiadł na tylnych łapach. Głowa zwierzęcia gorowała, nad kowalem. Kuna mogła w każdej chwili skoczyć i zaatakować. Kayi wpatrywała się w Sandera uważnie, ale nie przybrała takiej samej pozycji.

-Fanyi... Kai... Kayi... - spróbował połączyć te trzy imiona. To, co działo się w głowach zwierząt, było dla niego zagadką.

Kayi ucichła. Opuszczała łeb i zaczęła oblizywać przednie łapy. Samiec wciąż trwał w swojej, jak się Sanderowi wydawało, wyzywającej pozycji.

-Fanyi... Kai... - wypowiedział teraz tylko dwa imiona, zwracając się do większej kuny. Cały czas jednak obserwował kątem oka, co robi Kayi.

Kai wstał na cztery łapy i chociaż Sander nie mógł nic wyczytać z jego zachowania, w jakiś sposób wyczuł, że zwierze jest dezorientowane. Wyczuł też coś jeszcze. Strach? Nie był pewien.

W końcu zdecydował się wykonać następny ruch. Powoli wstał i zbliżył się o krok.

-Fanyi! - powiedział znowu, tym razem pewnym i zdecydowanym głosem, choć nie wiedział, na jak długo starczy mu tej pewności.

Kayi wycofała się, obrzuciła spojrzeniem swego towarzysza, a potem przyjrzała się uważnie Sanderowi. Wydała z siebie dźwięk, który nie brzmiał jak groźba. Kai znowu zaczął posykiwać i wyszczerzył kły. Ale Sander, osmielony zachowaniem samicy, znowu postąpił o krok do przodu.

Samiec przykucnął i wycofał się kawałek, wciąż sycząc. Kayi odwróciła się i odeszła na bok. W końcu również Kai zrezygnował z ataku, wciąż jednak podejrzliwie patrzył na Sandera.

Rhin z trudem przecisnął się przez otwór w drzwiach tuż za kowalem. Kuny nie zrobiły nic, by im przeszkodzić. Odwróciły się i odeszły, klucząc wśród poniewierających się w pomieszczeniu odłamków szkła i metalu.

Światło było tu tak jasne, że podrażnione oczy znów zaczęły Sanderowi dokuczać. Pokój zdawał się żyć własnym życiem, kowal nie natknął się tu jednak na żadną żywą istotę. Znalazł za to mnóstwo rozmaitych urządzeń, rur i instalacji, które migotały i polyskiwały tysiącami kolorowych światełek. Było tutaj tak wilgotno i gorąco, że Sander rozpiął płaszcz i zdjął kaptur.

Nie miał nawet ochoty rozglądać się dookoła. Roj świateł i duchota odrzucały go. Chciał jak najszybciej odnaleźć dziewczynę i wydostać się stąd. Na całym ciele czuł dreszcze, jakby wokół niego owinięła się jakaś niewidzialna siła.

Miał wrażenie, że z metalowej opaski na głowie leca iskry. Zaczęła się znówu nagrzewać. Nie miał jednak zamiaru jej zdejmować. Stary przesąd nie zawiodł go już dwukrotnie; teraz, w tym miejscu, którego nie rozumiał i nie chciał, a może bał się zrozumieć, wierzył w moc przepaski. Ruszył za kunami, które zaprowadziły go do niedużego pokoiku o przezroczystych ścianach. Przyciskając do piersi medalion, siedziała tam dziewczyna.

Oczy miała otwarte i wpatrywała się w Sandera, szybko jednak zdał sobie sprawę, że w ogóle go nie widzi. Na co patrzyła? Jakie obrazy przesuwaly się przed jej oczami? Mimo upalu, jaki panował w pokoju, poczuł na plecach zimny dreszcz. Twarz Fanyi co chwila przybierała inny wyraz - strachu, skrajnego przerażenia i obrzydzenia...

Włosy sztywno sterczały jej nad głową, jak gdyby przebiegał przez nie impuls niewidzialnej energii. Twarz miała obficie zlane potem, który wyglądał prawie jak lzy. Ciało dziewczyny było napięte do granic wytrzymałości.

Kayi podeszła bliżej, ale Fanyi jej nie poznała. Była jak uwieziona w jakimś koszmarze, od którego nie ma ucieczki.

W pewnym momencie dostała strasznych drgawek. Otworzyła usta jakby do krzyku, do uszu Sander'a nie doszedł jednak żaden dźwięk. Podbiegł do drzwi szklanej kabiny, złapał za coś, co przypominało klamkę i nacisnął z całej siły. Drzwi nawet nie drgnęły.

Wyglądało na to, że dziewczynę zamknęto tu bez możliwości ucieczki. Widział, że głowa jej podryguje, a rozbiegane spojrzenie biegnie we wszystkich kierunkach. Chwycił jedną ze strzałek do miotacza i zaczął nią manipulować przy zamku.

Ciało Fanyi podskakiwało teraz jeszcze gwałtowniej, jakby dziewczyna całkiem straciła nad nim kontrolę. Twarz przybrała tępy i martwy wyraz, wargi opadły, z ust ciekła ślina.

Sander mocował się z drzwiami. Strzałka pękła mu w reku, ale zamek trochę ustąpił. Kowal wyciągnął następną i znowu spróbował wetknąć ją w otwór pod klamką. Weszła dalej niż poprzednia. Obracał nią w zamku, wpychając coraz głębiej. Wreszcie z całej siły naparł na drzwi. Zamek ustąpił z trzaskiem, drzwi otworzyły się gwałtownie i Sander prawie wpadł do środka. Fanyi zaczęła osuwać się na ziemię. W ostatniej chwili zdążył złapać jej wiotkie ciało i ułożyć delikatnie na podłodze.

Przez chwile myslal, ze dziewczyna nie zyje. Oczy miala wywrocone, pod przymknietymi powiekami widzial tylko bialka. Przestraszył sie, jak nigdy dotad. Zaraz jednak wyczul w szczupłej brazowej rece slaby puls i zobaczyl, ze piers unosi sie w plytkim i urywanym oddechu.

Nie wstajac, wyciagnal dziewczynie ze szklanego pokoiku, ktory stal sie jej wiezieniem. Rozejrzal sie i znalazl puste miejsce w rogu pomieszczenia, jak najdalej od oszklonej kabiny i dziwnych maszyn. Polozyl tam Fanyi, opierajac jej glowe na swoim zwinietym plaszczu. W dloniach wciaz trzymala medalion; delikatnie, ale stanowczo, wyprostowal jej kurczowo zacisniete palce, aby zwolnic uscisk. Byl pewny, ze wlasnie medalion czesciowo przyczynil sie do tego, co ja spotkalo, i ze nadal mogle stanowic zagrozenie.

Dziewczyna caly czas oddychala nierowno i szybko, jak po dlugim i wyczerpujacych biegu. Ciało miała mokre od potu i wychłodzone, choć przecież w szklanej klatce było bardzo goraco. Kuny podeszły do niej i położyły się po obu stronach, jakby chciały ją rozgrzać ciepłem swoich futer.

Wciaz nieprzytomna, Fanyi mamrotala cos i krecila glowa na wszystkie strony. Sander nie wiedzial, o co jej chodzi, ale slyszal te same slowa, ktorymi wczesniej zwracal sie do niego metaliczny glos.

Zdjal z siebie drugi, krotszy plaszcz i okryl nim dygoczace ciało dziewczyny. Przytrzymał jej głowę i wlał do ust kilka kropel wody. Fanyi zakrztusiła się, zakasłała i nagle otworzyła oczy.

Smierc!... - krzyczala. - Smierc!...

Choc patrzyła prosto na Sandera, wiedział, że nie widzi ani jego, ani nawet tego pokoju. Wpatrywała się w coś innego.

-Nie... chce!... - Każde słowo poprzedzał głęboki oddech. W jej głosie wyczuł determinację. - Nie... chce!...

Próbowała usiąść; w końcu złapał ją delikatnie i położył z powrotem na ziemi. Bał się. Widział, że go nie poznawała. Czyżby to, co przeżyła w oszklonej kabinie, zmieniło ją w podobnego Maximowi szalenca?

-Nie musisz już nic robić... - tłumaczył jej spokojnie. - Nic, na co nie masz ochoty...

Poruszała ustami, jakby mówienie sprawiało jej jednak ogromną trudność.

-Nie... chce... - powtórzyła, po czym dodała niespodziewanie: - Kim jesteś? Jedna z maszyn... tamtych maszyn?... - Była znowu bardzo niespokojna. - Nie chce! Nie zmusisz mnie... nie wolno ci!

-Fanyi... - powiedział łagodnie, tak jak wtedy, kiedy próbował uspokoić kuny. Staral się zwrócić uwagę dziewczyny, by choć przez moment go posłuchała. - Jestem Sander, a ty nazywasz się Fanyi... Fanyi!

-Fanyi? - powtórzyła. Przeraziło go to jeszcze bardziej. Jeśli nie pamiętała nawet własnego imienia... Co to piekielne miejsce z nią zrobiło? Poczul nagły przyływ złości. Miał ochotę zniszczyć i porozbijać wszystko, co znajdowało się w zasięgu wzroku.

-Nazywasz się Fanyi - mówił teraz do niej pozbawionym nacisku

glosem, jak do malego dziecka. - Ja jestem Sander.

Lezala spokojnie, wpatrujac sie w jego twarz. Zauwazyl, ze powoli przytomnieje. W jej oczach dostrzegl powracajaca swiadomosc. Zaczynala chyba znow widziec to, co znajdowalo sie dokola. Zwilzyla wargi jezykiem.

-Nazywam... sie... Fanyi... - powiedziala powoli, dyszac przy tym ciezko. Widzial, ze zaczyna sie uspokajac. W koncu oparla glowe o miekki plaszczyk i zamknela oczy. Usnela.

Musza sie stad jak najszybciej wydostac! Moze uda mu sie wywiezc Fanyi na grzbiecie Rhina... Dziwne uczucie mrowienia, ktorego doznal, gdy tylko znalazl sie w tym pokoju, zaczelo gwaltownie narastac. Pojawilo sie jeszcze inne, przerazajace uczucie, ktorego Sander nie potrafil opisac. To bylo zupelnie tak, jakby cos wgryzalo mu sie w umysl i pozeralo go po kawalku. Obiema rekami chwycil metalowa opaske. Byla ciepla... rozgrzewala sie... coraz szybciej... lepiej ja... zdjac...

Odsunal dlonie. Zdjac?! To, czego obecność wyczuwal teraz w pokoju, wlasnie tego chcialo! Obejrzel sie przez ramie. Byl tak pewien czyjejs obecności, ze spodziewal sie zobaczyc za soba Maxima albo kogos podobnego, skradajacego sie miedzy rzedami swiecacych maszyn.

Chlod metalu...

Szybko przywolal kojota i posadzil dziewczynę na jego grzbiecie. Kaya syknęła, gdy zaczął podnosić Fanyi z ziemi, ale widząc, że nie chce zrobić dziewczynie krzywdy, uspokoiła się. Przywiązał wiotkie ciało Fanyi do siodła; jej rece bezwładnie zwisały po obu

stronach wierzchowca.

Gdy upewnił się, że dziewczyna nie spadnie, popędził Rhina w stronę wyjścia. Chciał jak najprędzej wydostać się z tego przerażającego pomieszczenia. Cały czas czuł działanie obcej, niewidzialnej siły. Czy mogła kontrolować umysły zwierząt i zwrócić je przeciwko niemu?

Zwierzęta również wyczuwały w powietrzu coś dziwnego. Warczały bez przerwy. Kuny kreciły łbami, wypatrując niewidzialnego wroga. Rhin także wydawał się niespokojny, nie sprzeciwił się jednak, gdy kowal pociągnął go za sobą.

Kiedy mineli kabine, w której znalazł Fanyi, Sander odetchnął z ulgą. Nie miał pojęcia, jakie niebezpieczeństwo mogła w sobie kryć. Zaczynał wierzyć, że nie można było w tym miejscu polegać na własnych zmysłach.

Po chwili znaleźli się przed drzwiami wyjściowymi. Kuny bez wahania wybiegły na zewnątrz. Szpara w drzwiach była jednak zbyt wąska, by Rhin, teraz z Fanyi na grzbiecie, mógł się przecisnąć. Sander rozwiązał torbę z narzędziami i tak jak w podziemnym tunelu pod miastem, wyjął największy młot.

Uderzył raz w jedno, raz w drugie skrzydło. Drzwi ustąpiły z głośnym skrzypieniem i Rhin mógł swobodnie przejść. Kowal nie odłożył jednak młota. Trzymał go w ręku, gdy wychodzili. Z tym dobrze znanym przedmiotem czuł się o wiele pewniej niż z miotaczem czy dziwnym wynalazkiem, który zabrał Maximowi. Do takich narzędzi był przyzwyczajony od dziecka; w tym obcym świecie dawały mu one poczucie bezpieczeństwa, którego bardzo teraz potrzebował.

Kuny nie oddalily sie, jak zwykly to robic przedtem. Szly rowno z Sanderem wzdluz korytarza. Co jakis czas syczaly cicho, nie ostrzegaly jednak o niebezpieczenstwie, tylko porozumiewaly sie miedzy soba.

Fanyi caly czas byla nieprzytomna. Nie byl to zwyczajny sen, tego Sander byl pewien. Chcial wywiezc ja jak najdalej od tego miejsca.

Mineli juz zniszczonego blaszanego wartownika. Przy innej okazji Sander chetnie by obejrzal wrak, zrobiony w calosci z metalu. Teraz jednak mial wrazenie, ze im mniej bedzie go laczyc z tym obcym miejscem, tym lepiej.

Rhin wspinal sie juz po rampie. Sander przytrzymał dziewczynę jedną ręką, w drugiej niosł młot. Zdawało mu się, że poruszają się dwa razy wolniej niż wówczas, gdy zagłębiali się w mroczne korytarze. Jak dobrze było znow odetchnąć świeżym powietrzem, tak innym od duchoty panującej w podziemiu.

Gdy wyszli na górę, zdecydował się pojsć prosto do salki, w której znalazł większą maszynę z jedzeniem. Choć kuny zjadły po kilka ciastek, wiedział, że wciąż były głodne. Miał też nadzieję, że uda mu się tu znaleźć coś, co postawi Fanyi na nogi.

Kojot pewnie zmierzał przed siebie. Sander wiedział, że Rhin pamięta drogę, która tutaj przyszli. Im dalej byli od podziemnej komnaty, tym mniejsze napięcie czuł kowal. Przedziwne uczucie, jakiego doznał na dole, powoli ustępowało. Prawdopodobnie źródło tych doznań miało określony zasięg, który kończył się gdzieś tutaj. Choć z drugiej strony... to właśnie ta niewidzialna, wgrzyzająca się w jego mózg siła ciągnęła go wcześniej ta sama

droga. Sander nie miał jednak zamiaru zdejmować teraz opaski i sprawdzać, czy obca siła wciąż jeszcze mogła kontrolować jego umysł.

Dotarli do pokoju, którego szukał. Odwiązał Fanyi, sciągnął ją z siodła, rozłożył na posadzce swój obszerny płaszcz i położył na nim dziewczynę. Pod głowę podetknął jej drugi płaszcz, zwinięty w rulon. Wciąż była mocno wyziebiona i pozostawała w dziwnym letargu. Miała dreszcze.

Bez zastanowienia zaczął wciskać guziki na panelu maszyny, która natychmiast wyrzuciła z siebie mięsne ciastka. Zwierzeta rzuciły się na nie łapczywie. W końcu udało mu się wydobyć z urządzenia niewielki pojemnik z gorącym płynem, który zapachem i konsystencją przypominał gęsta zupę.

Delikatnie potrząsnął dziewczyną, wymawiając przy tym jej imię. Próbował ją zmusić, by trochę się podniosła. Starła się uwolnić od jego uścisku, jednocześnie mamrocząc coś pod nosem. Wreszcie zdołał przystawić jej pojemnik do ust i wypila trochę.

Płyn musiał jej smakować, bo otworzyła oczy, jakby prosiła o więcej. Pospiesznie przyniósł drugą porcję, która równie szybko wypila. - Dobrze - szepnęła - takie dobre. Zimno mi... Cały czas się trzęsła. Jej ciało co chwila przeszywał silny dreszcz. Sander owinał ją szczelnie płaszczem, na którym leżała, rozkulbaczył kojota i otulił dziewczynę ciepłą derką, która służyła jako siodło.

Otuliwszy ją najlepiej, jak potrafił, przywołał kuny, które położyły się obok Fanyi, rozgrzewając ją własnymi ciałami. Wtedy dopiero sam podszedł do maszyny, żeby coś zjeść.

Był zmęczony. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał. Przechybia w podziemiach wyssały z niego resztkę sił. Czy mogli zaryzykować tu krótki postój? Jeśli Rhin i kuny będą czuwać...

W labiryncie pokoi nie spotkał żadnych żywych istot, oprócz Maxima. Pomieszczenia mieszkalne musiały stać opustoszałe już od dłuższego czasu. Wciąż jednak trudno mu było uwierzyć, że Maxim był jedynym mieszkańcem labiryntu. Możliwe, że żyli tu również inni i że dysponowali podobną bronią i zasobami, a to oznaczało kolejne niebezpieczeństwo. Im szybciej wydostana się z podziemnego świata, tym lepiej. Próbował o tym myśleć, ale głowa sama opadała mu na piersi i musiał walczyć z ogarniającą go sennością. Z drugiej strony wiedział, że w tym stanie nie będzie zdolny stawić czoła żadnemu niebezpieczeństwu. Musiał odpocząć.

Zrobił ostatni wysiłek i dał kojotowi znak. Rhin podniósł się, podreptał w stronę drzwi i z głową wspartą na łapach ułożył się w przejściu. Sander wiedział, że jeśli nawet się zdrzemnie, łąka szeleści wyrwie go ze snu.

Podłożył sobie młot pod głowę i wyciągnął się obok Kayi. Silny zapach jej sierści był czymś znajomym, co pochodziło z jego świata, a nie częścią tej zupełnie mu obcej rzeczywistości.

-Sander...

Odwrocił głowę. W tym wezwaniu było coś tak naglącego, że otrzeźwiał natychmiast i zapomniał już, co mu się sniło. Fani siedziała wyprostowana; płaszcz kowala zsunął jej się z ramion. Twarz miała blada i zapadnięta. Wyglądała jak ktoś, kto nie otrzaskał się jeszcze z przerażającej, osłabiającej organizm

choroby.

-Sander! - Wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię. Kayi nie leżała już między nimi.

Wciąż jeszcze trochę zaspany, usiadł i potrząsnął głową.

-Co?... - zaczął.

-Musimy uciekać! - Spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. - Musimy ich ostrzec...

-Kogo? - spytał. Jej strach szybko postawił go na nogi.

-Kupców... całą resztę... wszystkich, Sander, wszystkich. Twój Klan... wszystkich! - Mówiła tak szybko, że z trudem ją rozumiał. Podszedł bliżej, położył jej ręce na ramionach i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

-Fanyi... przed czym mamy ich ostrzec?

-Przed... myślicielem! - wybuchnęła. - Och, myliłam się... tak bardzo się myliłam! - Zaciśnęła dłonie na jego ramionach tak kurczowo, że poczuł ból. - Myśliciel... on... to coś... zapanuje nad światem... uczyni z niego, co zechce. Zmieni nas wszystkich w przedmioty, w maszyny, które będą wykonywać jego polecenia. To on wzywa do siebie Białoskórych... Pokazuje im... pokazuje im przerażające rzeczy. Jak niszczyć i zabijać...

Znow drżała.

-Stworzyli go Praludzie, by zgromadził całą ich wiedzę. Przewidzieli nadchodzący kataklizm. I on zebrał wszystko...

wszystko! Gdy jednak był już gotowy, coś go odmieniło... może Mroczne Czasy uczyniły go innym, niż chcieli Praludzie. Oni... oni nie mogli być tak zli i okrutni! Nie mogli! Gdybym... - potrzaskała głową - Sander, gdybym wiedziała, że drzemie we mnie takie dziedzictwo, sama przebiłabym sobie serce nożem. To... to coś pamięta same najgorsze rzeczy. Chciało, bym mu służyła. Zaczęło mnie wciągać... zmieniać na własne podobieństwo. Wtedy pojawiłeś się ty. Musimy stąd uciekać! Wiem, że to panuje nad tym miejscem i...

Nagle przerwała i spojrzała na niego badawczo.

-Ale ciebie nie pochwyciło. Może dlatego, że nie miałeś jednej z tych rzeczy? - Wskazała na medalion. Sander nie odebrał go jej, bo przypuszczał, że to urządzenie chroniło dziewczynę. Tak przynajmniej wynikało ze słów Maxima.

-To, co jest tam na dole, może kontrolować umysł każdego człowieka, jego wolę. Obiecało mi... obiecało mi - jej wargi zadrżały - wszystko, czego pragnęłam, czego szukałam. Musiałabym tylko otworzyć dla niego swój umysł i wejść do pomieszczenia, w którym można się było z nim połączyć. Ale jedyną rzeczą, jaką mnie obdarowało, to... nienawiść. Sander... Myślałam, że nienawidzę Morskich Rekinów, ale nie znalazłam wtedy najgłębszej i najstraszliwszej nienawiści. Ono pokazało mi ją w najczystszej formie. Chce, byśmy wszyscy mu służyli. Niektórych może sobie podporządkować bardzo szybko. Służą mu już szamani Białoskórych. Rozumiesz, to coś ściąga ich tu i uczy... nienawiści. To coś wie o rzeczach, których łatwo można się nauczyć. A wreszcie uwolni śmierć, która pochłonie wszystko. Zniszczy wszelkie życie na tej planecie. To coś chce, żebym była martwa!

-Caly czas mowisz "to cos" - powiedzial. - Co to jest tak naprawde?

-Mysle - opuscila rece i zakryla nimi usta, jakby bala sie glosno mowic o tym, co przyszlo jej do glowy - ze to cos bylo kiedys w jakiejs czesci czlowiekiem, ale z biegiem lat stawalo sie coraz bardziej obce, coraz bardziej monstrualne. Ludzie, ktorzy tu mieszkali i dbali o to cos, nie wykorzystywali go do celow, do jakich bylo przeznaczone. Im jednak slabsi i mniej liczni sie stawali, tym to monstrum bardziej roslo w sile i w koncu zerwalo wszystkie wiezi z tymi, ktorzy pozostali. Niektorzy... jak moj ojciec... odeszli stad, by zobaczyc, co stalo sie ze swiatem. Na tamtych nie mialo takiego wplywu. Ale ci, ktorzy pozostali... Czy spotkales czlowieka, ktory nazywa siebie Maximem?

Sander przytaknal.

-Nie zdaje sobie sprawy, ze nie jest juz czlowiekiem, tylko narzedziem, maszyna. Na razie jest uszami i oczami tego monstrum. To cos potrzebuje ludzi, polaczenia ze swiatem zewnetrznym, kogos, kto bedzie mu dostarczal swieze umysly... Sander, ono zeruje na ludzkich umyslach! Wysysa z nich cala wiedze, calego ducha i wypelnia ich glowy tym, co zechce... nienawiscia, zadza krwi, smierci!

-To samo probowalo zrobic z toba. Jakim cudem ocalalas? - zapytal.

-Jestem Szamanka. Nie taka, jak szamani Bialoskorych, ktorzy dla podtrzymania wladzy potrzebuja strachu i krwi. Ja ratuje zycie, nie odbieram. To monstrum nie moglo dotrzec do tej czesci mego umyslu, na ktorej najbardziej mu zalezalo, do zrodla

mojej Mocy. Prawdopodobnie gdyby nie ty, w koncu dostaloby sie tam. Ale dlaczego niej chcialo pochwycic i ciebie?

-Chlod Metalu... to jedno z kowalskich zaklec. - Nie wiedzial czy to wlasnie metalowa opaska go ocalila, ale chcial w to wierzyc.

-Chlod Metalu? - powtorzyla. - Nie rozumiem... - Na jej twarzy znow zobaczyl przerazenie.- Musimy... Sander... musimy jak najszybciej stad uciekac! To nie pozwoli nam odejsc tak po prostu. Nie wiem, jak duza posiada Moc...

Kowal przywolal Rhina, szybko spakowal ich rzeczy i znow posadzil dziewczynke na grzbiecie kojota.

-Czy to cos potrafi kontrolowac zwierzeta? - Bal sie, ze ich towarzysze okaza sie slabym punktem.

-Nie - pokrecila przeczaco glowa. - Ich umysly sa zbyt obce, poza jego zasiegiem. Kai i Kayi probowaly mnie powstrzymac, zebym tam nie szla. Ja... sama odeslalam je sila woli. - Spojrzala na zwierzeta i przez jej twarz przebiegl bolesny skurcz.

-Maxim uzyl tego przeciwko Rhinowi. - Sander pokazal jej male urzadzenie. - Jesli wcisniesz ten guzik, zwierzeta zaczyna wariowac. - Pokazal jej, o ktory przycisk chodzi.

-Jak to zdobyles?

-Od Maxima - powiedzial z duma. - Zostawilem go zwiazanego. Poswiecil mi zbyt wiele uwagi, Rhin wykorzystal ten moment i pokonal go. To Rhin cie odnalazl - uczciwie przyznal.

-Musimy uciekac... szybko!

Zgadzał się z nią w zupełności. Nie wiedział, co myśleć o jej słowach. O tej historii z opróżnianiem i napełnianiem ludzkich umysłów... Od dawna już przypuszczał, że Praludzie byli potężniejsi, niż twierdzili Zapamiętywacze. Teraz się to potwierdziło. Powinni wynosić się stąd jak najprędzej. Nie miał już ochoty na zgłębianie następnych tajemnic. Strach i rozpacz dziewczyny przekonały go, że za taką naukę można zapłacić bardzo wysoką cenę. Teraz chciał już tylko wydostać się stąd jak najprędzej.

Nie bardzo wiedział, kąd powinni iść, ale wierzył w instynkt kojota. Miał nadzieję, że zwierze odnajdzie drogę powrotną. Fanyi zaczęła powoli odzyskiwać panowanie nad sobą, a Sander, gdy mijali kolejne pokoje, wypatrzył parę rzeczy, którym, gdyby nie okoliczności, chętnie by się przyjrzał.

Fanyi jednak nie zwracała na nic uwagi. Patrzyła przed siebie, gnana pragnieniem, by jak najszybciej wydostać się z tych podziemi.

-Ilu ludzi tu pozostało? - spytał po chwili milczenia.

-Nie wiem. Z pewnością niewielu. To monstrum wciąż potrzebuje nowych sług. Myślę, że trzeba mu pomagać w czymś, czego nie może zrobić samo i dzięki czemu nadal żyje. Musi więc mieć więcej opustoszałych umysłów, które mogłoby kontrolować. Cała reszta... zniszczy. Jest pełne nienawisci... - Lzy ciekły jej po twarzy i nawet nie próbowała ich otrzeć. - Jest chore z nienawisci, wypełnione nienawiscia, jak zanieczyszczona brudem rana. Trudno uwierzyć, że można być tak złym!

Mijali coraz to inne pomieszczenia. Sander, który cały czas

czujnie się rozglądał, miał pewność, że od dawna nie były zamieszkane. Może Maxim był ostatnim sługą tego monstrum? Sam jednak nie uważał się za takiego... Mówił coś o "Wielkim Mozgu", który dawno już zerwał kontakt z ludzmi.

Teraz jednak Sander zaczął martwić się o coś innego. Za łatwo im szło. Spodziewał się już wcześniej natrafić na jakiś opór. Fanyi mówiła, że monstrum miało ogromną Moc. Jeśli kontrolowało podziemia, to zapewne szykowało się do ich zatrzymania.

A że nic się nie działo, nabrał podejrzeń. Fanyi ciągle jechała na koczcie. Kowal przyjrzał się mu uważnie, a potem zerknął na kuny. Szły coraz szybciej, choć wcale ich nie popędzał. Były najwyraźniej poruszone. Wiedział, że mają swoje sposoby na sprawdzenie drogi, na razie jednak nie wysłały żadnego ostrzeżenia.

Dotarli wreszcie do pomieszczenia z krzesłami i szklaną taflą w podłodze. Sander wszedł pierwszy, gotów na spotkanie z Maranem, ale starca nie było już tam, gdzie go zostawił. Fotel był pusty. Nie zostało nawet śladu przeciętych wieżow. Kowal podniósł młot i zwążył go w dłoni.

-Uciekł. Tu go zostawiłem.

Po raz pierwszy od momentu, kiedy wyruszyli, Fanyi odwróciła głowę i spojrzała na towarzysza.

-Musimy znaleźć wyjście! - W jej głosie znów wyczuł histeryczną nutę. - To wyjście... można je ukryć.

Jej reka powedrowala do medalionu, po czym cofnela sie.

-Moge go uzyc. Ale on nalezy do tego miejsca i chyba nie zdolam go kontrolowac.

-Nawet nie probuj! - powiedzial ostro. - Niech zwierzeta znajda wyjscie. Polegam na ich zmyslach bardziej niz na wlasnych.

Zwierzeta przeszly teraz do pomieszczenia pelnego swiatelek i rozmaitych maszyn. Te, ktore nie ulegly uszkodzeniu, swiecily jasno.

Rhin uniosl leb i wydal z siebie dzwiek, ktory Sander slyszal wczesniej tylko raz - wtedy, gdy nieopatrznie nacisnal niewlasciwy guzik na urzadzeniu Maxima. Kuny rowniez warczaly dziwnym glosem. Cala trojka zakryla lapami lby, z pyskow zwierzat ciekla piana. Sander poczul w glowie bol. Fanyi zlapala sie za skronie. Jej twarz wykrzywil grymas cierpienia.

Kowal dobrze wiedzial, co to oznacza. Choc czul sie ciezki i trudno mu bylo skoordynowac ruchy, podszedl do jednego z pajeczynowatych, swietlistych urzadzen. Miesnie drzaly mu i dretwialy, zdolal jednak spuscic mlot prosto na maszyne.

Polecialy iskry. Z rozbitej instalacji rozszedl sie zatykajacy gardlo i nos smrod. Sander zatoczyl sie w strone kolejnej maszyny i znow uderzyl. Demolowal je tak jedna po drugiej.

Jego swiat ograniczyl sie teraz do tego jednego pomieszczenia. Musial zniszczyc wszystkie urzadzenia, jakie sie tutaj znajdowaly. Czasem pudlowal i zmuszony byl uderzac po kilka razy. Chwial sie i za kazdym razem zbieral sily, by wznieśc mlot i zadac cios.

Zniszczył już cały pierwszy rząd i zbliżał się właśnie do drugiego. Opaska wokół głowy płonęła żywym ogniem. Nie mógł normalnie myśleć. Tylko instynkt pchał go dalej i dalej. Trzeci... i następny...

Potem zewnętrzne napięcie jakby zelzało. Kowal osunął się na kolana, dysząc ciężko. Głowe miał teraz lżejsza, ale był całkiem zamroczoney. Na szczęście światło, która razilo go w oczy, przygasło.

-Sander!

Przerazliwy krzyk obudził na wpol przytomny umysł i targnął ciałem kowala.

Zobaczył Maxima. Starzec trzymał w reku groźną broń. Jego twarz jakby skurczyła się jeszcze bardziej, a w wylupiastych oczach nie pozostało już nic ludzkiego. Chciał...

Sander nigdy wcześniej nie dokonał tak heroicznego wysiłku, jak w tym momencie. Unosił młot... ale Maxim był zbyt daleko, by go uderzyć. Nie było czasu na użycie miotacza czy broni, którą wcześniej zabrał starcowi. Zakrecił więc młotem nad głową i w desperackim gescie, prawie pewien, że za chwilę stanie się kolejną ofiarą starucha, cisnął nim w Maxima.

W tym momencie koło Sanderą przemknęła wlochatą błyskawica. To Kai w skoku tracił go w ramię. Choć uderzenie nie było mocne, kowal zachwiał się i przewrócił. Upadając, zdążył jeszcze zobaczyć, że młot wprawdzie nie obuchem, lecz trzonem, odbił się od piersi starca. Mężczyzna zachwiał się. Sander czuł w ramieniu palący ból. Kai dopadł Maxima i przewrócił na posadzkę, wytracając mu broń. Stary człowiek

krzyknął, ale krzyk nagle się urwał. Kowal spróbował wstać. Podciągnął się i oparł na tym samym urządzeniu, które przed chwilą przygmiotł własnym ciałem.

W powietrzu coś zawisło. Coś, co nie pozwalało się kowalowi ruszyć. Nie potrafił opisać tego słowami. Przypominało fale nienawisci... wściekłości... jakby ściany wokół nich zmieniły się w tkanke wielkiego organizmu i nagle ożyły. Kuna wycofała się. Jej pysk ociekał krwią. Warczała i syczała, klapiąc zębami, choć dookoła nie było widać żadnego przeciwnika.

Sander zachwiał się i gdyby nie to, że mocno się trzymał zniszczonego urządzenia, z pewnością runąłby na ziemię. Nieznana moc wysyłała w jego kierunku impulsy, które siłą dorównywały uderzeniom pięści. Opaska na głowie paliła żywym ogniem, kowal próbował jednak walczyć z bólem. Wyszczерzył zęby; przypominał teraz rozwścieczone zwierze. Ochryplym, łamiącym się głosem wyrecytował kowalskie zaklecie.

Był człowiekiem, a nie czyjas marionetka! Nie da się zmienić w bezwolny przedmiot! Chwiejnym krokiem, trzymając się zniszczonych instalacji, szedł przed siebie. Całą uwagę skupił na młocie, który leżał obok rozszarpanego ciała. Nie chciał przyglądać się zabitemu. Wiedział, że choć to Kai ostatecznie powalił przeciwnika, on sam również przyczynił się do śmierci Maxima.

Schylił się i zacisnął dłoń na rekojesci młota. Z tym znajomym kształtem od razu poczuł się pewniej. Był człowiekiem, panem własnej woli!

Odwrocił się powoli i ostrożnie. Rhin i kuny zbily się w gromadkę,

szczerzac zeby. Kojot usilował ugryzc powietrze, a na jego pysku pojawila sie biala piana. Kuny prezyly sie, gotowe do walki z przeciwnikiem, ktorego nie bylo nigdzie widac.

Fanyi, wyprostowana, siedziala w siodle. Na jej wychudzonej twarzy malowalo sie przerazenie i ogromny wysilek. Z glowa odrzucona do tylu szeptala jakies zaklecia. Nie rozumial ich. Powoli zaczal isc w strone dziewczyny, choc zdawalo mu sie, ze przeszkadza temu wrogi, odciagajacy go do tylu podmuch. Gdy wreszcie stanal przed Fanyi, spojrzala na niego.

-To cos nie pozwoli nam odejsc - powiedziala po prostu.

-Wiem, gdzie sa drzwi...

-Teraz nie bedzie juz zadnych drzwi, dopoki to cos nie zechce. Nie potrafil zrozumiec, skad ta jej pewnosc. Zanim zdazyl powiedziec cokolwiek, juz trzymala w rekach medalion.

-Pozwoli mi zbliczyc sie do siebie... jesli bede trzymala to w reku.

Kiedy to powiedziala, napiecie jakby zelzalo, a wyczuwalna w powietrzu wscieklosc, ktorej gesta chmura prawie przyciskala ich do scian, nieznacznie sie rozproszyla.

-Nie! - Sander uniosl mlot.

-Jesli pojde, moze uda mi sie wynegocjowac jakies warunki... Wyczytal w jej oczach prawde. Wiedziala, ze jesli tam pojdzie, zginie, podobnie jak starzec, ktorego Kai zagryzl, by ich ratowac.

-Pochodze od ludzi, ktorzy sluzyli mu od dawna. Wyslucha mnie...

-Nie będzie słuchał nikogo - przerwał jej Sander. - To coś oszalało. Sama to wyczytałaś w jego myślach. Nie ocalisz nas i nie zyskasz nic.

-Pojdźcie na układy, żeby mnie dostać - nie zgodziła się z nim. - Może uda mi się przekonać to coś, żeby wypuściło ciebie... i zwierzęta. Jeśli będziesz wolny, możesz ostrzec innych. Nie wolno dopuścić tu Białoskorych, a Kupcy muszą przygotować się do walki.

-Jeśli to coś widzi i wie wszystko - upierał się przy swoim - to nigdy nikogo nie wypuści z taką wiadomością. Czemu miałoby to zrobić?

-To nie to samo - odparła. - Jeśli poddam mu się dobrowolnie, zyska więcej niż gdyby musiało przelamać mój opór siłą. Nie chcę, bym była w jakis sposób wypaczona. Ty nie przedstawiasz dla niego żadnej wartości. Tylko zakłóciłeś jego spokój. Wypuścił cię w przekonaniu, że gdy zgromadzi tych, których do siebie wezwą, i tak wkrótce wpadniesz w jego ręce. Nie rozumiesz, że chcę zyskać dla ciebie trochę czasu?

Sander potrząsnął głową.

-Nie można ufać żadnym układom. Posłuchaj... - Jego umysł pracował teraz o wiele szybciej, jak biegacz, który odzyskał siłę. - Możesz wskazać miejsce, w którym znajduje się ta rzecz?

Od razu zrozumiała, o co mu chodzi.

-Nie uda ci się! Jego system obronny jest doskonały. Nie podejdziesz, jeśli nie będzie tego chciało.

-Ale ty mozesz podejsc...

-Tak, jesli poddam sie jego woli. Ono odniosloby wtedy zwyciestwo, a ty moglbys to wykorzystac.

-Ale nie tak, jak myslisz. - Sander potrzasnal mlotem. - Czy ono moze nas podslychiwac? - Spogladal na rzedy stojacych maszyn.

-Nie wydaje mi sie. Moze kontrolowac nasze umysly i narzucac nam swoja wole, ale uwaza siebie za niepokonanego.

Sander znowu potrzasnal mlotem. Trzymajac go w reku, jakos mniej bal sie rzeczy, ktorej nie widzial i nie mogl dotknac. Ta rzecz uwazala siebie za niezniszczalna, nie potrafila jednak broniec tej czesci podziemi bez pomocy Maxima. A starzec zginal w sposob, w jaki nie zabito prawdopodobnie nikogo z Praludzi od wielu pokolen. Po prostu zagryzlo go dzikie zwierz.

Kowal nie mial okreslonego planu, tylko determinacje i zawzietosc. Pomysl dziewczyny, by sie poddac, mogl byc jeszcze rezultatem presji, jakiej ja poddano w szklanym pomieszczeniu. Wiedzial jedno: z takim przeciwnikiem nie wolno wchodzic w jakiegokolwiek układy. Kazda proba skazana byla na niepowodzenie, bo ten, kto kontrolowal podziemne tunele, uznalby ja za oznake slabosci. Taki przeciwnik mogl obiecac wszystko, a potem nie dotrzymac slowa.

Ale Sander wierzyl, ze dzieki Fanyi mozna dostac sie do tego czegos. Uniosl reke i potarl kciukiem metalowa opaske. Choc nie bylo na to az do tej pory zadnych dowodow, stary przesad okazal sie prawdziwy. Jesli uda mu sie wytrzymac atak, jaki przeciez

znieśli już wcześniej, to mieli szanse. Nikła, ale zawsze.

-Masz plan. - Nie brzmiało to jak pytanie, raczej jak stwierdzenie faktu. Fanyi pochyliła się w siodle i uważnie patrzyła na Sandera.

-Nie - potrząsnął głową - nie wiemy na tyle dużo, by cokolwiek planować. Możemy tylko iść przed siebie... i liczyć, że szczęście nas nie opuści.

-My? Ty nie pojedziesz! Nie pozwolę ci! Znowu dotknął dłoń opaski.

-Nie przekonamy się, dopóki nie spróbujemy. Twierdzisz, że ono nie może kontrolować zwierząt.

-Nie mogło poradzić sobie z kunami. Chciały powstrzymać mnie przed wejściem. Oczywiście, nie wiem, co wysła przeciwko nam, gdy już do niego dotrzemy.

Sanderowi stał przed oczami obraz metalowego wartownika. Tylko kowal wiedział teraz, jak radzić sobie z takimi maszynami. Mogł użyć urządzenia, które zabrał Maximowi wcześniej, a także tego, którym starzec próbował pokonać go przed chwilą. Podeszedł do zabitego, by przeszukać ciało.

Wrócił po chwili i wręczył dziewczynie jeden z przyrządów. Pokrótce wyjaśnił jej, do czego służy.

-Naprawdę jesteś gotów to zrobić? - zapytała, gdy skończył.

-A czy widzisz inne rozwiązanie? Każdy trzyma się życia, dopóki może. Myślę, że pokonanie tego czegoś to nasza jedyna szansa.

-Wydaje mi sie... ze jesli poddam sie dobrowolnie, masz szanse podejsc do niego ze mna.

-To, czy udasz sie tam dobrowolnie, zalezy tylko od ciebie - zapewnil. - Ja pojde za toba, tak czy inaczej. Moze ono zorientuje sie, ze nie jestes sama... ale jesli pojdziemy w pewnej odleglosci od siebie, moze pomyslec, ze mnie zostawilas albo ze cie tropie. Jednoczesnie pamietaj, ze nie mozemy trzymac sie zbyt daleko od siebie, zeby to nie zdazylo nas rozdzielic na dobre.

Fanyi milczala przez chwile. Wreszcie zesliznela sie z grzbietu Rhina.

-To zaprowadzi cie wprost w objecia smierci, kowalu. Jednego mozesz byc pewien: nawet jesli udam, ze poddaje sie jego woli, nigdy nie pozwole, by uzylo mnie do wlasnych celow. Mam przeciez to - obrocila w reku bron Maxima. - Mozna tego uzyc obosiecznie... a martwe cialo na nic nie przyda sie tej maszynie. Co z naszymi towarzyszami?

-Ida z nami - powiedzial, sciagajac bagaz z grzbietu Rhina. - Ale to zostawimy. - Nie dodal, ze moze nigdy wiecej nie beda juz potrzebowali tych zapasow. Zostawil tez swoj miotacz, choc dlugi noz wzial ze soba. Nosil go juz tak dawno, ze nie przeszkadzal mu, a przyzwyczajenie, nawet w takiej chwili, okazalo sie silniejsze.

Jedyna bronia, jaka mu teraz pozostala, byl mlot, symbol jego dziedzictwa, ktory dodawal mu sily i wiary, a pochodził z tak dobrze znanego swiata, oraz przyrzad zabrany Maximowi. Nie chcial jednak myslec o nich jak o broni. Wolal traktowac je jak

narzedzia, ktore nie posluzu mu do walki, lecz do naprawy uszkodzonego urzadzenia.

-Jestes pewien, ze tego chcesz? - zapytala Fanyi. Zachowywala sie, jakby mial jej zlozyc przysiege krwi.

-Tak - odparl.

Odwrocila sie i spojrzala na zwierzeta. Kuny podeszly blizej, a dziewczyna polozyla rece na ich lbach. Stali tak przez chwile, a zwierzeta uniosly lby i zaczely lizac ja po policzkach. Rhin przygladal sie uwaznie tej scenie. Teraz i on podszedl do Sandera i trafil go pyskiem w ramie - zwykly sygnal, ze czas ruszac w droge.

-Pojda z nami - stwierdzila dziewczyna.

Sander zaproponowal, by teraz ona szla przodem. Kiedy odeszla kilkanascie metrow, ruszyl za nia. Rhin szedl obok niego. Fanyi caly czas sciskala w reku medalion. Nie udala sie jednak w strone drzwi, ktorymi weszli. Poszla na prawo, w strone przejscia, ktore wyznaczaly rozbite przez Sandera maszyny.

Stanela przed sciana, na pozor gladka i nieprzebyta, ulozyla medalion w zaglebieciu dloni i przytknela do muru. W scianie otworzylo sie waskie przejscie.

Korytarz, ktorym musieli pojsc, byl tak ciasny, ze Rhin ledwie sie mogl do niego wcisnac. Nie palila sie tu zadna lampa. Za nimi z nieprzyjaznym szczekiem zamknely sie tajne drzwi. Sander znalazl sie w calkowitych ciemnosciach. Tylko slaby odglos krokow mowil mu, ze dziewczyna z kunami byla w poblizu.

Tunel wil sie niemal spiralnie. Na jednym z zakretow kowal bolesnie zderzyl sie ze sciana, ktorej nie sposob bylo zauwazyc w tych ciemnosciach. Jednak caly czas posuwali sie wzdluz tego samego korytarza; nigdzie nie bylo zadnych odnog. Kowal szedl pewnie do przodu, majac nadzieje, ze dziewczyna znajduje sie tuz przed nim.

Nagle oslepil go blask. Zrozumial, ze musiala znalezc kolejne drzwi - wyjscie z tunelu. Pedem ruszyl przed siebie. Bal sie, ze nie zdazy, ze drzwi zatrzasna sie przed nim i przed Rhinem, wiezac ich w ciemnosciach. Pomieszczenie, w ktorym sie teraz znalezli, nie przypominalo zadnego z tych, ktore Sander widzial do tej pory.

Zobaczyl przed soba szklana powierzchnie, bardzo podobna do tej, ktora widzial w pokoju z fotelami, a ktora, wedlug slow Maxima, byla mapa dzisiejszego oraz dawnego swiata. Tu jednak stal tylko jeden fotel, zwrocony dokladnie w strone szklanej powierzchni. Siedziala teraz na nim Fanyi, a po bokach, warczac, przykucnely kuny.

Rece dziewczyny spoczywaly na poreczach fotela, pozbawionych jakichkolwiek przyciskow. Gdy zblizyl sie, by spojrzec jej w twarz, siegnela do szyi, zdjela medalion i odrzucila go, jakby pozbywajac sie ostatniej ochrony przed opanowujaca jej umysl sila.

Chwycil medalion w powietrzu i choc wiedzial, ze nie powinna go nosic, mial nadzieje, ze zdola go jakos wykorzystac. Dziewczyna wyciagnela zza pasa bron Maxima i rzucila ja na ziemie. Siedziala teraz w fotelu calkiem bezbronna i samotna. I nagle Sander zorientowal sie, ze zaszla w niej jakas zmiana... to juz nie

Fanyi siedziała w tym fotelu.

Jej twarz zniekształcił dziwny grymas, zupełnie nie przypominała dawnej Fanyi.

-Chodź do mnie!

To nie była prośba. Słowa zabrzmiały jak rozkaz wypowiedziany przez kogoś, kto nie znosi sprzeciwu. Dźwięczała w nich taka siła, że Sander zrobił krok w stronę Fanyi, która nie była już sobą.

Rhin natychmiast znalazł się obok kowala i zacisnął szczęki na jego ramieniu.- Ostry ból otrzeźwił Sandera.

Fanyi uśmiechnęła się, ale w jej uśmiechu nie było nic ludzkiego.

-Barbarzynco - zaśmiała się. - Twoja walka... ty... twoi ludzie... - Jej głos zmienił się, był teraz zimny i daleki. - Zatrzuwacie ziemię. Jesteście niczym, nie macie prawa wędrować ścieżkami, którymi wędrowali kiedyś prawdziwi ludzie.

Sander słuchał w milczeniu; nie zamierzał dyskutować z tym, co opanowało dziewczynę. Wejście do kryjówki, w której znajdowało się to coś, z pewnością było gdzieś tutaj. Musi się tam dostać jak najszybciej. Tylko czy wystarczy mu czasu?

-Oddaj swoją broń, barbarzynco - powiedziała Fanyi z zimną pogardą. - Czy myślisz, że możesz użyć jej przeciwko mnie? Głupcze, mogę w każdej chwili zetrzeć cię w proch. Pozwalam ci żyć tylko dlatego, że choć mam teraz tę dziewczynę, wciąż możesz mi się przydać... przynajmniej na razie.

Rhin wysunął się przed Sandera, jakby chciał odgradzić go od Fanyi. Leb miał jednak zwrócony w stronę ściany, tuż za jej fotelem. Kowal spostrzegł, że kojot strzyże uszami w tym kierunku. Widział wyraźnie, że zwierze całą swoją uwagę skupiło właśnie na tym punkcie, a nie na siedzącej przed nimi dziewczynie.

Mocniej chwycił młot.

-Należysz do mnie, prostaku...

Głos był donosny i dzwieczył mu echem w głowie. Czy to oczy go zawodziły, czy fotel zaczęła spowijać delikatna mgielka? Opaska na czole zaczynała się rozgrzewać. Z trudem łapał oddech.

Nie jest niczyją własnością! Sam jest sobie panem. Na chłód żelaza, które tylko kowale potrafią wykuwać... sam jest sobie panem!

-Barbarzynco, mogę wyssać z ciebie życie, używając do tego wyłącznie własnej woli. A więc...

Sander oddychał z trudem. Teraz musiał wykonać jakiś ruch... nie miał innego wyjścia.

Chłód Metalu. Walczył z siłą, która dławila go i przyciskała do ziemi, która chciała, by upadł i pelzał, by się ponizył.

-Chłód Metalu! - krzyknął.

Napor żelaza nieco, jakby zachowanie kowala zaskoczyło tajemniczą istotę.

Sander zrobił krok, ale nie w stronę Fanyi, czego zapewne oczekiwał przeciwnik, lecz w kierunku, który wskazywał Rhin. Wyteżył siły, bardziej nawet niż w czasie potyczki z Maximem - choć wtedy wydawało mu się, że dał z siebie wszystko - i uderzył młotem w gładką ścianę.

W miejscu, w którym obuch dosięgnął powierzchni, zobaczył rozwidlające się pęknięcie.

Wokół niego, w jego umyśle zbierała się jakaś siła, gotowa go zmiazdżyć.

Nie! Nic go teraz nie powstrzyma. Zachwiał się. Rhin, kuny... czuł ich obecność. Wspierały go. Uderzył drugi raz, dokładnie w to samo miejsce.

Usłyszał trzask i brzek, jakby tlukącego się szkła. W ścianie zobaczył dziurę o średnicy ludzkiej pięści. Jakby w odpowiedzi uderzyła w niego fala siły, której nie potrafiłby opisać słowami. Osunął się na kolana.

Podpełznął jednak bliżej, walcząc z niewidzialnym przeciwnikiem. Wiedział, że jeśli teraz się podda, wszystko będzie stracone. Stanął tuż przy ścianie.

Powoli wypuścił młot z ręki. Wsadził palce w otwór, choć ostre brzogi wbijały mu się w ciało. Mocno chwycił gładką powierzchnię i szarpnął, wykorzystując cały ciężar ciała.

Przez chwilę, obolały i przerażony, nie wiedział, czy przyniosło to jakiś efekt. Potem szkło, jeśli ta materia była szkłem, pękło i zasypało go ostrymi odłamkami. Poczul na twarzy powiew

niezdrowego powietrza; cuchnelotak jak na dole, w pomieszczeniu, gdzie znalazł Fanyi.

Po omacku odnalazł młot. Prawa reka była sliska od krwi. Bał się, że nie da rady mocno pochwycić młota. Coż, miał jeszcze drugą reke! Niepewnie unosił młot i uderzył. Dziura w ścianie powiększyła się. Udalo mu się otworzyć przejście do miejsca, w którym czaił się przeciwnik. Nieważne, że wpelźnie tam na czworakach, prawie pokonany przez przytłaczającą siłę.

Przecisnął się przez otwór i spadł na podłogę po drugiej stronie. Nie było tu nikogo. Zdziwiony, rozglądał się dookoła. Choć Fanyi określała przeciwnika jako "cos" lub jako "rzecz", w głębi ducha spodziewał się natrafić na istotę, jeśli nie ożywioną, to przynajmniej na coś w rodzaju metalowego wartownika. Zobaczył jednak tylko wysokie pudła poustawiane w szeregi. Wedrowały po nich ogniki małych lampek i światelek.

Poczuł ulgę. Gdy tylko znalazł się w tym pomieszczeniu, napięcie zniknęło. Jeśli tu właśnie krył się wrog Fanyi, jego legowisko nie było zbyt strzeżone. Może po prostu czuł się bardzo pewnie.

-Wykryto wejście osoby nieupowaznionej...

Głos nie pochodził od dziewczyny. Przypominał raczej ten, który Sander słyszał już wcześniej w tych podziemiach. Ale gdzie znajdowało się to, czego szukał? Czy w którymś z tych pudeł?...

-System ochrony pierwszego stopnia...

Nie wiedział, co znaczyły te słowa, z pewnością jednak stanowiły

jakas grozbe. Nie probowal nawet wstac. Wyciagnal bron Maxima, oparl kciuk na największym przycisku i wycelowal w pudlo, na którym tanczylo najwiecej kolorowych lampek. Promien uderzyl z cala sila i wbil sie do srodka. W tej samej chwili kowal uslyszal halas. W jego strone toczyl sie jakis metalowy ksztalt.

-Przechwycic w celu zbadania... - zabrzmial glucho glos. Metalowa istota zmierzala prosto w strone Sandera.

Za plecami mial sciane. Czy odwazy sie teraz zwrocic promien na wartownika? Jesli kontrolowala go wlasnie ta maszyna, to...

Nagle cos blysnelo. To na pudle, w ktore celowal, zatanczyly plomienie ognia. Nie czekal, co bedzie dalej. Od razu strzelil do nastepnego. Z metalowego wartownika wyprysnela dluga lina i owinela mu sie wokol nogi. Kolejna juz leciala w jego strone. Nagle futrzasty ksztalt przecial jej lot. Lina owinela sie dookolą kuny, skrepowala ja i powalila na ziemie.

Sander caly czas kierowal promien w strone pudel. Juz drugie stanelo w ogniu. Kayi rowniez zaatakowala wartownika, ale szybko podzielila los towarzysza. Udalo jej sie jednak oslonic Sandera przed kolejnymi linami.

Wciaz z uwieziona noga, nachylil sie i skierowal promien na line. Przez ten czas pojawily sie nastepne - czwarta, piata, szosta... nagle ta, ktora krepowala mu kostke, opadla bezwladnie na podloge. Podniosl sie. Mial zamiar zniszczyc wiecej swiecacych pudel, ale gdy podszedl blizej, urzadzenie Maxima przestalo dzialac. Jednak na zadnym pudle nie swiecily juz male lampki. Smrod spalenizny odurzyl go. Sprobowal zacisnac zraniona dlon. Jesli nie odmowi mu posluszenstwa, bedzie mogl zniszczyc

wiecej pudel, uzywajac mlota. Czy to wlasnie byla kryjowka tajemniczej istoty? Jesli nie...

Kaslal i dlawil sie dymem. Z oczu plynely mu lzy, a gardlo zaschlo bolesnie. Przy kazdym oddechu czul przeszywajacy bol. Musi stad wyjsc, wydostac sie... nawet jesli nie wykonal do konca zadania...

Otepialy, przeciskal sie miedzy nadpalonymi pudlami, szukajac wyjscia. Gdy przedostal sie do poprzedniego pomieszczenia, zobaczyl, ze Fanyi osunela sie z fotela i lezy na posadzce. Podpelzl do niej, ale kuny byly szybsze. Minely go, przysiadly przy dziewczynie i zaczely lizac ja po twarzy. Tracaly jej bezwladne cialo lapami i popiskiwalay z cicha.

Sander poczul nagly chlod. Czy... czy ja zabil? Czy ona... Zblizyl sie niepewnie. Kayi warknal ostrzegawczo, ale pozwolil mu dotknac lezacej. Prawa reka kowala zostawila na jej ubraniu krwawe slady.

Twarz miala pusta, oczy zamkniete... ale zyla!

Polozyl jej glowe na swoich kolanach, a rozcieta reke oparl o fotel. Dopiero wtedy przypomniał sobie o medalionie, który wetknal za pas. Wyciagnal go i ulozyl dziewczynie na piersi, tam, gdzie zawsze go nosila.

Jej powieki drgnely; spojrzala na niego blednym wzrokiem, który przerazil go tak jak poprzednio. W chwile pozniej otrzewiala i zorientowal sie, ze go poznaje.

-To cos... jest ranne - powiedziala.

Westchnal. Wiec nie udalo mu sie calkowicie unicestwic zagadkowej istoty.

-Jak bardzo? - spytal.

Minela dluga chwila, zanim otrzymal odpowiedz.

-To jest... czesciowo zniszczone. Ci, ktorzy wiedza jak, mogliby jeszcze tego uzyc.

-Nie! - Pamietal dobrze, po co tu przyszli. Ta rzecz mogla kazdego uczynic panem wstrzasanego katastrofami swiata. Jednak nikt z nich nie byl na tyle mady i silny, by nad tym panowac.

-Nie - powtorzyla za nim.

-Twoja bron do ochrony twoich ludzi... - powiedzial.

-Twoja kowalska wiedza... - zawtorowala.

-Wszystko to z innego swiata - powiedziala powoli. - Jesli to, co zmienilo te rzecz w naszego wroga, odeszlo, zostawmy to. Nie nalezy do nas.

Pomyslal o Kupcach, a takze o Bialoskorych, ktorzy zostali tu wezwani.

-To nie moze stac sie niczyja wlasnoscia.

Przytaknela i wstala powoli. Krzyknela zaniepokojona, kiedy zobaczyla jego reke.

Jakis czas później siedzieli oboje na podłodze pomieszczenia, w którym porzucili bagaze. Sander odciągnął ciało Maxima, by nie leżało na widoku. Fanyi opatrzyła kowalowi dłoń, smarując ją jakimis masekami. Wiedział, że minie jeszcze wiele czasu, zanim będzie mógł znowu podnieść młot.

Całe to miejsce wypełniał jakiś dziwny chłód, jakby uszło z niego całe życie. Swoją martwość przypominało zniszczone przez wiatr i wodę pradawne górskie rumowisko. Dziewczyna oglądała brzożę Maxima, którą upuściła, siedząc na fotelu.

-To coś nie może samo się naprawić. I nie wydaje mi się, żeby oprócz nas był tu ktoś jeszcze, kto mógłby mu służyć. Maxim musiał być ostatni, ale na pewno znajdują się śmialkowie, którzy próbują.

-W tym czymś cały czas drzemie jeszcze trochę mocy. - Sander wskazał na brzożę starca. - Może wystarczy jej, by zamknąć wejście.

Fanyi dotknęła medalionu.

-Nie wydaje mi się, by gdziekolwiek istniała jeszcze taka rzecz. Jeśli uda nam się... zablokować wejście, nikt nigdy tu nie trafi. Białoskorzy nie wiedzą dokładnie, czego szukają. Ich Szamani to wizjonerzy... widzieli wizję wysłaną przez to coś.

-Maszyny... czy człowieka? - spytał wreszcie. Dziewczyna wstrząsnął dreszcz.

-Chyba jedno i drugie. Jak Praludzie mogli stworzyć coś takiego?... To wciąż żyje, choć zniszczyłeś jego źródło mocy.

Jesli to prawda... co za straszliwylos... wiezienie bez konca.

-Co z twoimi ludzmi? - spytal.

-A co z twoimi?

Sander odpowiedzial pierwszy.

-Radza sobie dobrze. Maja kowala, nie tak dobrego wprawdzie jak moj ojciec, ale mozna na nim polegac. Ja... wiesz, to moi bliscy, ale nie potrafie przywolac w pamieci ani jednej twarzy, za ktora bym teraz tesknil.

-Ja wciaz nie jestem wolna. - Spojrzala na medalion. - Moze udalo nam sie zazegnac jedno zagrozenie, ale pojawia sie inne. Chce splacic dlug, ktory mam wobec moich ludzi. Zawiodlam Padford, dlatego musze to zrobic.

-W jaki sposob?

-Trzeba dostac sie jakos na poludnie. Jesli moi ludzie zyja tam w niewoli, wciaz moge i powinnam im pomoc.

Sander poruszył sie. Zraniona dlon przeszył nagly bol, mimo ze dziewczyna porzadnie ja opatrzyła. Pomyslal, ze podroz z jedna reka w bandazach moze byc troche dziwna.

-A wiec ruszamy na poludnie. Oczywiscie najpierw zabezpieczymy to miejsce.

Zmarszczyla brwi.

-To nie twoje zmartwienie, kowalu!

Uśmiechnął się.

-Może i tak. Ale wybrałem tulaczke. Czy to ważne, gdzie poniosa cie nogi, gdy nie masz nikogo i wędrujesz z własnej woli? Jedno mnie zastanawia, Szamanko. Przybyliśmy tutaj, szukając wiedzy. Znaleźliśmy coś, choć spodziewaliśmy się czegoś innego.

-Co masz na myśli, kowalu?

-Tylko tyle, że spędziliśmy na ruinach zaginionego miasta wiele czasu, zawsze szukając w przeszłości. Dlaczego? Nie ma nocy bez gwiazd, a zaginione miasta są martwe. Sami znajdziemy drogę w mroku i wzniesmy własne. Jesteśmy sobą, a nie potomkami Praludzi. Sami więc musimy się uczyć i doskonalić. Zapomnijmy o wiedzy stworzonej przez ludzi, których pewnie nawet nie chcielibyśmy nazwać krewnymi. Nie czuję się w żaden sposób związany z Maximem!

-W żaden sposób... - powtórzyła. - Tak, to prawda, kowalu! Ja również nie czuję się związana z ludźmi, którzy stworzyli to, czego próbowało mnie nauczyć to monstrum. Zaczniemy od nowa, odnajdziemy nasze gwiazdy i wzniesiemy własne miasta. Miejmy nadzieję, że z lepszym skutkiem.

-Zaczniemy od nowa - przytaknął i dodał: - Ruszymy na południe, gdzie, jak mówisz, masz dług do spłacenia. Zobaczymy, czy Morskie Rekińy można pokonać bronią, którą dysponujemy. W końcu tutaj zwalczyliśmy w ten sposób coś znacznie bardziej niebezpiecznego niż wszelkie zagrożenia, jakie czekają na nas na zewnątrz.

-Kowalu, mocno wierzysz we własne siły.

Sander wstal i pomasował zranioną dłoń. Zdrowa oparł na grzbiecie Rhina.

-Wiara we własne siły nikomu nie zaszkodzi - odparł łagodnie. -
A jeśli podróżuje się w doborowym towarzystwie i ma jakiś cel,
czego więcej trzeba?

Fanyi rozesmiała się.

-Coz, jest jeszcze parę rzeczy, Sander. Ale i na nie przyjdzie
czas. Każda noc kiedyś się kończy, a żadne miasto nie stoi
wiecznie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/